TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI
Dlaczego Trump boi się papieża
Antyczni tyrani i współcześni populiści
Dziecięcy futbol, ambicje dorosłych
Jeśli teatr, to tylko w Opolu
Jak się wyrwać z kultury diet

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 22 – 27 kwietnia 2026 | nr 17 (4007)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

ZAKAZ EKRANU NIE POMOŻE

JAK PROWADZIĆ DZIECI PRZEZ CYFROWY ŚWIAT
STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl d1efa56a26

Twoje 1,5% dla dzikiej przyrody

Bądź głosem naszych sąsiadów z lasów, łąk i rzek. Razem możemy zadbać o ich ochronę.



Pracownia na rzecz Wszystkich Istot to jedna z najstarszych, najbardziej solidnych i pracowitych organizacji ekologicznych. Zmieniają się rządy, mody i trendy, a ludzie związani z Pracownią udowadniają, że nie ma pasji i poświęcenia bez cierpliwości i konsekwencji w działaniu. Mówię to z radością i z prawdziwym szacunkiem.

Olga Tokarczuk, pisarka



REKLAMA

Pracownia na rzecz Wszystkich Istot KRS 0000 120 960

jeden-procent.pracownia.org.pl

eprasa.pl d1efa56a26

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Król jest nagi
EDWARD AUGUSTYN

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Jak ja ich nienawidzę!
KAROLINA OLEJAK: *Dotarłam do ludzi, którzy na terapiach opowiadają o tym, jak polityka zniszczyła ich małżeństwa, przyjaźnie i kariery*

20 Kto się boi mężczyzn
MICHAŁ GULCZYŃSKI: *Polemika z tekstem Wojciecha Śmieji*

22 Dzieli nas piłka
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Futbol pod rękę z niedojrzałymi rodzicami potrafi wycisnąć dziecko jak cytrynę*

■ ■ ESEJ

28 Sposób na Alkibiadesów
MAREK WĘCOWSKI: *Wiadomości znad Zatoki Perskiej brzmią jak cytaty z „Wojny peloponeskiej”*

■ ■ ŚWIAT

32 Budapeszt w Brukseli?
OLAF OSICA: *Pytanie, czy nowe Węgry będą blokować członkostwo Ukrainy w Unii, jest wtórne wobec tego, jak Unia chce zabezpieczyć się przed powtórką z najnowszej historii Węgier*

35 Niebieski karnawał
DOMINIK HÉJJ: *Péter Magyar pokazuje, jakie ma poglądy*

36 Pomyśl, co możesz zepsuć
AGATA KAŹMIERSKA: *Czy systemy informatyczne na całym świecie mogą być zagrożone przez superhakera?*

38 Ostatnia reduta
ANTONINA PALARCZYK: *Mimo przepowiedni przejęcia przez Rosjan, ostatnia aglomeracja wolnego Donbasu wciąż żyje*

■ ■ WIARA

42 Trzeźwy pasterz i pijany król

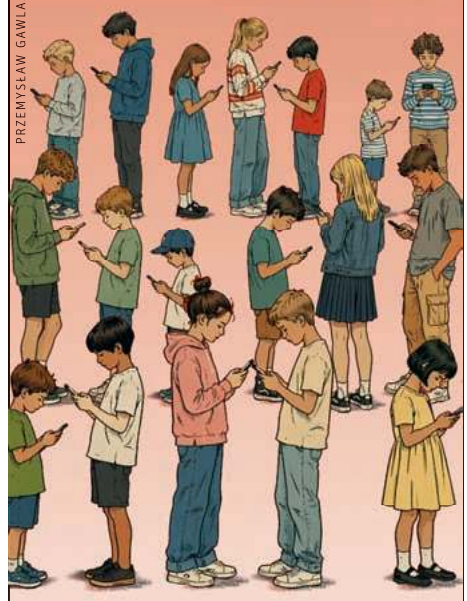


MATERIAŁY PRASOWE

ROZMOWA Z BP. ANTONIO STAGLIANO: *Gdy naród zaczyna mówić o swoim przywódcy jak o Zbawicielu, jest zgubiony*

TEMAT TYGODNIKA

10
Zakaz ekranu nie pomoże
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
Wiara w magiczną moc szkolnego zakazu używania smartfonów albo innych regulacji to mrzonka. Uratować dzieci przed zgubnym wpływem ekranów możemy tylko my sami.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

■ STRONY SPECJALNE ■

62 NAGRODA LITERACKA IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
26 OLGA DRENDA
52 ZUZANNA RADZIK
57 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTOR PROWADZĄCY:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

46 Gdy moralność szkodzi
ARTUR SPORNIAK: *Małżonkowie mogą współżyć ze sobą, nie zważając na to, jakie normy głosi katolicka etyka*

50 Kardynał w synagodze
JACEK STAWISKI: *Grzegorz Ryś i Stanisław Dziwisz odwiedzili synagogę w 40. rocznicę spotkania Jana Pawła II z rzymskimi Żydami*

53 CZYTANIA
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Zesłańcy sprzed 90 lat
DMITRIY PANTO: *28 kwietnia 1936 r. władze Związku Sowieckiego zesłały Polaków do Kazachstanu*

■ ■ NAUKA

58 Przez jelita do serca
ROZMOWA Z TAKANORI TAKEBE, BIOMEDYKIEM: *Podanie natlenionego płynu do jelit ma na celu wsparcie płuc przez kilka minut, w krytycznym momencie. Taka interwencja może ratować życie*

■ ■ KULTURA

66 Ostatnia rodzina



JACINTHA NOLTE/ MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA FILTRY

ŁUKASZ MUSIAŁ: *Verena Kessler portretuje ludzi, których emocje, życiowe wybory oraz marzenia zdominowała logika produktywności. Ci ludzie to my*

70 Po dobrej stronie
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Czytanie musi być przyjemnością*

72 Autentyk
JACEK WAKAR: *Oto świetny, bardzo osobny teatr, jakiego nie zobaczycie nigdzie poza Opolem*

74 Dom ojca
ANITA PIOTROWSKA *o filmie dokumentalnym „Dziecko z pyłu” w reżyserii Weroniki Mliczewskiej*

75 Ciemność zrobiła postęp
LEKTOR *o zbiorze „Wypisy” Marcina Świetlickiego*

■ ■ PSYCHE

78 Dobre jedzenie
ROZMOWA Z AGATĄ GŁYDĄ, PSYCHODIETETYCZKĄ: *Jedzenie jest czymś więcej niż paliwem*

eprasa.pl d1efa56a26

KS. ADAM

Boniecki: *Trudy i normy*

Opublikowany w dziale Wiara artykuł Artura Sporniaka „Gdy moralność szkodzi” porusza sprawy ważne dla wielu ludzi. Argumentacja uderza jasnością – i dobrze, bo materia jest delikatna. Inna sprawa, że w naszych czasach każdy pisze, co uważa, a jeśli jego pogląd wymaga sprostowania, zawsze jest ktoś, kto go sprostuje. Ostatecznie będziemy sądzeni według naszych sumień, nawet – zwłaszcza jeśli bez naszej winy – błądzących. A na głos (ewentualnego) krytyka spokojnie poczekamy.

Niewątpliwie wiedza o człowieku się poszerza i poglądy Augustyna oraz Tomasza są leciwe. Oczywiście i po tych świętych mężach napisano wiele prac, bynajmniej nie kopiujących ich dzieł, lecz szukających własnych rozwiązań. Dzięki temu nauczanie Kościoła się wzbogaca, a w każdym razie może się wzbogacić. Dawna wiedza z konieczności idzie do archiwum lub podlega (czasem radykalnej) rewizji. Można wyrażać żal, że w przeszłości Kościół zbyt kategorycznie definiował sprawy, które nie były dobrze rozpoznane, i należy się cieszyć, że teraz naprawdę wiadomo, o czym się pisze. W wielu dziedzinach tak się dzieje. Zbyt wolno? Może zbyt wolno. Ale gdyby zbyt szybko, też nie byłoby dobrze.

Wątpliwości jest dużo. Weźmy np. pozaustrojowe zapłodnienie kobiety, która w normalnym trybie nie może mieć dzieci. W naszych czasach te procedury stały się czymś praktykowanym na względnie szeroką skalę. Jeśli piszemy o problemach małżeńskich, dobrze by było napisać i o tym. Dziś ogólna wiedza



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *O nas*

Dobrnięcie do puenty tego krótkiego tekstu zajmie Państwu ok. 120 sekund. A to i tak czas zbyt długi dla przeciętnego użytkownika internetu, by być skoncentrowanym na jednym tekście bez odwracania swojej uwagi czymś innym. O ile jeszcze dwie dekady temu średni czas skupienia na dowolnym ekranie wynosił 150 sekund, w 2012 r. było to już sekund 75, a dwa lata temu – 47.

Warto podkreślić: ten proces gremialnego „odmóżdżania” ludzkości dotyczy nas wszystkich. Nas, którzy tak przyzwyczailiśmy się ograniczać to patozjawisko do nastolatków, pokolenia Z, „dzieci ekranów”, „cyfrowych tubylców”, „straconych generacji” – że przestaliśmy nawet zauważać, iż swe gorzkie diagnozy wygłaszamy znad ekranów.

Pozwólcie Państwo na garść scenek, zdarzeń bądź to zaobserwowanych, bądź zasłyszanych w trakcie rozmów z ekspertami od cyfrowej higieny. Miejski autobus: ojciec w średnim wieku żąda od dziecka, by odłożyło telefon – żąda ze smart-

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 51

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl d1efa56a26

na ten temat zawiera jeden pewnik: tak urodzone dziecko należy ochrzcić. Poza tym przeciętny katolik wie, że in vitro jest złe, ale coraz częściej się zdarza. Więc co? Należy się wyspowiadać, żałować tego, co w tym grzeszne, odprawić pokutę i... żyć, ciesząc się wymarzonym dzieckiem.

„Toporne normy" – pisze Artur Sporniak o niektórych zasadach katolickich i, co gorsza, trudno nie przyznać, że ma rację. Ale do jakiego punktu? I czy we wszystkim? Odwołania do nauk Pawła VI i Jana Pawła II nasz autor opatrzył komentarzem, że „papież obawiał się utraty przez Kościół wiarygodności". Nie wiem, jak to było, o co papieżom chodziło, wiem natomiast, że znajomość ludzkiego organizmu poczyniła niebywałe postępy. Potrzebna jest więc – na pewno – nowa, jasna i czytelna dla wszystkich wykładnia nauki Kościoła o małżeństwie.

Nie chodzi o to, by była łatwiejsza. Sądzę, że małżeństwo chrześcijańskie bywa trudne z rozmaitych powodów, tak jak w ogóle życie chrześcijańskie bywa trudne. Chodzi o to, żeby jasno i dobitnie powiedzieć, co Bóg miał na myśli i co Kościół ma na myśli, błogosławiąc sakramentalną więź: co jest w tym sakramencie z Boga, co z ludzkiej natury. Jednym słowem, żeby współczesnemu człowiekowi powiedzieć jasno, czym jest sakrament małżeństwa. Bo zbyt wiele spraw tu się nakłada: tradycyjne poglądy pasujące do nieistniejących dziś form społecznych i istniejące ponad czasem sacrum, dawne rozumienie więzi dwojga ludzi i współczesne związki budowane na innej zasadzie niż niegdyś. Oraz co to znaczy, że dobrowolnie i świadomie – i aż do śmierci. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

fonem w ręku. Szkolna klasa: uczniowie dostrzegają w czasie testu otwartą na ekranie komputera nauczycielki aplikację randkową. Sala gimnastyczna: wuefista rzuca piłkę uczniom, by chwilę później przystąpić do grania w grę na swoim telefonie.

I zestaw danych. 97,5 proc. polskich dorosłych internautów używa telefonu zarówno w dni robocze, jak i te wolne, a co trzeci wykonuje tę czynność przez godzinę do trzech godzin dziennie (18 proc. więcej niż pięć godzin!). Ponad połowa dorosłych Polaków (51,9 proc.) nie zna pojęcia „higiena cyfrowa", a mniej niż co dwudziesty umiałby jego znaczenie wyjaśnić innym. Znacznie ponad połowa rzadko, prawie nigdy lub nigdy nie sprawdza w statystykach telefonu, ile czasu w danym dniu spędzili nad ekranem. Więcej niż co czwarty z nas (27,3 proc.) rzadko, prawie nigdy bądź nigdy nie rozstaje się z telefonem (dane z raportu wydanego w ub. roku przez Instytut Cyfrowego Obywatelstwa).

No i wreszcie obiecana 120 sekund temu puenta. Kto z Państwa nadal wierzy, że problem dotyczy tylko młodych Polaków, a rozwiąże go jednym machnięciem swego analogowego pióra ministra Nowacka, niech przeczyta okładkowy tekst **MARTYNY PIETRZAK-SIKORSKIEJ**. Lektura zajmie prawie tysiąc sekund, ale będzie to kwadrans spędzony sensownie. © ℗

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

TP MOC CZYTANIA NA MAJÓWKĘ

Najbliższy numer „Tygodnika" ukaże się w sprzedaży dzień wcześniej niż zwykle, JUŻ WE WTOREK, 28 KWIETNIA.

Wewnątrz między innymi:

FILIP SPRINGER:
Dlaczego Polacy nie wysiadają z samochodów

RAFAŁ STEC:
Oddał panowanie nad szachownicą, a wciąż ma władzę absolutną. Czego chce Magnus Carlsen, najgenialniejszy dziś sportowiec?



SABINA JAKUBOWSKA:
Chwalcie łąki umajone

TOMASZ ROŻEK:
Jak obronić naukę

KAMA WOJTKIEWICZ:
Pułapki kultury samorozwoju

AGA KIEPUSZEWSKA:
Ty też potrafisz śpiewać

MONTAŻ „TP" // LENNART OOTES / CC 4.0

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl d1efa56a26

OBRAZ TYGODNIA

14–20 KWIETNIA 2026

CIEŚNINA ORMUZ zablokowana: ruch statków ograniczają zarówno Iran, jak i USA, wzajemnie kwestionujące legalność swoich działań. W chwili zamknięcia tego numeru w Islamabadzie miała się rozpocząć kolejna runda negocjacji o zakończenie trwającego już blisko dwa miesiące konfliktu. ■■■ **ZAWIESZENIE BRONI** udało się wprowadzić na 10 dni w Libanie, gdzie izraelskie wojska od tygodni prowadziły operację wymierzoną w Hezbollah. ■■■ **LEON XIV** podczas pielgrzymki do Afryki stwierdził, że „świat jest niszczony przez garstkę tyranów" i skrytykował światowych przywódców, którzy „manipulują nawet imieniem Boga dla własnych korzyści". ■■■ **J.D. VANCE** polemizował z papieżem. „Tak, jak wiceprezydent powinien być ostrożny, gdy mówi o polityce, tak samo papież powinien być ostrożny, gdy mówi o sprawach teologicznych" – powiedział, będący skądinąd katolikiem, wiceprezydent USA. ■■■ **OBROŃCY UKRAINY** odzyskali kolejne 50 km kw. terytorium. Prezydent Zełenski mówi, że Rosjanom nie udaje się przejąć inicjatywy na froncie, ale przestrzega przed wciągnięciem w konflikt Białorusi. ■■■ **NA WĘGRZECH** partia Tisza będzie miała ostatecznie 141 mandatów w 199-osobowym parlamencie. Przyszły rząd Pétera Magyara ma poprawić relacje z UE (mowa nawet o przystąpieniu do strefy euro), wycofać weto wobec pakietu kredytów dla Ukrainy, ale dbać również o poprawne stosunki z Rosją, która dostarcza Węgrom ropę i gaz. ■■■ **PIS SIĘ DZIELI:** Jarosław Kaczyński ogłosił, że na listach wyborczych partii nie będzie miejsca dla członków zakładanego przez Mateusza Morawieckiego stowarzyszenia Rozwój Plus. ■■■ **TUSK GÓRĄ** w procesie z Kaczyńskim: Sąd Okręgowy w Warszawie uznał, że obecny premier nie musi przepraszać byłego za frazę wygłoszoną po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zaostrzenia prawodawstwa aborcyjnego, że „dzisiaj władza to są seryjni zabójcy kobiet". ■■■ **PREZYDENCKIE WETO** zablokowało ustawę o kryptoaktywach. Wedle Karola Nawrockiego przepisy są zbyt restrykcyjne; Donald Tusk twierdzi, że za jedną z giełd kryptowalut (szeroko opisywaną w mediach i będącą na skraju bankructwa Zondacrypto) stoją pieniądze rosyjskiej mafii. ■■■ **PREZYDENT PODPISAŁ** wnioski o nominację na pierwszy stopień oficerski w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Niektórzy funkcjonariusze czekali na tę decyzję od listopada. ■■■ **FLAGĘ IZRAELA** ze swastyką zaprezentował w Sejmie jeden z posłów Konfederacji, za co marszałek Czarzasty nałożył nań najwyższą możliwą karę – pozbawienie połowy pensji na kwartał. ■■■ **KANYE WEST** nie wystąpi w Polsce. Koncert promującego ideologię nazistowską rapera nie odbędzie się „z przyczyn formalnych". „Mamy możliwość zablokowania wjazdu konkretnych osób do kraju" – ogłosiła min. kultury Marta Cienkowska. ■■■ **KROPIK**. Posłowie zdecydowali, że koty i psy mają być czipowane, a dane z Krajowego Rejestru Oznakowanych Psów i Kotów będą widoczne m.in. w aplikacji mObywatel. ©℗



ALBERTO PIZZOLI / AFP / EAST NEWS

KRÓL JEST NAGI

POWYŻEJ:
Papież Leon XIV podczas mszy świętej na stadionie w Duali w Kamerunie, 17 kwietnia 2026 r.

Pielgrzymka Leona XIV do Afryki upływa w cieniu sporu z Donaldem Trumpem. Choć sam papież dystansuje się od takiej narracji.

EDWARD AUGUSTYN

„Nie boję się administracji Trumpa" – tymi słowami Leona XIV, wypowiedzianymi w drodze z Rzymu do Algieru, zaczął się miniony tydzień. Zakończył – sobotnią wypowiedzią podczas lotu z Jaunde (Kamerun) do Luandy (Angola) o „nie do końca prawdziwej narracji", jaka powstała, „od kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych wygłosił pewne oświadczenia na mój temat".

To prawda – pierwsze siedem dni afrykańskiej pielgrzymki papieża upłynęły w cieniu jego starcia z prezydentem USA. Spór tlił się od dawna, ale przybrał na sile po tym, jak Leon skrytykował atak na Iran, a Trump nazwał go papieżem „słabym w kwe-

eprasa.pl d1efa56a26



Leon Superstar

RANKINGI ▪ Leon XIV cieszy się najwyższym poparciem wśród osób publicznych w USA. Według sondażu NBC News z końca marca 2026 pozytywnie ocenia go 42 proc. Amerykanów, negatywnie 8 proc. (wynik netto +34 pkt). Donald Trump otrzymał 41 proc. pozytywnych głosów i 53 proc. negatywnych (wynik netto -12 pkt).

Rekordowe wzrosty popularności odnotowały konta papieża w mediach społecznościowych po wymianie zdań z Donaldem Trumpem w weekend 12-13 kwietnia 2026 r. (dane po pierwszych 48 godzinach):

- **X** (dawny Twitter): przyrost o blisko 1,65 mln użytkowników (aktualnie ponad 55 mln obserwujących we wszystkich wersjach językowych)
- **INSTAGRAM:** ponad 2 mln nowych obserwujących, co daje liczbę 14,2 mln subskrybentów
- **TIKTOK:** materiały dystrybuowane na kanale @vaticannews (papież nie ma tu oficjalnego konta) osiągnęły w ostatnim tygodniu ponad 100 mln wyświetleń.

Źródła: NBC News Digital Analytics, Zenit, Crux oraz dane analityczne z platform Instagram i X dla oficjalnego konta @pontifex.

stii przestępczości" i „fatalnym w polityce zagranicznej". Teraz więc z przemówień papieża wyłapywano słowa na temat tyranów, „którzy niszczą świat" i „naginają religie i nawet samo imię Boga do własnych celów wojskowych, ekonomicznych i politycznych".

SYMBOLICZNY KIERUNEK | „Jestem tu, by dodawać odwagi ludziom a nie dyskutować z Trumpem" – ucina papież. To prawda – nie ma powodu, by jego wystąpienia wpisywać w walkę polityczną. Pielgrzymki przygotowywane są z wyprzedzeniem, przemówienia pisane kilka tygodni wcześniej, a Leon znany jest z niechęci do wprowadzania spontanicznych zmian w tekście. Afryka ma zresztą dość własnych wojen i własnych tyranów.

Podróż do niej papież zapowiadał tuż po swoim wyborze – miała być jego pierwszą zagraniczną pielgrzymką. I tak ją można traktować, pomijając – choć przecież nie lekceważąc – kilkugodzinną wizytę w Monako pod koniec marca czy ubiegłoroczny pobyt w Turcji i Libanie, zaplanowany jeszcze przez jego poprzednika.

Powód takiej decyzji wydaje się oczywisty: Afryka jest przyszłością Kościoła. To nie propagandowy frazes. Mediana wieku wynosi tam zaledwie 19 lat. W tej kategorii wygrywa ze wszystkimi kontynentami, nie tylko z Europą (41 lat). Od dwóch lat wyprzedza też Europę w liczbie katolików (288,5 mln), odnotowując ich największy w świecie przyrost (ponad 3 proc. każdego roku). To dzięki niej Kościół przetrwa. I już niedługo będzie wspólnotą młodą, żywiołową i ciemnoskórą.

WŁASNE PROBLEMY | Cztery kraje, które odwiedził Leon XIV – Algieria, Kamerun, Angola i Gwinea Równikowa – to cztery systemy językowe (francuski, angielski, portugalski i hiszpański), odziedziczone po europejskich kolonizatorach. To oczywiście niejedyne dziedzictwo, o którym papież, tak konstruując trasę, chciał zachodniemu światu przypomnieć.

Wybrana czwórka to przekrój niemal wszystkich problemów i kryzysów współczesnej Afryki, jak wojny domowe (zwłaszcza te zapomniane przez świat, np. trwające od dziesięciu lat w Kamerunie walki pomiędzy anglofońskimi separatystami a frankofońskimi siłami rządowymi), katastrofa klimatyczna, obozy dla uchodźców zewnętrznych i wewnętrznych, rabunkowa gospodarka surowcowa, handel ludźmi, korupcja, autorytaryzm.

To także symbol różnorodności religijnej kontynentu: islamskiej północy i chrześcijańskiej Afryki subsaharyjskiej. Stąd zarówno spotkania z muzułmańską większością w Algierii (choć dla augustiańskiego papieża nie mniej ważnym celem wizyty w tym kraju były miejsca związane ze św. Augustynem), jak i głoszenie Ewangelii społeczeństwom w większości chrześcijańskim (Kamerun) czy nawet katolickim (Angola i Gwinea Równikowa).

CYFROWA IKONA | Dzięki sporowi z Trumpem pielgrzymka papieża stała się jednak „najmocniej trendującym" tematem światowym – poinformowała agencja AP. Owszem, zgodnie ze specyfiką nowych mediów, uwagę odbiorców przykuwają głównie krótkie filmy z papieżem kupującym biżuterię dla bratanicy czy tulącym dziewczynkę na lotnisku w Kamerunie. Ale trafiają do nich też – w postaci rolek, relacji i postów przygotowywanych przez watykańskie służby prasowe – cytaty z papieskich przemówień.

Leon XIV stał się więc cyfrową ikoną mijającego tygodnia, zdobywając milionowe zasięgi (patrz ramka). Konflikt zawsze dobrze się sprzedaje, ale u podłoża tej popularności leży jeszcze inna emocja, a raczej potrzeba: okazuje się, że miliony ludzi na całym świecie czekały na człowieka, który przeciwstawi się szalonym pomysłom i nieprzewidywalnym decyzjom Donalda Trumpa.

CZŁOWIEK BEZ ZASAD | „Nie jestem politykiem. Mówię o Ewangelii" – powtarza Leon XIV. Prezydent Papieskiej Akademii Teologicznej, bp Antonio Stagliano, w tym widzi jego siłę: że nie daje się sprowadzić do retoryki, której celem jest interes polityczny, gospodarczy czy militarny, pozostając na poziomie zasad dla jego adwersarza niedostępnym (wywiad z biskupem na s. 42).

Miliony ludzi czekały też, aż ktoś w końcu powie, że król jest nagi. Że prezydent atomowego imperium to megaloman, wpatrzony w siebie, strojący się w szaty zbawcy Ameryki i świata, wyzwoliciela narodów, obrońcy pokoju. Od półtora roku nikt nie miał odwagi, by to głośno powiedzieć. Papież też zresztą tego nie zrobił. Ale sprawił, że król obnażył się sam.

Leon XIV nie jest dla niego polityczną przeciwwagą czy opozycją. Raczej lustrem, w którym ta postać – człowieka bez zasad, łamiącego prawo i dane słowo – po raz pierwszy tak wyraźnie się odbija. ©℗

eprasa.pl d1efa56a26



Dobry człowiek z bronią

MAREK RABIJ

Tu o, czekał na nas w środku, na trawie. My wtedy akurat szliśmy w jego stronę, no i tak o. Kolega świętej pamięci krzyknął do niego: »chcesz, ku...wo?«. I on strzelił".

Przytoczona wyżej wypowiedź Jakuba, jednego z trzech mężczyzn, którzy wieczorem 10 kwietnia w Bystrzycy Kłodzkiej wdali się w awanturę z uzbrojonym mężczyzną, nie pozostawia miejsca na interpretacje.

To oni, nie strzelec, byli napastnikami. Przyznaje to zresztą sam Jakub, mówiąc wcześniej, że byli pijani i hałaśliwi. I że to oni, bynajmniej nie z gołąbkiem pokoju, ruszyli w stronę mężczyzny z bronią.

Czy Borys B., który tamtej nocy oddał do jednego z nich pięć strzałów z legalnie posiadanego karabinka natowskiego kalibru 5,56 mm, przekroczył w ten sposób granice obrony koniecznej? O tym zadecyduje sąd, zapewne nie szybko. Za to opinia publiczna w Polsce już wydała w tej sprawie nie wyrok, a werdykt. Strzelec z Bystrzycy powinien zostać uniewinniony.

Internetowa zrzutka na sfinansowanie pomocy prawnej dla Borysa B. w zaledwie tydzień od zdarzenia zgromadziła ponad 430 tys. zł. Pod siedzibą kłodzkiej prokuratury odbywają się pikiety, których uczestnicy żądają uwolnienia aresztowanego strzelca. Gdyby wyroki w Polsce ferowano w oparciu o emocje platform społecznościowych, postępowanie w tej sprawie w zasadzie powinno się już zakończyć.

Nie musimy oceniać tej emocji, nawet jeśli wydaje się nie przystawać do realiów kraju, w którym liczba przestępstw od lat maleje. Oczywiście, w części tłumaczy ją bezczynność miejscowej policji, która, sądząc z wypowiedzi mieszkańców, nauczyła ich, że po zmroku lepiej siedzieć w domu.

Ciekawsza jest odpowiedź na pytanie, co za nią stoi. W Polsce, gdzie powszechny dostęp do broni palnej nigdy nie był elementem narodowego konsensusu (wedle ostatnich badań za jego rozluźnieniem opowiada się tylko 26,8 proc., a jednocześnie 17,8 proc. domaga się ograniczenia prawa do posiadania) bezwarunkowe poparcie dla człowieka, który zastrzelił drugiego człowieka, może być dowodem na radykalizację nastrojów w kwestii bezpieczeństwa.

To zrozumiałe, że w domu i jego okolicy chcemy czuć się bezpieczni. Odpowiedzmy sobie jednak przy okazji na pytanie: czy zapewni nam to poczucie świadomość, że gdzieś za rogiem może stać ktoś, kto uważa, że ma prawo strzec reguł, które sam ustali? ©℗



KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Borys B. podczas posiedzenia aresztowego w Sądzie Rejonowym w Kłodzku, 13 kwietnia 2026 r.



Rozłam w PiS

MAREK KĘSKRAWIEC

Mateusz Morawiecki może dziś liczyć na poparciu ok. 35 posłów, czyli niemal jednej czwartej klubu PiS. Z tak liczną grupą byłby w obecnym parlamencie trzecią siłą, więc potencjał do walki w wyborach za półtora roku na pewno istnieje.

Jego stowarzyszenie Rozwój Plus ma działać jako forum ekspertów i polityków, tworzące projekty cywilizacyjne i otwierające partię na elektorat centrum, bez którego – zdaniem Morawieckiego – nie da się w 2027 r. wrócić do władzy. A biorąc pod uwagę ostatnie fatalne dla PiS sondaże, w których zamiast wymarzonej czwórki z przodu, trzeba walczyć o dwójkę – pomysł może mieć sens.

Kłopot w tym, że wciąż nie wiadomo, w co gra były premier. Czy naprawdę chce poszerzyć bazę i zaakceptował decyzję prezesa, że pierwsze skrzypce w partii będzie grał Przemysław Czarnek? Nie sądzę. Zresztą, chyba nikt w PiS w to nie wierzy, biorąc pod uwagę ataki na stowarzyszenie wiernych ludzi Kaczyńskiego i grupy „maślarzy", którzy nie chcą walki o centrum, tylko pragną odbić Konfederacjom swój dawny elektorat.

Jest bardziej prawdopodobne, iż niezależny finansowo Morawiecki zamierza po raz ostatni sprawdzić, czy przy Kaczyńskim może być kimś więcej niż drugoligowym liderem frakcji, który świetnie radzi sobie w dyskusjach i zdobywa zasięgi, pokazując fachową twarz PiS – ale wciąż jest skazany na łaskę prezesa. Wedle której gdy niedługo zaczną się w partii przepychanki o miejsca na listach wyborczych, ludzie Morawieckiego mogą znów dostać te mało atrakcyjne. Co prawda w eurowyborach świetnie sobie poradzili, ale teraz byliby zapewne jeszcze bardziej tępieni i niejeden w ogóle nie dostałby partyjnej rekomendacji.

Jeśli się jeszcze weźmie pod uwagę, że osłabiony i pozbawiony części subwencji PiS zdobędzie zapewne mniej mandatów niż ma obecnie, może się okazać, że dla Morawieckiego lepsze będzie, jeśli da się Kaczyńskiemu w miarę szybko wyrzucić, by np. zdążyć wejść w sojusz z szukającym sobie miejsca na scenie politycznej PSL (a może i z częścią Polski 2050). Morawiecki wie, że odejście z PiS to dla niego duże ryzyko, ale trzeciorzędnym popychadłem w orkiestrze Czarnka, Bocheńskiego, Sasina i Jakiego być nie zechce. Pozostaje pytanie, jak wielu działaczy za nim pójdzie i czy on sam nie będzie wówczas bardziej zajęty tłumaczeniem się z afery RARS niż polityką. ©℗

eprasa.pl d1efa56a26

Kulturalny słuch Polaka



RAWPIXEL.COM / MCKINSEY / ADOBE STOCK

RAPORT ▪ Kiedy następnym razem wsiądziecie do autobusu albo wybierzecie się w podróż pociągiem, rozejrzyjcie się uważnie wokół. Zapewne spora grupa współpasażerów i współpasażerek będzie zaopatrzona w słuchawki. Co więcej, osób słuchających może być nawet więcej niż tych, które oglądają coś na ekranach telefonów czy tabletów.

Najnowsze, kwietniowe badania Total Audio pokazały, że 80 proc. Polek i Polaków ma systematyczny kontakt z treściami w wersji audio. Co ciekawe, ten kontakt trwa bardzo długo: ponad 5 godzin dziennie. Zaskakujące jest również to, że częściej niż streaming włączamy w słuchawkach stacje radiowe. Potwierdza to opublikowany właśnie raport Narodowego Centrum Kultury, który rokrocznie weryfikuje, w jaki sposób najchętniej uczestniczymy w kulturze.

To zapewne dobra wiadomość: więcej czasu spędzamy słuchając czegoś niż patrząc w ekrany, do tego nasz kontakt z mediami jest intensywny. Z drugiej strony oznacza to, że jesteśmy po prostu w nieustannym biegu. Wybierając audycje, podkasty czy audiobooki, stawiamy na takie, które nie będą nam przeszkadzać w wykonywaniu czynności związanych z nauką czy pracami domowymi. Chcemy być wielozadaniowi i wydajni. Kultura mieści się w naszym rozkładzie dnia, jeśli nie wymaga stuprocentowej uwagi.

Ale w raporcie NCK znajdziemy również inny, nieco bardziej krzepiący trend. Otóż badania pozwoliły wyłowić wśród młodych osób (w wieku od 18. do 24. roku życia) rosnącą grupę tzw. analogowców. Okazuje się, że istnieje całkiem liczna grupa młodych dorosłych, dla której kontakt z kulturą, mocno zakorzeniony w codzienności, ogniskuje się wokół tradycyjnie rozumianych aktywności kulturalnych i jej nośników. Analogowcy istotnie częściej niż ogół badanych czytają książki, komiksy i prasę, częściej też słuchają – za pośrednictwem radia lub sprzętu audio. Rzadziej natomiast przeglądają media społecznościowe. Jeśli coś oglądają, to na większym ekranie.

Badania NCK potwierdziły również, że organizatorkami rodzinnego życia kulturalnego są głównie kobiety. Towarzyskie animatorki – zgodnie z nazwą, którą otrzymały od twórców raportu – intensywnie poszukują aktywności, które mogą podejmować z innymi: rodziną, przyjaciółmi, grupami o podobnych zainteresowaniach. To one zabierają nas do galerii czy kina.

Niepokojący dla instytucji kultury może być z kolei wniosek, z którym zostawiają nas twórcy raportu: prawie 80 proc. Polek i Polaków uczestniczy w kulturze... bez pośrednictwa instytucji kultury. Nie musi to oznaczać, że bardziej satysfakcjonujące niż wspólne wypady do filharmonii są dla nas relacje zawiązywane z bohaterami filmów, gier, książek czy seriali. Ale wiele wskazuje na to, że tak właśnie jest.

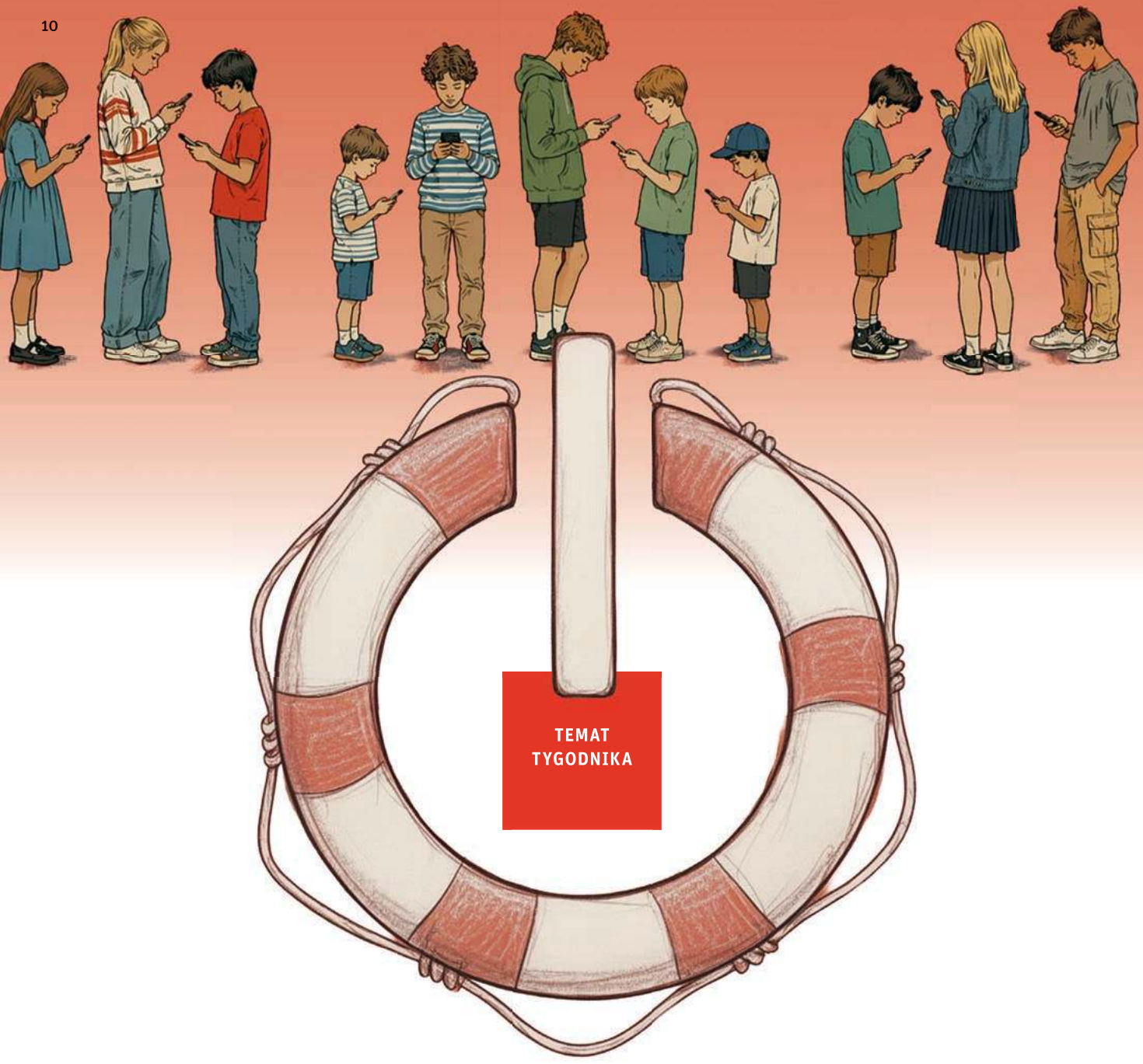
©℗ **MONIKA OCHĘDOWSKA**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl d1efa56a26



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

ZAKAZ EKRANU NIE POMOŻE

Wiara w magiczną moc regulacji prawnych to mrzonka. Uratować dzieci przed zgubnym wpływem technologii możemy tylko my sami.

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

eprasa.pl d1efa56a26



Często myślę o tym, jak wyglądałoby nasze życie, gdybym nie dała córce smartfona tak wcześnie. Ale czasu nie cofnę – mówi Mariola, mama 15-letniej Patrycji, od kilku lat uzależnionej od mediów społecznościowych. Swój pierwszy telefon dziewczyna dostała, gdy miała 9 lat. – W klasie była jedyną osobą bez aparatu, więc uległam – mówi mama nastolatki. Początkowo nic nie zwiastowało kłopotów, bo Mariola zainstalowała na urządzeniu blokady rodzicielskie. Jej czujność uśpiła jednak pandemia – lekcje przeniosły się w tryb online, a kontrola tego, co w sieci robi córka, stała się wyzwaniem, bo długie godziny spędzane przed ekranem dziewczyna tłumaczyła nauką.

– To działo się stopniowo, dziś pluję sobie w brodę, że byłam zbyt pobłażliwa i nie reagowałam w porę. Wtedy nie mówiło się o cyberzagrożeniach, a telefon nie kojarzył się z czymś niebezpiecznym – wspomina kobieta.

Poważne problemy zaczęły się, gdy dziewczyna założyła konto na TikToku, Mariola szacuje, że córka mogła mieć wtedy 11 lub 12 lat. – Świat przestał dla niej istnieć – stała się drażliwa, agresywna i rozkojarzona, manipulowała rówieśnikami. Próbowałam do niej dotrzeć, ale przegrałam z niekończącym się strumieniem treści – przyznaje smutno.

Dziś Patrycja nie wychodzi z pokoju, a w szkole pojawia się rzadko. Nie ma znajomych, nie rozmawia z mamą, jest apatyczna i obojętna. Za dnia śpi, noce spędza z zabezpieczonym blokadami biometrycznymi smartfonem w dłoni. Scrollowanie pochłania większą część jej doby.

Jej historia to skrajny przypadek, bo większość dzieci i młodzieży w Polsce nie mierzy się z aż tak poważnymi konsekwencjami funkcjonowania w sieci. Temat nie powinien być lekceważony, co widać także w opublikowanym na początku kwietnia raporcie „Polskie badanie EU Kids Online 2026. W stronę nowych wyzwań. Reprezentatywne badanie polskich uczniów i uczennic w wieku 10-16 lat", przygotowanym w ramach międzynarodowej sieci badawczej analizującej szanse, zagrożenia oraz bezpieczeństwo dzieci w środowisku online w Europie, koordynowanym w Polsce przez prof. Jacka Pyżalskiego.

Wynika z niego, że niewiele ponad 7 proc. uczniów doświadcza objawów problemowego korzystania z internetu. Jednocześnie jednak ponad jedna trzecia przyznaje, że potrzebuje wskazówek, jak kontrolować czas online. Jak przekonuje współautor raportu, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Piotr Plichta, kluczowe jest rozróżnienie tych kwestii, bo trudność w regulowaniu czasu online nie jest tym samym, co rozpoznanie problematycznego używania internetu.

To pierwsze jest sygnałem, że młodzi potrzebują wsparcia w budowaniu samokontroli cyfrowej. – To może być również wskaźnik rosnącej samoświadomości, że w środowisku pełnym bodźców, powiadomień i presji bycia stale dostępnym niełatwo stawiać sobie granice – wyjaśnia ekspert.

Ważnym wnioskiem z raportu jest też emocjonalne przywiązanie sporej części uczniów – szczególnie w wieku 10-13 lat – do stałej dostępności internetu. – Sugeruje to, że bywa on traktowany jako narzędzie redukcji napięcia, nudy lub samotności – mówi prof. Plichta.

Daj się porwać

To, że większość młodych ludzi nie doświadcza poważnych problemów związanych z korzystaniem z internetu, nie oznacza, że środowisko cyfrowe pozostaje dla nich neutralne – wręcz przeciwnie. Szczególną rolę odgrywają tu media społecznościowe, będące jedną z najważniejszych przestrzeni ich aktywności.

Wedle danych z polskiego badania „EU Kids Online 2026" prawie 75 proc. całej populacji w wieku 10-16 lat ma w nich konto, a ponad 80 proc. badanych może korzystać z nich, kiedy chce. Z kolei projekt „Nastolatki. Raport z ogólnopolskiego badania uczniów i rodziców" realizowany przez NASK – Państwowy Instytut Badawczy, informuje, że średni czas korzystania z mediów społecznościowych w ciągu dnia wynosi 3 godziny i 23 minuty (dziewczęta spędzają w nich prawie godzinę dłużej niż chłopcy), a najczęściej używanymi platformami są Messenger, TikTok, YouTube i Instagram. Prof. Plichta zwraca uwagę, że to właśnie w mediach społecznościowych łatwo wpaść w mechanizmy sprzyjające wydłużaniu czasu online: w powiadomienia, presję ciągłego bycia online i odruchowe odświeżanie.

W wywiadzie z 2017 r. Sean Parker, jeden ze współtwórców Facebooka, przyznał, że platforma została zaprojektowana tak, by pochłaniać jak najwięcej czasu i uwagi użytkowników, a celem jej założycieli było stworzenie pętli sprzężenia zwrotnego społecznej ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ walidacji. Owo sprzężenie to psychologiczny mechanizm, w którym np. publikowanie treści wywołuje reakcję innych – pojawiają się lajki, komentarze, co wzmacnia chęć powtórzenia tego zachowania.

W praktyce oznacza to, że media społecznościowe silnie angażują układ nagrody, dlatego łatwo wpaść w nawykowe korzystanie. A dzieci, których mechanizmy samokontroli dopiero się rozwijają, są na nie szczególnie podatne.

Tak działa algorytm

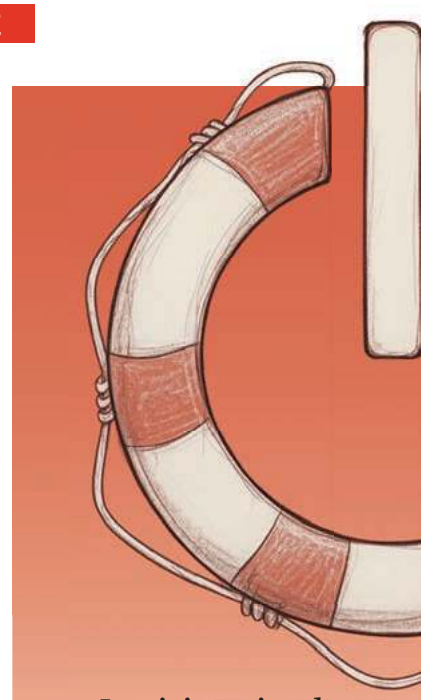
Problematyczne bywają również treści, z którymi młodzi ludzie mają styczność w mediach społecznościowych. Dominika Bucholc, rzeczniczka prasowa Fundacji Kids Alert, zwraca uwagę, że charakter zagrożeń w internecie w ostatnich latach wyraźnie się zmienił, a ich skala rośnie.

– Dziś dziecko nie musi niczego aktywnie szukać. Wystarczy, że na sekundę zatrzyma się na danym materiale, a algorytm zaczyna budować bardzo precyzyjny profil i wciąga je w określony „wir" treści – tłumaczy Bucholc.

Mechanizm opiera się na niekończącym się scrollowaniu, które sprawia, że użytkownik trafia na coraz bardziej angażujące, a często również coraz bardziej skrajne materiały. W praktyce oznacza to, że kontakt z niebezpiecznymi treściami może rozpocząć się przypadkowo. – Algorytm niestrudzenie podsuwa kolejne materiały – dotyczące przemocy, seksualności, zaburzonego postrzegania własnego ciała, samookaleczeń czy romantyzowania samobójstwa – mówi ekspertka.

Bardzo niebezpieczne są również tzw. wyzwania, które namawiają do zachowań szkodliwych lub ryzykownych. „Polskie badanie EU Kids Online 2026" podaje, że 21,5 proc. badanych uczniów ma z nimi styczność przynajmniej raz w miesiącu lub częściej. Niestety wielu rodziców nie zdaje sobie z tego sprawy, bo każdy użytkownik widzi zupełnie inny, spersonalizowany obraz platform. – To, że dorosły nie trafia na szkodliwe treści, nie oznacza, że ich nie ma. Dziecko może funkcjonować w świecie, którego rodzic nie widzi – podkreśla Bucholc.

Czujność dorosłych często osłabia również wciąż obecny w społeczeństwie mit „cyfrowego tubylca", który niesłusznie zakłada, że skoro młodzi ludzie intensywnie korzystają z technologii, to są w tym z automatu kompetentni.



Istnieje związek między korzystaniem z mediów społecznościowych a uboższym słownictwem i gorszym rozumieniem zależności przyczynowo-skutkowych.

Tymczasem – jak przekonuje prof. Plichta – do dobrego funkcjonowania w sieci nie wystarczą umiejętności techniczne. Potrzebne są również tradycyjne kompetencje: krytyczne myślenie, czytanie ze zrozumieniem i umiejętność samoregulacji. – Zwłaszcza że nasze badania pokazują, iż młodzi potrzebują wsparcia w radzeniu sobie z trudnymi doświadczeniami online, w ochronie danych i odróżnianiu rzetelnych informacji od fake newsów – dodaje badacz.

Młoda głowa, stary mózg

Z raportu NASK wynika, że większość nastolatków w Polsce otrzymuje pierwszy smartfon lub komputer z dostępem do internetu w wieku 9 lub 10 lat, jednak spora część dzieci miała kontakt z urządzeniami wcześniej – przed ukończeniem 8. roku życia smartfon posiadało już 40 proc. badanych, a komputer co czwarty z nich. Maluchy często są również obeznane z technologią – z raportu „Brzdąc w sieci" realizowanego przez Akademię Pedagogiki Specjalnej w Warszawie dowiadujemy się, że korzystanie z telefonów przez dzieci w wieku przedszkolnym jest częstym zjawiskiem, dotyczącym nawet trojga na czworo pięcio- i sześciolatków.

Jak zauważa Helena Turek, psycholożka z Uniwersytetu SWPS w Warszawie – to niepokojące wieści z perspektywy neuropsychologii, bo kluczowy okres rozwoju mózgu przypada na wiek wczesnodziecięcy i nastoletni. – Silna stymulacja np. poprzez bajki czy media społecznościowe powoduje, że rozwija się on w nieprawidłowy sposób. Dojrzewa zbyt szybko, a jego struktury zmieniają swoją wielkość – wyjaśnia psycholożka.

Naukowczyni powołuje się również na badanie korelacyjne przeprowadzone na dużej grupie dzieci w wieku 9 i 10 lat, w którym wyróżniono różne sposoby korzystania z ekranów. Wykazało ono związek między intensywnym korzystaniem z mediów społecznościowych a niższym poziomem inteligencji płynnej i skrystalizowanej – czyli uboższym słownictwem i gorszym rozumieniem zależności przyczynowo-skutkowych, a także trudnościami z kontrolą impulsów i regulacją agresji. – I mimo tego, że zaobserwowane korelacje nie były bardzo silne, to warto zachować czujność i ostrożność – podkreśla ekspertka.

Lek na dyskomfort

Tymczasem problem nadużywania mediów społecznościowych przez najmłodszych nadal bywa bagatelizowany. Regularnie mierzy się z tym Mariola, która stale słyszy, że nie jest tak źle, bo przecież jej córka nie ma problemu z alkoholem czy narkotykami. Dostaje też „rady", że powinna zabrać jej telefon, odciąć internet i zmusić do chodzenia do szkoły. – Zdrowym osobom trudno to pojąć, ale to nie jest takie proste. Niedawno podczas awarii internetu Patrycja dostała szału, rzucała przedmiotami. Musiałam wezwać policję, bo bałam się, że zrobi coś sobie albo mnie – opowiada.

Takie reakcje nie są kwestią „złego zachowania", ale pokłosiem tego, jak rozwijający się i uzależniony mózg reaguje na silne bodźce. – W okresie dorastania szczególnie aktywny jest układ nagrody

eprasa.pl d1efa56a26

odpowiedzialny za dążenie do przyjemności, z kolei kora przedczołowa, odpowiedzialna za kontrolę impulsów i przewidywanie konsekwencji, nie jest w pełni rozwinięta – wyjaśnia psycholożka.

W efekcie młodzież jest bardziej impulsywna i silniej reaguje na nagrody, co ewolucyjnie jest zupełnie naturalne. Jednak gdy dochodzi do tego intensywna stymulacja ze strony mediów społecznościowych, mechanizm wzmacnia się – rośnie impulsywność, hamowanie jest obniżone, a rozregulowane dziecko nie myśli racjonalnie. – Telefon staje się dla niego ucieczką od dyskomfortu, bo przynosi ulgę – podsumowuje psycholożka.

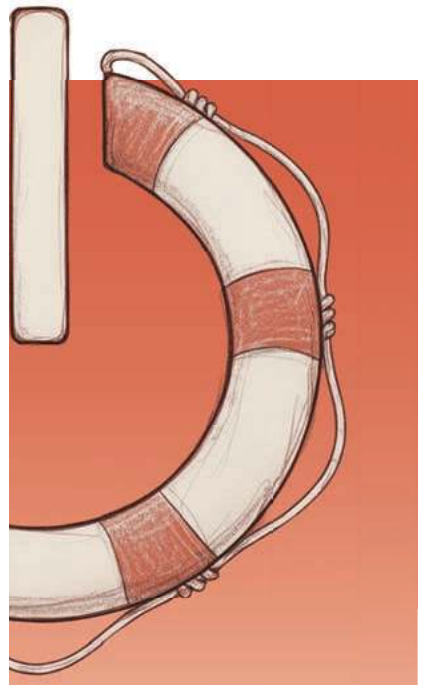
– Dużo mówi się o bezpieczeństwie dzieci w internecie, ale gdy nastolatek wpadnie w uzależnienie, to pomoc jest kwestią determinacji rodzica, a nie systemu – mówi Mariola. Kobiecie bardzo zależało na tym, by jej córka została przyjęta na roczny pobyt w specjalistycznym ośrodku leczenia uzależnień, bo słyszała, że przynosi on dobre rezultaty. Niestety decyzją komisji dziewczyna leczona będzie w szpitalu oddalonym 3 przystanki od domu, w którym może spędzić maksymalnie 2 miesiące. – Jeżeli nie zdarzy się cud i Patrycja nie wyjdzie z uzależnienia, to czekać nas będzie kolejne postępowanie, kolejni biegli, kolejna komisja. Kolejny rok będzie stracony – podsumowuje matka nastolatki.

Inny świat

Mając w pamięci historię Patrycji oraz to, jak na mózg i psychikę młodych wpływają media społecznościowe, na usta ciśnie się radykalne stwierdzenie: że „socialmediowa" rzeczywistość nie jest miejscem dla nich. I cóż, jest w tym ziarno prawdy. Ziarno, bo w dyskusjach o młodych, internecie i mediach społecznościowych zbyt mocno bazujemy na uproszczeniach i własnym „widzimisię", pomijając istotny wątek pokoleniowy.

A przecież młodzi ludzie urodzeni po 2010 r. dorastają w zupełnie innym świecie niż ich rodzice i dziadkowie. I o ile różnice między poszczególnymi generacjami były obecne od zawsze, to za sprawą dynamicznego rozwoju internetu i technologii stały się one wyjątkowo ostre.

Dla przedstawicieli pokolenia X i milenialsów cyfrowa rzeczywistość jest raczej dodatkiem i uzupełnieniem „prawdziwego" życia, bo zdecydowana większość



Spora część uczniów jest przywiązana do stałej dostępności internetu. Bywa on traktowany jako narzędzie redukcji napięcia, nudy, samotności.

z nich swoje dzieciństwo, wczesną młodość, a czasem nawet część dorosłości spędziła w analogowym świecie. Ta różnica często jest źródłem napięć, umniejszania i niezrozumienia cyfrowych aktywności dzieci i młodzieży. Tymczasem oni nie znają świata bez szerokopasmowego internetu i smartfonów. To ich codzienność.

Dr Maciej Dębski – socjolog i założyciel Fundacji Dbam o Mój Z@sięg – wyjaśnia, że młodzi ludzie uważają media społecznościowe za wartościowe, bo pozwalają im one na zaspokojenie potrzeb emocjonalnych, społecznych i rozwojowych. – Czują się w nich ważni i widziani, dają im one poczucie przynależności do grupy, pozwalają na szybką i sprawną komunikację ze znajomymi. Są przestrzenią, w której mogą dzielić się swoimi pasjami i zajawkami, są też miejscem z nieskończoną ilością rozrywki – wyjaśnia badacz.

Dla części z nich są one również miejscem budowania autonomii, trochę na przekór „helikopterowemu rodzicielstwu", które często ogranicza im swobodę eksplorowania świata, bo każda aktywność jest „nadzorowana" przez dorosłych.

Edukacja, nie zakazy

Temat dzieci i młodzieży w mediach społecznościowych rozgorzał w ostatnim czasie głównie za sprawą Australii, która w grudniu 2025 r., jako pierwszy kraj na świecie, nałożyła ograniczenia na korzystanie z social mediów dla dzieci poniżej 16. roku życia. Rządzący w wielu krajach, w tym również u nas, zaczęli zastanawiać się nad wprowadzeniem podobnych przepisów.

Polski projekt ustawy zakłada m.in. ograniczenie dostępu do mediów społecznościowych dla osób poniżej 15. roku życia oraz wprowadzenie obowiązkowej weryfikacji wieku użytkowników. Równolegle planowany jest zakaz korzystania z telefonów komórkowych podczas lekcji, który miałby wejść w życie już od września 2026 r.

I o ile wszyscy eksperci, z którymi rozmawiam, przychylnym okiem patrzą na limit wieku w dostępie do mediów społecznościowych (tym bardziej że ponad 68 proc. dzieci w wieku 10-13 lat ma profile w „socialach" wbrew regulaminom platform), tak zakaz telefonów w szkole część z nich ocenia sceptycznie.

W tym kontekście ciekawym wątkiem są wyniki przedstawione w raporcie „Polskie badanie EU Kids Online 2026", wedle których dzieci i młodzież relatywnie rzadko korzystają z telefonów w samej szkole: prawie codziennie lub codziennie korzystanie w klasie deklaruje jedynie co piąty badany. – Szkolny zakaz może objąć tylko część zjawiska, czyli rozproszenie uwagi na lekcjach – ale nie rozwiązuje głównego problemu, skoro telefon jest używany przede wszystkim po zajęciach – wyjaśnia prof. Plichta.

Jak dodaje, badania międzynarodowe dają niejednoznaczne wyniki, bo nie ma mocnych dowodów na to, że same zakazy wyraźnie poprawiają dobrostan czy ograniczają ogólne korzystanie z telefonów. – Wiele zależy od sposobu wdrożenia, a jeśli ciężar egzekwowania przepisów spadnie na nauczycieli, może to generować nowe napięcia w relacjach z uczniami – dodaje badacz.

Wiara w to, że restrykcje rozwiążą problem nadużywania telefonów przez dzieci ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ i młodzież, jest mrzonką. – Sam zakaz nic nie da, bo dzieci szybko znajdą sposoby na jego obejście albo przeniosą się w inne miejsca w sieci. Ważne są realne działania: edukacja cyfrowa dla rodziców, kary dla Big Techów migających się od odpowiedzialności za generowane treści. Potrzebna jest polityka higieny cyfrowej z prawdziwego zdarzenia, a w szkołach powinien być przedmiot edukacji medialnej – wylicza dr Maciej Dębski.

Serce zamiast serduszek

Kluczową rolę mają jednak do odegrania rodzice, którzy dziś – zdaniem dr. Dębskiego – powinni być lepiej przygotowani na przekazanie dziecku telefonu niż ono samo na jego otrzymanie. – To dorosły musi wprowadzić dziecko w cyfrowy świat – rozmawiać z nim, towarzyszyć mu i pokazywać, jak mądrze z niego korzystać, bo blokady nie rozwiązują problemu. Sam też powinien dawać dobry przykład – wyjaśnia.

To bywa jednak wyzwaniem, bo dzisiejsi rodzice są pierwszym pokoleniem, które wychowuje dzieci w świecie zdominowanym przez technologie – bez własnych wzorców, bez punktów odniesienia, często metodą prób i błędów. Muszą jednocześnie nadążać za dynamicznie zmieniającą się rzeczywistością cyfrową i uczyć dzieci czegoś, czego sami nigdy nie doświadczyli. – Kluczowym czynnikiem chroniącym dzieci przed problemami psychicznymi związanymi z nadużywaniem internetu i mediów społecznościowych są relacje – przekonuje psycholożka Helena Turek i dodaje, że właśnie dlatego tak ważne jest, by dziecko miało życie poza telefonem, by spotykało się z rówieśnikami, spędzało wartościowy czas z rodzicami.



Rodzice powinni być lepiej przygotowani na przekazanie dziecku telefonu niż ono samo na jego otrzymanie.

Problem w tym, że ta strefa „kuleje”, bo – jak wskazuje raport „Polskie badanie EU Kids Online 2026” – największe natężenie używania telefonów przez dzieci i młodzież przypada na popołudnia i wieczory, czyli na czas zabawy, odpoczynku i budowania relacji rodzinnych. Oprócz tego – zdaniem psycholożki – równie istotne jest konfrontowanie dzieci z prawdziwym życiem, które bywa trudne.

– Rodzice, często w dobrej wierze, próbują chronić dzieci przed tym, co niewygodne, odpuszczają obowiązki, pozwalają im „uciec” w ekran w ramach rekompensaty ciężkiego dnia – wyjaśnia ekspertka i podkreśla, że dyskomfort jest w życiu bardzo ważny, bo uczy radzenia sobie z trudnymi sytuacjami i buduje odporność psychiczną. – Jeśli dziecko przyzwyczaja się, że w każdej trudniejszej sytuacji może sięgnąć po telefon, to nadmiar łatwej i przyjemnej stymulacji sprawia, że nawet zwykłe wyzwania urastają do rangi problemów, z którymi nie potrafi sobie poradzić – podsumowuje badaczka.

Koniec końców warto pamiętać, że media społecznościowe są narzędziem jak inne i same w sobie nie są problemem. – Kluczowe jest ich wykorzystanie oraz balans między byciem online i offline – przekonuje dr Dębski i podkreśla, że najlepszym, co możemy dać dzieciom w epoce cyfrowej rzeczywistości, jest obecność, uważność, rozmowa i jakościowy czas bez nowych technologii.

Dlatego zamiast skupiać się wyłącznie na ograniczeniach, warto budować rzeczywistość, która będzie dla młodych ludzi realną alternatywą dla świata algorytmów. Taką, w której relacje będą szczere i prawdziwe, a poczucie wartości nie będzie zależeć od liczby serduszek. To wyzwanie – zwłaszcza że dorośli sami mają w tym obszarze sporo do zrobienia.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

eprasa.pl d1efa56a26

OPP



Zespół „Tygodnika Powszechnego” w redakcji na ul. Dworskiej 1c w Krakowie, 27 lutego 2026 r. Fotografowała Grażyna Makara.

Za nami 4000 numerów „Tygodnika Powszechnego”.
Kolejne tysiące stworzymy dzięki Twojemu wsparciu.

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego
i twórz „Tygodnik” razem z nami.

Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

TYGODNIK POWSZECHNY

KRS 0000 125 605

PIT rozliczony? Sprawdź inne formy wsparcia >>

www.tygodnikpowszechny.pl/wspieraj

eprasa.pl d1efa56a26

KRAJ

JAK JA ICH NIENAWIDZĘ!

Złość, obrzydzenie, poczucie wyższości – to wybrzmiewa z wielu moich rozmów. Dotarłam do ludzi, którzy na terapiach opowiadają o tym, jak polityka zniszczyła ich małżeństwa, przyjaźnie i kariery.

KAROLINA OLEJAK

Według Carla Gustava Junga każdy nosi w sobie cień. Oznacza to, że posiadamy cechy i pragnienia, których nie chcemy „wypuszczać" na światło dzienne. Wstydzimy się ich i nie akceptujemy, ale dochodzą do głosu, gdy pojawiają się emocje.

Nienawidzimy tych, którym zazdrościmy, i tych, których się lękamy – w sensie dosłownym lub z obawy, że jak w lustrze zobaczymy w nich odbite to, czego wolelibyśmy nie widzieć u siebie. Moja książka „Nienawidzę ich! To Polacy mówią na terapiach. Reportaż z podzielonego kraju" okazała się właśnie studium nienawiści rodzącej się za zamkniętymi drzwiami mieszkań.

Do swoich bohaterów docierałam różnymi sposobami. Niektórzy godzili się – wspólnie z terapeutami – by nagrywać ich sesje w gabinetach, innych znalazłam przez internet. Wielu z nich chce widzieć siebie jako otwartych i tolerancyjnych, ale pogląd ten nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością. Są też tacy, którzy na świat patrzą w kategoriach siły i nie znoszą słabości. Ale gdy wsłuchamy się w ich historie, przekonamy się, że nie wynika to z jakiejś brutalnej wizji świata.

Zwykli ludzie

Wśród moich rozmówców jest Marta, wykształcona i postępowa kobieta, która przyjęła pod swój dach ukraińską rodzinę. Przez blisko dwa lata utrzymywała ją i wspierała. Jednak w momencie, gdy w szkole jej dziecka pojawiły się dzieci z Ukrainy, które „zabierają czas i uwagę nauczyciela", a jej pociesze komfort – uchodźcy stali się dla niej wrogą grupą.

Jest też Tomek, który pogardza ludźmi słabymi – brzydzi go, gdy ktoś nie jest w stanie wziąć odpowiedzialności za swoje życie i zarobić na utrzymanie. Szybko się jednak okazuje, że to neurotyczne przywiązanie do prawa siły wynika z dramatycznych, życiowych doświadczeń.

W mojej książce krok po kroku przechodzę przez różne obszary życia, by pokazać, jak możemy rozumieć konflikty, gdy poznamy właściwe intencje i motywacje. Widać to najlepiej na przykładzie migracji. To w niej aktywuje się jungowski cień, uruchamiając mechanizm gardzenia tymi, których się obawiamy, gdyż w rzeczywistości bardzo ich przypominamy.

Wobec sytuacji ostatecznych wszyscy zachowujemy się podobnie. Boimy się o siebie i swoich najbliższych. A doświadczenie życia w jednym kraju z kilkoma milionami obywateli innych państw oraz dzielenia się z nimi wszystkimi zasobami sprawiło, że uruchomiły się w nas mechanizmy rywalizacji. Niemożność wyrażenia tych obaw wprost, opisania ich i nazwania, frustruje. W debacie sami siebie skrępowaliśmy poprawnością polityczną: nie umiemy otwarcie mówić, co myślimy i czujemy z obawy, że ktoś może się obrazić.

Liberałowie zazdroszczą prawicy pryncypialności i braku oporów w wyrażaniu



eprasa.pl d1efa56a26

swoich poglądów, również tych, które sami uznają za niedopuszczalne. To pewien rodzaj bezczelności, który pozwala nie tłumaczyć się z wyznawanych przez siebie wartości. Doskwiera to zwłaszcza politykom, z którymi przeprowadziłam wiele rozmów podczas kampanii prezydenckiej. Ci liberalni opowiadali mi o „moralnych" hamulcach, niepozwalających mówić wprost o niektórych tematach, które rodzą obawy części społeczeństwa, choćby o imigracji. Przez to tracili wiarygodność i byli oskarżani o brak społecznego słuchu.

Czego natomiast zazdrości prawica? W świecie jej zasad, gdzie dominuje kult siły i bezkompromisowości, nie ma miejsca na wrażliwość. W kwestii obrony granic np. trzeba być brutalnym i jednoznacznym. Jednak ci, którzy opowiadali się za budową muru i niewpuszczaniem migrantów, w zdecydowanej większości nie są wyzbytymi uczuć sadystami. W ich głowie taka postawa to troska o bezpieczeństwo. Mają świadomość, że po drugiej stronie muru znajduje się człowiek.

Humanitarna postawa liberałów jest dla prawicy wyrzutem sumienia, który nie pozwala bezrefleksyjnie zamknąć się we własnej twierdzy. Pojawia się zazdrość, że oto ci po drugiej stronie mogą być tymi dobrymi i wrażliwymi, a na nich spada odium brutalności i bezwzględności. To rodzi złość.

Jak się zmieniliśmy?

W ciągu ostatnich 5 lat Polska z kraju emigracyjnego stała się imigracyjnym. Pierwszy raz w najnowszej historii jest miejscem, które otwiera możliwości przed ludźmi, którzy chcą u nas stworzyć swój nowy dom. To efekt naszego sukcesu gospodarczego, ale również wojny za wschodnią granicą.

W 2015 r. za przyjmowaniem uchodźców z miejsc, gdzie toczą się konflikty zbrojne, wypowiadało się 72 proc. Polaków – stawiało to nas na czele społeczeństw deklarujących otwartość. Gdy w lutym 2022 r. na wschodniej granicy znalazły się setki tysięcy osób, pytanie o imigrację przestało być jednak zagadnieniem teoretycznym – deklaracją tolerancji. Stanęliśmy przed realnym sprawdzianem tego, czy jesteśmy w stanie dzielić się z Ukraińcami dostępem do usług publicznych, takich jak ochrona zdrowia, edukacja czy pomoc finansowa. Dodatkowo proces ten przebiegł wyjątkowo szybko: dosłownie w ciągu kilku miesięcy obudziliśmy się w zupełnie nowej rzeczywistości. Czytelny wcześniej podział na zwolenników i przeciwników imigracji zobaczyliśmy w zupełnie innym świetle.

Tam, gdzie pojawiają się niedobory, brak stabilności i popyt przerastający podaż, pojawiają się też konflikty. Dlatego pierwszym punktem krytycznym weryfikacji naszej otwartości stał się rynek mieszkaniowy. Według rządowych szacunków w Polsce mieszka stale ok. 2,5 mln cudzoziemców, co oznacza realne zapotrzebowanie na miejsca do życia.

Około milion z nich to uchodźcy z Ukrainy, a cała społeczność ukraińska, łącznie z osobami mieszkającymi w Polsce przed wybuchem wojny, liczy ok. 1,9 mln osób. W ciągu ostatnich lat sytuacja szczególnie tej drugiej grupy uległa znaczącej poprawie. Aż 73 proc. wynajmuje mieszkanie, 9 proc. nawet je kupuje. Ukraińcy coraz lepiej odnajdują się w Polsce: osiedlają się na stałe, co sprzyja integracji i ogranicza zjawisko gettoizacji.

Ma to jednak skutki uboczne. Większy popyt oznacza większą konkurencję – trudniej znaleźć mieszkanie, rosną ceny najmu, a właściciele stawiają wyższe wymagania. Część Polaków postrzega przez to imigrantów jako rywali i choć ich wpływ na ceny zakupu lokali jest wciąż ↦



BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

„Kocham zwierzęta, nienawidzę Antify". Na marszu prawicy, Rynek Główny, Kraków, sierpień 2020 r.

eprasa.pl d1efa56a26

↦ kwestią dyskusyjną, nie zmienia to faktu, że wielu z nas ma poczucie krzywdy.

Grupą najmocniej narażoną są ci, którzy nie posiadają własnych czterech ścian i muszą wynajmować mieszkania. To oni zmagają się z wysokimi kosztami, ograniczoną ofertą i niepewnością. I dlatego właśnie w tym obszarze kumulują się dziś największe napięcia społeczne, chodzi przecież o najważniejsze potrzeby: dach nad głową, bezpieczeństwo rodziny, poczucie sprawczości.

Taką perspektywę ma jedna z bohaterek mojej książki, 32-letnia Kasia, pracowniczka branży IT: „Ta Ukrainka była w moim wieku. Miała ze 30 lat. Wkurza mnie, że stać ją na zakup mieszkania za gotówkę. Ja od ośmiu lat ciężko pracuję, a wcześniej wiele lat się uczyłam, żeby godnie zarabiać. A mimo wszystko wiem, że nigdy nie będzie mnie stać na duże mieszkanie".

Kto komu zabiera pracę

W 2024 r. w Polsce legalnie pracowało ok. 1,2 mln migrantów (dane ZUS). Największą grupę stanowili Ukraińcy (66 proc.) i Białorusini (11 proc.). W samej Warszawie zatrudnionych było ok. 250 tys. cudzoziemców.

Ukraińcy najczęściej pracowali w usługach (209 tys.), przemyśle (189 tys.) oraz transporcie i logistyce (164 tys.). Jednocześnie z badań Deloitte dla Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców dowiadujemy się, że tylko jedna trzecia przybyszów posiadających wyższe wykształcenie znalazła w Polsce zatrudnienie w zawodach odpowiadających ich kwalifikacjom. Oznacza to, że konkurencję obcokrajowców najmocniej odczuwają Polacy wykonujący gorzej opłacane, wiążące się z fizycznym wysiłkiem prace – to oni częściej stykają się z barierami językowymi, różnicami kulturowymi i napięciami w miejscu pracy. Pojawiają się też wzajemne stereotypy i frustracje – zarówno ze strony Polaków, jak imigrantów.

Kobiety w wywiadach prowadzonych przez socjologów skarżą się też na podejście mężczyzn. I nie chodzi tu tylko o stereotyp muzułmańskiego kierowcy, z którym Polka wraca wieczorem do domu. Także Ukrainki przebywające u nas skarżą się na protekcjonalne podejście ze strony Polaków i oczekiwanie, że każda z nich będzie zainteresowana wchodzeniem w bliższe relacje z zamożniejszym i lepiej sytuowanym mężczyzną jedynie z powodu swojego imigracyjnego backgroundu.

Wobec sytuacji ostatecznych wszyscy zachowujemy się podobnie.

Boimy się o siebie i swoich najbliższych. Niemożność wyrażenia tych lęków wprost, opisania ich i nazwania, frustruje.

Generalnie, Polacy mający częstszy kontakt z imigrantami, a przez to na co dzień zmagający się z konkurencją o pracę, niezrozumieniem w zawodowych kwestiach i czasem nieprzychylnym stosunkiem do Polski – zdecydowanie częściej przyjmują krytyczne postawy wobec imigrantów.

Pamiętajmy jednak, że my również w zawodowych relacjach mamy kontakt z menadżerami z innych państw. Proponuję więc odpowiedzieć sobie szczerze na pytanie – jak często i w jakich okolicznościach? Zapewne dużo łatwiej utrzymać pozytywne nastawienie podczas kilkugodzinnej specjalistycznej konferencji lub odbywając służbową delegację, podczas której wymieniamy się zawodowymi uwagami, a następnie idziemy na kolację albo bezpiecznie chowamy się w pokoju hotelowym.

Czymś zupełnie innym jest przecież np. trafić na zmianę w kuchni, gdzie jest się jedyną Polką, a inni nie rozumieją tego, co do nich mówimy. To tym pracownikom towarzyszy poczucie, że polski szef każdego dnia może uznać, że łatwiej będzie mu zatrudnić migranta, który nie posiada negocjacyjnych asów w rękawie, więc nie będzie walczył o poprawę warunków pracy i płacy.

Zastanówmy się przez chwilę: czy to właśnie nie na takie Polki i na takich Polaków przerzucany jest cały koszt naszej osławionej otwartości i tolerancji? Skoro na poziomie państwa nie wymaga się od imigrantów znajomości języka, tym bardziej nie robią tego korporacje sprowadzające pracowników. To zaś rodzi w wielu z nas frustrację.

Nasze dzieci są nasze

Kolejnym miejscem „walki" o ograniczone zasoby jest szkoła. I chociaż zabrzmi to brutalnie: gdy chodzi o dobro naszych dzieci, empatia wobec innych schodzi na daleki plan. Kluczowe jest zapewnienie bezpieczeństwa i komfortu najbliższym.

W polskich szkołach uczy się ponad 200 tys. dzieci z Ukrainy, z czego ok. 152 tys. trafiło tu po wybuchu wojny. Początki były trudne, a system chaotyczny – część uczniów pozostawała poza kontrolą i nie było wiadomo, czy w ogóle się uczą.

Po wprowadzeniu obowiązku szkolnego w 2024 r. liczba uczniów wzrosła o 18 tys. Do naszych placówek trafiły dzieci z traumami, problemami językowymi, często osamotnione, bo od miesięcy uczące się jedynie zdalnie. Wielu polskich rodziców i bez tego „imigracyjnego zastrzyku" miało obawy, czy ich dzieci są odpowiednio zaopiekowane w klasach, gdzie na jednego nauczyciela przypada 25 lub 30 uczniów. Zwłaszcza że nowi uczestnicy zajęć potrzebowali szczególnej uwagi i pomocy w nadrobieniu zaległości.

To właśnie spotkało wspomnianą już Martę, której dziecko trafiło do jednej klasy z uczniem z Charkowa: „Dzieci z Ukrainy nie są gotowe na polski system. To głównie wina rodziców, którzy wychowują je w zupełnie innych wartościach. Obrywają za to nasze. Wolałabym, żeby powstały dla nich oddzielne placówki – niech tam sobie żyją po swojemu".

Obecność ukraińskich uczniów jest dziś powszechna – są w ponad połowie szkół. Część dobrze się integruje i radzi sobie bez problemów, inni pozostają na marginesie. Najtrudniejsza sytuacja panuje w przepełnionych placówkach z niedoborami kadrowymi, gdzie trudniej o wsparcie i zrozumienie.

Jednak wszystkim, którzy w tym momencie zmierzają do brutalnej oceny zachowań polskich rodziców, proponuję szczerą refleksję nad tym, ile sami bylibyśmy w stanie poświęcić i zrobić dla własnego dziecka. To daje szansę zrozumieć, że niektóre mechanizmy są poza naszą kontrolą i nie wynikają z całkowitego braku empatii, ale z nie dość sprawnego państwa, a także z lęku przed nieznanym i zrozumiałej troski o ważną dla nas osobę.

eprasa.pl d1efa56a26

Kobieta kobiecie

Grupą najbardziej sceptycznie nastawioną do rodzin przybyłych zza naszej wschodniej granicy są kobiety. Polki – zwłaszcza w wieku 30-40 lat – częściej niż mężczyźni z niepokojem oceniają skutki napływu uchodźców ze wschodu. Zdaniem ekspertów wynika to z ich silniejszego poczucia zagrożenia, tym bardziej że wśród uchodźców dominują panie, co zrodziło napięcia na kilku poziomach.

Najmocniej widać to na rynku pracy. Ukrainki dość szybko znajdowały zatrudnienie, głównie w usługach, handlu czy gastronomii, często akceptując niższe stawki lub pracując poniżej kwalifikacji. W efekcie stały się realną konkurencją – także w branżach zdominowanych przez kobiety, takich jak „beauty". To zrodziło w Polkach poczucie niepewności i niechęci.

Drugim, wspomnianym już obszarem, są instytucje opiekuńczo-edukacyjne. W Polsce to wciąż kobiety są częściej zaangażowane w funkcjonowanie żłobków i przedszkoli. To one bezpośrednio stykały się z problemami adaptacji ukraińskich dzieci i trudnościami organizacyjnymi. W obliczu przepełnionych klas problem ten stawał się jeszcze mocniej odczuwalny.

Polki doświadczyły rosnącej konkurencji również w ochronie zdrowia – kobiety częściej korzystają z usług medycznych, dbają o profilaktykę, zajmują się leczeniem dzieci i opieką nad seniorami. W efekcie ich kontakt z systemem jest intensywniejszy, a wzrost liczby pacjentów potęguje poczucie rywalizacji. Dodatkowo obawy wzmacniają przekazy o rzekomo niższych kwalifikacjach ukraińskiego personelu medycznego, co przy naturalnej trosce o zdrowie zwiększa nieufność.

Napięcia pojawiły się również w sprawach matrymonialnych. Napływ Ukrainek – zwłaszcza do dużych miast, gdzie kobiet już wcześniej było więcej niż mężczyzn – objawił się jako dodatkowa „konkurencja". Nie jest to zjawisko wyjątkowe. Analogicznie do obserwacji z innych krajów, poczucie lęku i nierównowagi może prowadzić do zaostrzenia postaw wobec uchodźców.

W efekcie wiele kobiet zaczęło postrzegać swoją pozycję jako zagrożoną, a przeciwstawianie Polek i Ukrainek sprzyjało napięciom społecznym i wpłynęło na ogólną ocenę migrantów w Polsce.

Jungowski cień

No dobrze, ale gdzie w tym wszystkim jungowski cień? Już wyjaśniam.

Wybuch wojny w Ukrainie i kryzys migracyjny na wschodniej granicy uruchomiły w ludziach pierwotne lęki o bezpieczeństwo. Prawica, nie zważając na to, co wypada mówić lub nie, od razu alarmowała o potrzebie postawienia tamy napływającym do nas migrantom (wyjątek przez pierwsze miesiące stanowili Ukraińcy – tu kluczowy był jasno wskazany wróg: Rosja). Z kolei w czasie rozmów z lewicą i liberałami słyszałam, że wstydzą się prostych rozwiązań. Jeden z moich rozmówców mówił wprost: „Nie po to kończyliśmy uniwersytety i przez lata w różnych gremiach rozmawialiśmy o europejskich wartościach, żeby teraz kierować się pierwotnymi instynktami".

Zarazem wyraźnie dostrzegłam, że po prawej stronie pojawiają się wyrzuty sumienia i moralne dylematy. Moi rozmówcy nie chcą być odpowiedzialni za wykluczanie drugiego człowieka – gdy dyskusja przestaje być teoretyczna. Każdy wolałby w końcu być szlachetny i dobry, a nie odgrywać rolę złego policjanta. Złość prawicy budzą raczej ci, którzy nie biorąc pod uwagę konsekwencji, chcą przyjmować każdego, kto wyrazi taką chęć.

Po liberalnej stronie nie powinno się zamykać oczu i cieszyć tym, że deklaratywnie wciąż duża część z nas jest otwarta i tolerancyjna. Od tego problemy nie znikną, raczej zaczną się nawarstwiać. Tylko stanięcie w prawdzie i próba zrozumienia drugiej strony może pomóc zarówno nam, jak i przyjeżdżającym do nas gościom. Inaczej coraz częściej w gabinetach terapeutycznych będziemy słyszeć: „Nienawidzę ich!".

© KAROLINA OLEJAK

Autorka jest szefową newsroomu Polsat News i koordynatorką weekendowego magazynu Tygodnik Interii. Autorka wydanej przez Prześwity książki „Nienawidzę ich! To Polacy mówią na terapiach. Reportaż z podzielonego kraju".



eprasa.pl d1efa56a26

Kto się boi mężczyzn

MICHAŁ GULCZYŃSKI

POLEMIKA | Braun, Czarnek, autorytarna Rosja, teorie spiskowe, denializm klimatyczny – to wszystko przychodzi na myśl Wojciechowi Śmiei, gdy czyta, że mężczyźni żyją krócej, a chłopcy mają słabsze wyniki w szkole od dziewcząt.

Na podstawie jego wrażeń z lektury mojej książki „Mężczyźni. O nierówności płci" można by pomyśleć, że sprzeciwiam się działaniom prorównościowym: „Nie mam wątpliwości, że jemu [Gulczyńskiemu] również [tak jak Braunowi i Czarnkowi] chodzi o backlash, lecz znacznie bardziej wyrafinowany".

Na potwierdzenie swoich słów Wojciech Śmieja („TP" 16/2025) nie podważa jednak żadnego faktu wymienionego w książce ani rozwiązań, które proponuję. Wyraża wątpliwości jedynie w kwestii potrzeby włączania naukowców-mężczyzn do badań nad płcią. Aby mnie skrytykować, musi przypisać mi słowa i argumenty, których nigdy nie wypowiadałem.

Budzenie niepokoju

Cieszę się, że mój polemista docenia „trud wypracowania fundamentu intelektualnego" i „eleganckie skrojenie" książki, trafność diagnoz i pomysły, np. mobilne punkty badań profilaktycznych (androbusy) czy ograniczenie dostępności alkoholu. Przyznaje też, że problemy, o których piszę, są prawdziwe, np. częstsze samobójstwa mężczyzn.

Mimo to Śmieja sugeruje, że moja książka „powinna budzić niepokój". Nie przez to, że mężczyźni umierają przedwcześnie i częściej są narażeni na bezdomność, a chłopcy (zwłaszcza na wsi) gorzej się uczą. Nie interesuje go dyskusja o zapobieganiu przemocy i nieskuteczności resocjalizacji przestępców. Jako przykład zdania, które „budzi niepokój", wymienia: „Nie wystarczy, że mężczyźni zaczną płakać – trzeba ich też zacząć słuchać".

Słuchanie, co mają do powiedzenia o swoich doświadczeniach, oraz czytanie mojej książki – ma być niebezpieczne. Jednocześnie z rozbrajającą szczerością Śmieja przyznaje, że sam „nie ma odpowiedzi, co robić z problemami chłopców i mężczyzn we współczesnym świecie i w Polsce".

Merytoryczna dyskusja

Profesor przyznaje, że „dostarczam nową narrację", choć ocenia ją negatywnie. Ja natomiast uważam moją propozycję za bardziej konstruktywną niż dotychczas dominujące, a reakcja Śmiei mnie w tym utwierdza. W jego recenzji widzę tylko dwie kwestie, które można potraktować jako zalążek merytorycznej dyskusji.

Pierwszą jest pytanie, czy dokonuję „wrogiego przejęcia języka feminizmu", czy raczej daję szansę na uzupełnienie działań i narracji równościowych, tak by były powszechnie akceptowane. Moim zdaniem uwzględnienie drugiej strony jest konieczne, jeśli traktujemy ideę równości poważnie. Dlatego zdecydowana większość moich pomysłów znajdzie zapewne poparcie także wśród feministek. Sam Śmieja przyznaje, że problemy są realne, a co najmniej niektóre pomysły „słuszne i pożądane".

Drugą kwestią jest stosunek do pojęć „męskość" i „patriarchat", których rzeczywiście unikam. Charakterystyczne, że jako angielskie tłumaczenie „studiów nad mężczyznami" recenzent podaje „masculinity studies". „Masculinity" to właśnie męskość, nie mężczyźni. W książce argumentuję, że należy oddzielać analizy męskości od analizy sytuacji mężczyzn, i świadomie wybieram dyskusję o mężczyznach – tak jak badaczki zazwyczaj wybierają mówienie o kobietach, a nie o kobiecości. Pokazuję też, dlaczego właśnie skupienie na mężczyznach i kobietach, a nie męskości i kobiecości, prowadzi do rzeczywistych rozwiązań.

Śmieja twierdzi, że nie używam terminu „patriarchat", bo musiałbym przyznać, że to mężczyźni dyskryminują mężczyzn. Znów: pomija to, co naprawdę piszę. Rozdział pt. „Dlaczego nie rozwiązuje się problemów mężczyzn?" zaczynam od przyznania, że to mężczyźni zajmują większość stanowisk politycznych. Podkreślam, że to „kobiety [często] podchwytują nasze tematy i postulaty (...) Mężczyźni nie poparli jednomyślnie idei działania dla naszej płci. Zwłaszcza ci, którym się w życiu udaje, nie zawsze rozumieją tych, którym się nie powiodło".

Podobnie jest z terminem „alienacja rodzicielska". W książce poświęcam pięć stron tłumaczeniu, dlaczego używam tego sformułowania. Nie jest prawdą, że nie stosują go instytucje – ostatnio zrobił to choćby zastępca Prokuratora Generalnego, a wspomniana przez Śmieję opinia WHO zastrzegała, że ten zwrot może mieć zastosowanie w kontekstach prawnych. Na koniec stwierdzam jednak, że termin nie jest istotny – ważny jest społeczny problem. Oponenci wolą skupiać się na krytyce nazwy; w ten sposób nie muszą zajmować się problemem izolowania dzieci i sterowania nimi.

Manipulacje

Tytułowy zarzut Śmiei dotyczy doboru słów: „W tę pustkę wszedł właśnie Michał Gulczyński, proponując termin »dyskryminacja«. Wszedł i zdobywa zasięgi, twierdząc, że współczesna Polska staje się »piekłem mężczyzn«".

Tyle że ja nigdy nie używam zwrotu „piekło mężczyzn". We wstępie zaś piszę: „Staram się jednak [mimo dyskryminacji mężczyzn zapisanej w przepisach] nie nadużywać słowa »dyskryminacja«, bo w ten sposób łatwo byłoby dołożyć cegiełkę do »wojny płci«. Mamy tendencję do zakładania, że jeśli jedna płeć jest dyskryminowana, to druga nie. To nieprawda – kobiety również są dyskryminowane, ale w innych sytuacjach, np. gdy pracodawca przy zatrudnianiu bierze pod uwagę plany macierzyńskie kandydatki. Dyskusje o dyskryminacji szybko przeradzają się w poszukiwanie winnych: gdy wskazujemy dyskryminowanych, to poszukujemy też dyskryminujących".

W ten sposób wojnę płci nakręca Śmieja. Przytaczając przykład dyskryminacji w PKP – gdzie konduktorzy nie dostają posiłków, które otrzymują konduktorki – podaje serię hipotetycznych innych sytuacji, w których to kobiety mogą być dyskryminowane. Najwyraźniej nie zgadza się z moją tezą, że w różnych sytuacjach dyskryminowane mogą być różne grupy.

Nie pisze też, że ta dyskryminacja mężczyzn wynika z przepisów BHP, podczas

eprasa.pl d1efa56a26



„Michał Gulczyński skutecznie mebluje męskie głowy. Przyjrzyjmy się jego metodzie" – napisał prof. Wojciech Śmieja, recenzując wydaną właśnie książkę „Mężczyźni. O nierówności płci". Dziś publikujemy odpowiedź jej autora, do której Wojciech Śmieja odniesie się w kolejnym numerze.

gdy przytoczone rodzaje dyskryminacji kobiet są zakazane prawnie. Właśnie dlatego Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn apeluje do ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk o audyt równego traktowania pracowników spółek Skarbu Państwa – obejmujący oczywiście oprócz BHP także nierówności płac i awansów oraz doświadczenia przemocy. Na razie bez odzewu.

Podczas gdy ja apeluję: „nie licytujmy się", Śmieja stwierdza, że „boisko jest wciąż przechylone na korzyść mężczyzn", i ostrzega, że zajęcie się problemami opisanymi w książce (które dotyczą głównie mężczyzn klas ludowych) byłoby „dalszym przechylaniem". Rzecz w tym, że równość płci nie jest „grą o sumie zerowej" – rozwiązywanie problemów chłopców i mężczyzn nie wyklucza rozwiązywania problemów kobiet.

Insynuacje

Śmieja przypisuje mi promowanie polityk „wzmacniania męskiego pierwiastka", charakterystycznych dla systemów autorytarnych, i insynuuje, że nie robię tego bezinteresownie. Zarzuca również mnie i Stowarzyszeniu, że kopiujemy „amerykański pierwowzór: założony mniej więcej w tym samym czasie American Institute for Boys and Men, rozwijający idee znane wcześniej z publikacji firmowanych przez konserwatywny i powiązany z Partią Republikańską think tank Heritage Foundation".

Śmieja wie (bo odpowiadałem już na jego zarzut), że mój raport powstał przed książką Richarda Reevesa, a Stowarzyszenie przed AIBM. Nie mogą ich więc kopiować. Książkę Reevesa promował zresztą... Barack Obama, a nie Partia Republikańska. Były prezydent z Partii Demokratycznej mówił: „Uważam, że istnieją pewne szczególne problemy dotyczące chłopców, którymi jako społeczeństwo się nie zajmujemy".

Jeśli narracje Reevesa, Obamy i moje są podobne, to chyba czas, by polscy progresywiści przemyśleli swoje uprzedzenia i zobaczyli w tej książce szansę. Od nich zależy, czy sięgną po moje propozycje, zanim zrobi to prawica. Dalsze przemilczanie nierówności to prosta droga do radykalizowania mężczyzn.

Śmieja pisze, że „szybkie media w rodzaju Kanału Zero podchwytują opowieść". Nic jednak nie wiem o tym, by Kanał Zero mówił cokolwiek o mojej książce przed publikacją jego recenzji. Nie wiem też, z jakiego medium pochodzą oceny, że książka jest „neutralna, umiarkowana i wyważona", choć cieszy mnie, że tak jest postrzegana. Najbliżej była chyba Justyna Dżbik-Kluge z radiowej Czwórki, pisząc: „Ta książka zapowiada się jako głos ze środka dyskusji, którego bardzo mi brakuje".

Zmartwię więc Profesora: „mebluję" nie tylko męskie głowy. I nie tylko „staram się nie być antykobiecy", ale nawet szczerze nie jestem.

Kto szkodzi nauce?

Śmieja twierdzi, że „nie zna[m] innego feminizmu niż liberalny". Parę zdań później stawia przeciwny zarzut: że „lubi[ę] przejmować sformułowania rozpoznawalne dla teorii feministycznej, jak »gotowi na zmianę« (bell hooks)". Czyli jednak znam inny feminizm. Nie bez powodu poświęciłem jego różnorodności cały podrozdział.

Recenzent broni też *gender studies*: niepotrzebnie – sam przyznaję, że z nich korzystam. Sądzę zarazem, że wsłuchiwanie się w doświadczenia grup niedoreprezentowanych powinno być naturalną reakcją badacza płci. Tymczasem, gdy mówię o doświadczeniach z konferencji genderowych, Śmieja porównuje te relacje do teorii spiskowych.

Sam jest jednak przykładem odporności niektórych naukowców na nowe perspektywy: moja praca wywołuje u niego same złe skojarzenia. Powtarza więc te same hasła, zamiast odnieść się do moich argumentów i popchnąć dyskusję do przodu. Wielokrotnie przypisuje mi wymyślone stwierdzenia, ukryte intencje i wprost ignoruje fakty. Takie metody nie przyniosą nic dobrego ani równościowym ideom, ani reputacji nauki. Nie wystarczy do każdej nowej propozycji przykleić łatki autorytaryzmu i backlashu.

Wiele do zrobienia

Z przyjemnością czytam natomiast o swojej skuteczności. Po pięciu latach od publikacji raportu „Przemilczane nierówności" rzeczywiście te problemy są zauważane. Niektórzy politycy z lewicy i prawicy zaczynają się nimi zajmować. Udało nam się stworzyć stowarzyszenie zrzeszające 120 mężczyzn i kobiet. Organizujemy już trzeci Kongres Mężczyzn z udziałem ekspertów i pod patronatem RPO. W tym roku będziemy dyskutować o przełamywaniu stereotypów w pracy, aktywności obywatelskiej mężczyzn, resocjalizacji i zapobieganiu przestępczości.

Jestem pewien, że to dopiero początek. Mam nadzieję, że za kolejne 5 lat będę mógł powiedzieć: wiek emerytalny został wyrównany, równe emerytury stażowe wprowadzone, a przepisy BHP zaktualizowane. Rodzinom wreszcie opłaca się, by ojcowie brali urlopy rodzicielskie, a rząd wprowadził programy odpowiadające na lukę edukacyjną i niską średnią długość życia mężczyzn. Skorzysta na tym całe społeczeństwo – i mężczyźni, i kobiety. ©

DR MICHAŁ GULCZYŃSKI *jest autorem książki „Mężczyźni. O nierówności płci". Współzałożyciel Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn.*

eprasa.pl d1efa56a26



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Trening piłki nożnej dla dzieci na boisku Orlik. Gdańsk, czerwiec 2017 r.

Dzieli nas piłka

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

SPORT | Buduje więzi między ludźmi, hartuje ducha i ciało, ale jest też powodem kontuzji i permanentnego stresu. Futbol pod rękę z niedojrzałymi rodzicami potrafi wycisnąć dziecko jak cytrynę.

Kuba, gdzie lecisz? Kiwaj się! Nie podawaj! Idziesz! Sam!!!

Mężczyzna trzymający się kurczowo płotu boiska krzyczy co sił w płucach. Trwa turniej na murawie zamojskiego orlika; walczą drużyny siedmiolatków z okręgu. Rodzice kibicują na trybunach. Słychać głosy: „Za co ja płacę?", „Nie po to tyle jechałem, żeby patrzeć, jak przegrywają". Dwóch chłopców ociera łzy, zerka na trybuny i próbuje grać dalej.

– Gdyby Lewandowski tak grał, to by całe życie kiblował w Unii Hrubieszów. I czego beczysz?! – ojciec Kuby zrzędzi, ciągnąc go do auta.

Sebastian Luterek, trener i dyrektor szkółki piłkarskiej Gryf Gmina Zamość, pochodzi ze sportowej rodziny. Ojciec był sędzią piłkarskim, wujek trenował piłkę ręczną w Padwie Zamość. Podczas pracy z dziećmi Luterek spotkał wielu „napompowanych" ojców, którzy przyprowadzali syna na trening i ogłaszali, że oto zjawił się następca Ronalda czy Lewandowskiego. W branży mówi się na nich KOR, czyli komitet oszalałych rodziców.

– Oni są przekonani, że ich dziecko to „urodzony napastnik", albo mają pretensje, że za krótko grało podczas meczu. Pamiętam, jak podczas jednego ze sparingów zawodnicy przeciwnej drużyny grali ostro i sfaulowali naszego chłopaka. Jego rodzice wpadli na boisko i zrobili ogromne zamieszanie. Mecz został przerwany, przyjechała karetka, na szczęście dziecku nic poważnego się nie stało – opisuje Luterek.

Piotr Mróz, z wykształcenia nauczyciel, a z pasji miłośnik piłki nożnej, spędził wiele godzin na boisku kibicując synowi. Janek grał na początku w klubie w Zamościu, a ponieważ dobrze mu szło, przeniósł się do Cracovii (w Krakowie mieszka u krewnych). Bywało, że ojciec przemierzał motocyklem setki kilometrów, by oglądać jego występ na boisku.

– Byłem świadkiem, jak podczas meczu ligi wojewódzkiej rodzice obrzucili wyzwiskami dzieci z przeciwnej drużyny. Nie był to jeden rodzic, ale cała grupa z pozoru zwyczajnych, normalnych ludzi – wspomina Mróz. – Myślę, że na początku piłkarskiej drogi zawodnika toksyczni rodzice to wielki problem. Wiele poważnych akademii piłkarskich, na przykład Bayern Monachium, nie życzy sobie ich obecności podczas treningów.

eprasa.pl d1efa56a26

Gdy dziecko się boi

Monika Pawłowska z Warszawy lubi oglądać mecze dzieci, zatrzymuje się przy boiskach nawet podczas zagranicznych podróży. Wkręciła się w futbol dzięki synowi, który gra od szóstego roku życia.

– Przeszedł w Warszawie przez trzy szkółki. Zdarzało nam się w tym czasie obserwować trenerów, którzy wciąż krzyczeli i przeklinali. Powinni mieć zakaz zbliżania się do dzieci, ale na szczęście nie pracowali z moim synem. Teraz gra w Akademii Piłkarskiej Wilki Warszawa i z radością chodzi na treningi – zapewnia pani Monika, której zdaniem w topowych warszawskich klubach jest ogromna rywalizacja między dziećmi (i rodzicami), która rodzi presję, a z nią zawodnicy nie zawsze potrafią sobie poradzić. W grupach jest duża rotacja, a po obozie treningowym drużyna potrafi zmniejszyć się o trzech zawodników.

Dzieci bardzo to przeżywają, dlatego aby utrzymać się w klubie lub w pierwszym składzie, uczęszczają na dodatkowe zajęcia indywidualne. Te „korepetycje z piłki" mogą kosztować u „medialnych" trenerów nawet do 300 zł za spotkanie. Dziecko ma w efekcie trzy-cztery popołudnia zajęte, a w weekendy jeździ na mecze.

– Wielu rodziców wierzy, że w ten sposób uda im się wychować nietuzinkowego piłkarza. Poświęcają temu mnóstwo pieniędzy oraz czasu, bo już sam trening z dojazdem zabiera w dużym mieście trzy i pół godziny – podkreśla Pawłowska.

Kiedy dziecko ma dość, często boi się powiedzieć rodzicom, że już nie chce trenować. Sport jest przecież nie tylko jego aktywnością, ale wręcz rodzinnym projektem. W cotygodniowym grafiku rozpisane są podwózki na trening, odbieranie ze szkoły, szybki obiad między zajęciami, wyjazdy na turnieje. Często realizacja takiego scenariusza jest niemożliwa bez zaangażowania dziadka i babci.

– Dzieci żyją pod dużą presją, ale jej charakter zmienił się na przestrzeni ostatnich lat. Ona jest bardziej zakamuflowana, ubrana w troskę. Rodzice wkładają w rozwój dziecka ogrom energii, więc chcieliby, żeby wykorzystało szansę. W konsekwencji mecz staje się czymś w rodzaju raty kredytu, które dziecko spłaca. Idzie na boisko w przekonaniu, że ten wysiłek musi się zwrócić – tłumaczy Ewa Serwotka, psycholog i wiceprezeska Fundacji Sportu Pozytywnego.

Mniej niż jeden procent

Kamila ma dwóch synów. Piotrek gra dla przyjemności w lokalnym klubie, Michał został „wyskautowany" do Arki Gdynia i nie opuszcza żadnego treningu, dla niego liczy się bardziej wynik niż zabawa.

– Drużyna drugiego mojego syna, Piotrka, czasem przegra 6 do 1, ale on jest z siebie zadowolony. Uważa, że dobrze mu poszło, bo to on strzelił tego jednego gola. Michał ma inny „mental", mocno przeżywa przegrane spotkania. W Arce do każdego meczu są powołania, a emocje takie, jakby walczyli o Ligę Mistrzów – żartuje Kamila.

Dzieci z klubu Michała mają świadomość, że muszą dużo trenować, by utrzymać się w zespole. Z 20 zawodników trener wybiera drużynę na topowe turnieje, pozostali biorą udział w innych rozgrywkach. Lęk przed tym, żeby dobrze wypaść, jest tak wielki, że Michał widział już chłopaków wymiotujących w krzakach.

Rodzicom również zależy na wynikach, dlatego zdecydowana większość chłopców chodzi na indywidualne treningi. Godzina zajęć w parze u „wziętych" trenerów kosztuje na Wybrzeżu ok. 180 zł od osoby. W sieci mnożą się ogłoszenia: „Chcesz, żeby twoje dziecko się wyróżniało? Zapisz je na indywidualne zajęcia".

– Na tak wczesnym etapie trudno stwierdzić, czy dziecko będzie zawodowym piłkarzem. Mądrzy trenerzy często powtarzają, że mniej niż 1 proc. młodych futbolistów w dorosłym życiu zajmuje się profesjonalnie piłką nożną, dlatego powinni mieć drugą pasję. Nie można wszystkiego stawiać na jedną kartę. Ale kiedy na to znaleźć czas? – pyta Kamila.

Mama Piotrka i Michała podkreśla, że jej synowie spędzają życie w klubie lub na orlikach (czasem dowozi im na boisko pierogi). Treningi sprawiły, że chłopcy są zahartowani, nie chorują, mają znajomych, z którymi lubią spędzać czas. Jednak piłka nożna to nie tylko hobby, wielu ludzi robi na tym biznes. Aktywność sportowa Michała pochłania rocznie 12 tys. zł, a chłopak jest dopiero dziesięciolatkiem. Opłata za klub to 250 zł na miesiąc, są też wyjazdy weekendowe, obozy, dodatkowe treningi, buty etc.

– Chłopcy jadą na turniej wynajętym busem. Jak odbywa się daleko od domu, zostają tam na noc. A rodzice, choć nie jest to konieczne, jadą za nimi swoimi autami. Mamy świetnego trenera, który zrobił szkolenie na temat kibicowania, ale co tu kryć, niektórym dorosłym odbija. Nie panują nad emocjami, a wypite przed czy podczas turnieju „procenty" też robią swoje – opowiada Kamila, podkreślając, że podczas kibicowania nie można używać imienia dziecka ani pouczać go z trybun. Żaden rodzic nie może też wchodzić na boisko ani pić alkoholu podczas meczu, ale nikt nie sprawdza alkomatem, czy dorośli nie spożywali go wcześniej.

Wycisnąć jak cytrynę

Ewelina Sikorska, autorka bloga o treningach i zdrowiu młodego piłkarza (prostozboiska.pl), zamieściła na swojej stronie dekalog hiszpańskiego rodzica-kibica. Są tam m.in. takie reguły: nie krzycz na trenera, zostaw sędziego w spokoju, nie pouczaj dziecka, bądź pewny, że daje z siebie wszystko.

Brzmi całkiem rozsądnie, ale okazuje się, że wielu polskich rodziców nie potrafi przyjąć tych zasad. W mediach co pewien czas pojawiają się informacje o ich awanturach na boisku. W Krośnie podczas turnieju w marcu 2024 roku, w którym uczestniczyły drużyny dziesięciolatków z Polski, Litwy, Czech, Słowacji i Węgier, pijani rodzice chłopców z klubu Hetman Zamość wbiegli na murawę w trakcie meczu i przerwali spotkanie, wściekli na decyzje sędziego. Za skandaliczne zachowanie dorosłych odpowiedziały dzieci. Drużyna została wykluczona z gry.

– Nie udało się ojcu, więc przerzuca ambicje na syna. Staram się rozmawiać z rodzicami i tłumaczyć, że dzisiaj dziecko może być najlepsze, ale za rok jego forma może czasowo spaść, bo jest w okresie dojrzewania. Niestety, przez presję rodziców w tym okresie zginęło wiele talentów. Nie umieli odpuścić, przenosili dziecko z klubu do klubu. Zamiast wspierać, wchodzili w buty trenera – opisuje nasze realia Michał Libich, trener warszawskich klubów, który pracował m.in. z takimi zawodnikami jak Jan Ziółkowski, grający dziś w AS Roma.

Libich twierdzi, że do ok. 11. roku życia piłka jest sportem indywidualnym, a dziecko powinno grać na różnych pozycjach, trener zaś nie może skupiać się tylko na wyniku. – W piłce dziecięcej w centrum stoi zawodnik, a nie drużyna, tymczasem u nas wciąż pokutuje dawne myślenie. Najważniejsze jest, żeby wygrać ↦

eprasa.pl d1efa56a26



ARCHIWUM PRYWATNE

Michał Libich, trener warszawskich klubów piłkarskich

↦ tu i teraz. Tego chce wielu trenerów oraz rodziców, jednak takie podejście powoduje, że dzieci od najmłodszych lat grają w stresie, a po 10 latach ulegają wypaleniu. Tracą ochotę na grę, bo system wycisnął ich jak cytrynę – komentuje Libich.

Ewelina Sikorska stworzyła bloga właśnie dlatego, by pokazać, z jakimi problemami zmagają się młodzi piłkarze. A jest ich sporo, bo choć piłka hartuje ducha i ciało, buduje więzi między ludźmi i rozwija zdolności społeczne, jest też powodem stresu oraz kontuzji.

– Chłopcy bardziej rozwinięci fizycznie są mocno eksploatowani i przeciążani, ale jak zdarzy się kontuzja, rodzic zostaje z tym sam. Musi chodzić do polecanych lekarzy prywatnie, bo liczy się czas. Nie ma też dobrych ubezpieczeń – wylicza Sikorska.

Liczy się tylko piłka

Weronika, brunetka po trzydziestce, kibicowanie ma we krwi. Ojciec był piłkarzem, a później trenerem, więc jeździła na mecze z mamą. Na boisku poznała przyszłego męża, a teraz szykuje herbatę do termosu, kanapki i jeździ na treningi i turnieje synów. Czasem gardło ma zdarte, nogi przemoczone, ręce skostniałe, ale nie narzeka. Wie, że dzieci są szczęśliwe.

Dorośli zapominają,
że futbol ma być w życiu dziecka głównie czasem relaksu i zabawy,
a nie poligonem,
na którym trener-dowódca
„wyciska” z niego wyniki.

– Wozimy starszego z synów na treningi do Avii Świdnik, dwa razy w tygodniu. 14-letni Karol uczy się w aucie, bo taka wyprawa zabiera łącznie cztery godziny, do domu wraca około 22.30. Dla niego liczy się tylko piłka – podkreśla Weronika.

W 2025 roku rodzice zapłacili za treningi, obozy i leczenie kontuzji starszego syna 25 tys. zł, młodszy kosztował ich 11 tys. zł. Pieniądze to jednak nie wszystko, trzeba pamiętać o tym, by młody piłkarz stosował odpowiednią dietę i prowadził tryb życia oparty na wielu wyrzeczeniach.

– Nie przesadzałbym z tymi wyrzeczeniami. Więcej jest korzyści – uważa z kolei Piotr Mróz. – Janek uczy się funkcjonować w grupie, zdobywać uznanie, kształtować swoją pozycję, brać odpowiedzialność za drużynę. To mu się zawsze przyda. A jeśli zostanie świetnym piłkarzem, to rozpoznają go na ulicy, czasem nie zapłaci w restauracji lub za taksówkę. Na jego mecze przyjdą reprezentanci Polski i sławni trenerzy, pozna znane osoby. Jednym słowem, to może być najfajniejszy zawód świata.

Jednak zanim młody zawodnik osiągnie sukces, musi pracować na dwa etaty: jeden w szkole, drugi na treningu. Ambitni rodzice potrafią jeszcze wcisnąć w grafik korepetycje z języków obcych oraz basen, który dobrze wpływa na rozwój sylwetki.

– Chłopcy grający w szkółkach piłkarskich przy klubach, które walczą w najwyższych ligach, są najczęściej przygotowywani do kariery sportowej. Tam jest duża presja ze strony trenerów i krewnych. Oczywiście, nie można generalizować, są rodzice bardzo świadomi, gotowi do rozmowy i edukacji, ale z perspektywy pracy w gabinecie widzę, że czasami chęć kooperacji jest tylko deklaratywna i nie przekłada się na zmianę w zachowaniu – tłumaczy Julia Badowska-Klimczak, psycholożka sportu specjalizująca się w pracy z młodymi zawodnikami i ich trenerami. – Zdarza się, że ojciec tłumaczy: „Jak na niego nakrzyczę, będzie grał lepiej”. W krótkim okresie to może zadziałać, ale w dłuższej perspektywie przyniesie odwrotny efekt.

Badowska-Klimczak uczy swoich klientów radzenia sobie ze stresem, bo jak podkreśla, w sporcie jest on codziennością, ale działa na zawodnika mobilizująco pod warunkiem, że jest odpowiednio wykorzystany. Nie da się przekonać do profesjonalnego sportu osoby, która żyjąc pod długotrwałą presją, straciła już przyjemność grania.

– Czasem dzieci są tak przeładowane zajęciami, że mogą spotkać się ze mną w gabinecie na przykład tylko we wtorek o godz. 20. Nie ma szans, żeby ośmiolatek po całym dniu w szkole i na treningu miał siłę do pracy z psychologiem – wyjaśnia Badowska-Klimczak.

Rezygnacja to nie słabość

Z ostatniej analizy GUS dotyczącej kultury fizycznej Polaków wynika, że najbardziej popularnym sportem była u nas piłka nożna (lata 2023-2024). Uprawiało

eprasa.pl d1efa56a26

ją 36 proc. ankietowanych. Z kolei badania zlecone w 2024 roku przez firmę ubezpieczeniową Compensa wykazały, że ok. połowy polskich dzieci kilka razy w tygodniu uprawia sport. Chłopcy wolą aktywności drużynowe, a 60 proc. z nich wybrało piłkę nożną.

Jednak między 13. a 15. rokiem życia bardzo wielu nastolatków rezygnuje z futbolu. Wielu przyznaje, że do porzucenia piłki przyczynili się trenerzy i rodzice. Dorośli zapominają, że futbol ma być w życiu dziecka głównie czasem relaksu i zabawy, a nie poligonem, na którym trener-dowódca „wyciska" z niego wyniki.

Dlatego rezygnacja z gry bywa przez niektórych rodziców odbierana jak osobista porażka. Mają poczucie (zwłaszcza ojcowie), że ich wysiłek poszedł na marne, a syn zawiódł. Nie pozostaje to bez wpływu na atmosferę w domu.

– Kiedy Bartek rzucił nagle po dziesięciu latach treningi w Legii, mąż chodził za nim przez kilka miesięcy i nie przestawał pytać: „Jak możesz nam to robić?", „Co się stało?". Z każdej strony słyszeliśmy przecież, że to „diament" i że czekają na niego europejskie stadiony – opisuje Zuzanna, która długo nie mogła zaakceptować decyzji dziecka.



ARCHIWUM PRYWATNE

EWA SERWOTKA, PSYCHOLOŻKA:

Jeśli chcemy dać dziecku szansę na harmonijny rozwój, musimy się nauczyć odpuszczania i jemu, i sobie. Długotrwała presja nie buduje odporności. Ona ją zużywa.

Od tego czasu minęły dwa lata, a mama Bartka patrzy na jego decyzję z większym dystansem. Chłopak wybrał dobre technikum i nie chce już spędzać wszystkich popołudni na boisku. Jednak mąż Zuzanny nie do końca pogodził się z tym wyborem. Zdarza mu się rzucić do syna: „mogłeś być Kimś, a zostaniesz zwykłym Kowalskim".

– Rezygnacja ze sportu nie jest oznaką słabości – podsumowuje psycholożka Ewa Serwotka. – Dziecko musi mieć prawo do własnych wyborów, nawet do nudy. Trudno to dzisiaj zaakceptować, bo żyjemy w kulcie sukcesu i wyróżniania się, a ludzie są poddawani nieustannym audytom. Jeśli jednak chcemy dać dziecku szansę na harmonijny rozwój, musimy się nauczyć odpuszczania i jemu, i sobie. Długotrwała presja nie buduje odporności. Ona ją zużywa.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

29 KWIETNIA
w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki
(Pl. Szczepański 3a, Kraków)
odbędzie się debata
„Kraków – wspólnota kultury. Biznes, kultura i technologia"

Czy miasto może być jednocześnie centrum biznesu, laboratorium technologii i żywym organizmem kultury? Kraków od lat udowadnia, że tak. Kolejna odsłona Debaty Powszechnej to spotkanie ludzi, którym zależy na tym, aby tę tezę potwierdzić.

Zapraszamy do rozmowy o tym, jak sztuka, przedsiębiorczość i nowe technologie mogą się nawzajem wzmacniać – zamiast ze sobą konkurować. W obliczu automatyzacji, kryzysu zaufania do mediów i rewolucji wywołanej przez sztuczną inteligencję pytania o przyszłość sektora kreatywnego stają się pytaniami o przyszłość nas wszystkich.

Podczas debaty porozmawiamy o:

Nowym mecenacie – kto dziś powinien finansować kulturę? Czy tradycyjne dotacje publiczne wystarczą, czy przyszłość leży w crowdfundingu, inwestycjach społecznych i zaangażowaniu biznesu?

Mediach i ekonomii uwagi – jak algorytmy zmieniają jakość publicznej rozmowy i czy możemy odbudować zaufanie do mediów w czasach, gdy granica między informacją a dezinformacją jest coraz trudniejsza do uchwycenia?

Kulturze po algorytmie – sztuczna inteligencja tworzy obrazy, muzykę i teksty. Czy to zagrożenie dla twórców, czy otwarcie na zupełnie nowe możliwości?

Krakowie jako laboratorium przyszłości – co dzieje się tu i teraz: miejskie inicjatywy, które łączą technologię, biznes i lokalną kreatywność w jeden ekosystem.

DEBATA POWSZECHNA TO CYKL OTWARTYCH SPOTKAŃ,
W KTÓRYCH KAŻDY GŁOS SIĘ LICZY. PRZYCHODŹ Z PYTANIAMI.

Wydarzenie jest otwarte dla publiczności – wystarczy się zarejestrować
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/debatapowszechna

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER GŁÓWNY: Kraków

eprasa.pl d1efa56a26

OLGA

Drenda: *Świat i ludzie!*



„Zakład jest czynny, gdy jestem wolny” – taką kartkę z informacją w oknie salonu fryzjerskiego utrwalił przed laty świetny fotoreporter Aleksander Jałosiński. Miał to być jedynie praktyczny komunikat dla klientów, bo fryzjer trudnił się też sprzedażą na targu, więc gdy nie widziano go przy straganie, można było się strzyc. Ale wyszło też niechcący motto na życie.

Często myślę o tym zdjęciu, bo chciałabym mieć podobną postawę, takie niezachwiane przekonanie, że na wszystko jest pora, i że „można tyle, ile można, a trzeba tyle, ile trzeba”. Aleksander Jałosiński komentował też kiedyś, że zdjęcie było dla niego małą przypowieścią o dobrej, solidnej pracy. A ta jest możliwa, gdy czujemy się właśnie wolni (cichego bohatera tego obrazu nie znamy i musimy sobie co nieco dopowiedzieć, ale posiłkując się opowieścią fotografa, możemy założyć, że jedna z prac była mu droga i się z nią utożsamiał, a druga jedynie dochodowa, ale widać z tej przyczyny niezbędna). Oczywiście chciałabym, a praktyka swoją drogą. Szewc bez butów chodzi, czy fryzjer bez fryzury.

Poczucie wolności (oraz dobrowolności) nadaje pewności naszemu myśleniu i działaniu. Gdy słyszymy „wiem, co robię”, bywa to pyszałkowatą obroną własnego ego i marnym kamuflażem dla mocno prześwitującej niewiedzy. Zupełnie innym doświadczeniem jest jednak kontakt z kimś, kto faktycznie wie, co robi. To jak obserwowanie wielkiego, spokojnego malamuta, który godnie kroczy na spacerze, obszczekiwany zajadle przez mniejsze pieski gotowe odlecieć z natężenia emocji. Wspaniale jest np. jechać autem z kierowcą, który takie poczucie ma. Nie daje się wtedy wyprowadzić z równowagi żadnym drogowym pieniaczom i nerwusom. Roztrzęsienie i nerwowość zwiększają ryzyko, że popełnimy głupi błąd, zdenerwujemy się jeszcze bardziej, potem czekają poprawki i tak bez końca.



OLGA DRENDA

Oszczędzasz. Ale co?

Miło jest myśleć, że raz uzyskawszy tę pewność, będziemy jak skała. Niestety, całe życie pod wiatr, a dookoła czają się rabusie i sabotażyści, którym siła spokoju nie w smak. Przywykłam już, że moje życie jest nieustanną walką o tę cenną autonomię, ale ostatnio obserwuję własne ustawiczne porażki w starciu z sabotażystą znanym jako „szacowany czas dotarcia na miejsce”. W opowieści wygląda to jak *slapstick*, co nieco poprawia mój humor, ale w samym centrum tej sytuacji wcale nie jest wesoło.

Wiedział o tym Lewis Carroll, który w „Alicji” uwzględnił postać Białego Królika, zatroskanego, że nie zdąży na bardzo ważne wydarzenie. I Walt Disney, który już bardzo dawno temu stworzył kreskówkę „Motor Mania”. Poczciwy i nieco ospały dusza człowiek (a raczej piesek) Goofy zmienia się w niej w kipiącego irytacją i wygrażającego pięścią w niebo frustrata – wystarczy, że wsiądzie za kierownicę. Goofy tak przywiązuje się do obietnicy dotarcia na miejsce szybko i bez przeszkód, że znika jego tolerancja na jakąkolwiek przeszkodę (nie mówiąc o tysiącu innych kierowców, którzy dzielą to samo marzenie). Biały Królik daje się przekonać, że wszystko jest jednakowo pilne i ważne, choć oczywiście to niemożliwe.

Tu pora na wstydliwe wyznanie. Zwracanie uwagi na szacowany czas dojazdu zmieniło mnie (czasami, na szczęście, i mam nadzieję, że tymczasowo) w nieznośną kombinację cech tych dwóch postaci. Coś, co miało w zamyśle czynić życie wygodniejszym, wypełniło obiecany „zaoszczędzony czas” smogiem nerwowości. Pokładając zaufanie w podanej liczbie, zaczęłam beztrosko ignorować czynniki losowe. Rezultat był katastrofalny: utknęłam w pułapce rozkładania każdej czynności na części pierwsze, żeby tylko zmieścić się w deklarowanym czasie. Oczywiście nie tylko się nie udawało, ale traciłam czas i nerwy na nieustanne kalkulacje. Była to nieprzyjemna przygoda, której konsekwencje teraz staram się neutralizować. Postanowiłam ignorować wszelkie szacunki i polegać wyłącznie na sobie, już nigdy nie poświęcając poczucia wolności i wywiązywania się z zadań po swojemu na rzecz pozornej wygody (co kończy się złością na własne wewnętrzne dziecko za to, że nie dość szybko pakuje plecaczek).

Są ludzie, którzy – jak wydaje mi się z zewnątrz – mają w głowie niezawodną intuicję co do czasu i przestrzeni. Ich umysły zostały zatwierdzone chyba przez Okręgowy Urząd Miar i do dzisiaj nie wychodzę z podziwu. Zetknęłam się z takim przypadkiem w czasach szkolnych, kiedy wracając z urodzin w słabo mi znanym mieście, zbierałam się na powrotny autobus. Gospodyni imprezy ze zdziwieniem powiedziała mi, że autobus odjeżdża dopiero za siedem minut. Gdyby była z Mazowsza, mogłaby oświadczyć nonszalancko: „Świat i ludzie!”, jak mawia się tam, gdy mamy czegoś więcej niż potrzeba. Dla mnie, przyzwyczajonej do mieszkania całe życie na końcu świata, to siedem minut oznaczało „już za chwilę” i niechybne długie czekanie na następny kurs. Przerażające, ale może to ona miała rację. ©

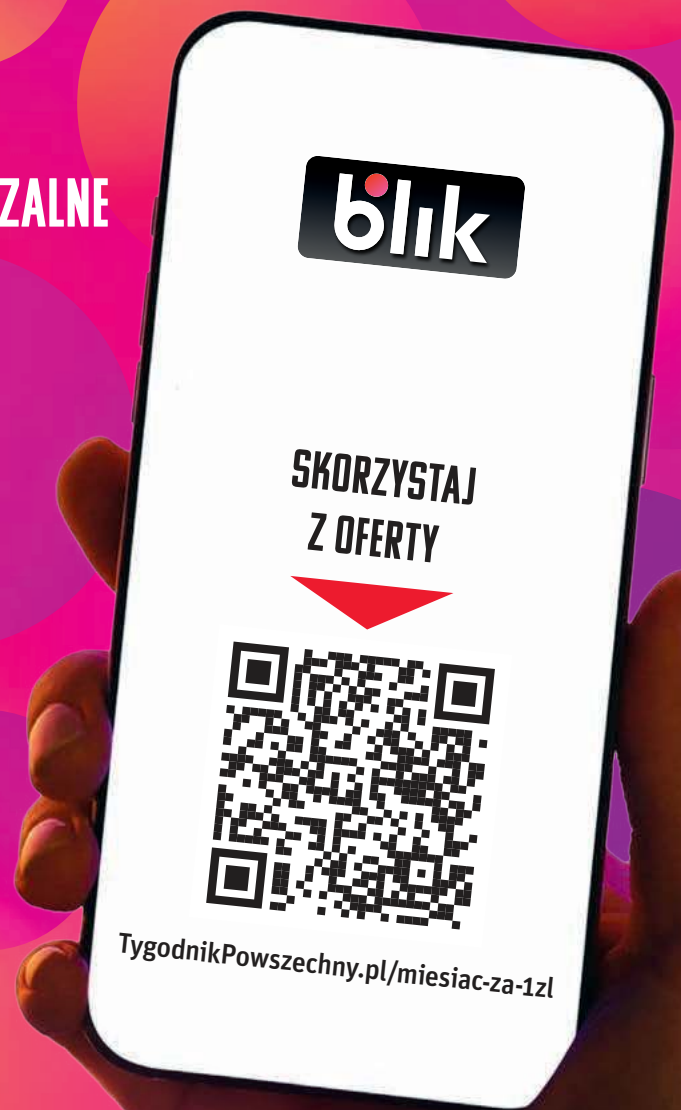
Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

eprasa.pl d1efa56a26

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚĆI POWTARZALNE
BLIK



Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Santander Bank Polska, ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl d1efa56a26

ESEJ

SPOSÓB NA ALKIBIADESÓW

Wiadomości znad Zatoki Perskiej brzmią jak cytaty z „Wojny peloponeskiej”. Wolałbym żyć w świecie, w którym nauki klasyków nie sprawdzają się na każdym kroku.

MAREK WĘCOWSKI



Późnym latem 413 roku p.n.e. nad małą rzeczką Assinaros na Sycylii rozegrał się ostatni akt dziejowego dramatu. Zostały tam zdziesiątkowane niedobitki „wielkiej armii" i „niezwyciężonej armady", potężnej wyprawy wysłanej przez Ateńczyków na podbój wyspy. Początkowo wielokrotnie słabsze siły Syrakuz, długo obleganych przez agresora, rosnące w miarę przeciągania się wojny, nie tylko stawiły skuteczny opór stojącym u szczytu powodzenia Atenom, ale ostatecznie pokonały je na morzu i na lądzie. Był to początek końca imperialnej pozycji Ateńczyków w basenie Morza Egejskiego i początek ich klęski w wojnie peloponeskiej ze Spartą.

Ateny, Syrakuzy, Sparta: konflikt asymetryczny i *proxy war*

Analogie historyczne wydają się oczywiste, ale warto je wymienić.

Daleka, skomplikowana operacja ekspedycyjna, przygotowana bez wyobraźni i z nadzieją na szybki sukces. Do tego bardzo źle skoordynowana politycznie, skoro kolejne miasta Sycylii i południowej Italii odmawiały płynącej na zachód ateńskiej flocie dostępu do swoich portów (dzisiaj powiedzielibyśmy: lotnisk).

Miażdżąca przewaga militarna i technologiczna w starciu z zaciekłym, pełnym oryginalnych pomysłów wojennych oporem o wiele słabszego przeciwnika, prowadzącego równocześnie niezwykle skuteczną kampanię polityczną – dyplomatyczną i, jak powiedzielibyśmy dziś, propagandową. W wyniku tej ostatniej Syrakuzy, przed wojną zagrażające innym Grekom na Sycylii, stały się wcieleniem bohaterskiego oporu sycylijskich „patriotów" przeciwko obcemu najeźdźcy.

Słowem, prawdziwy konflikt asymetryczny starożytności, ciekawszy nawet niż wojna obronna Hellenów przeciwko perskiemu imperializmowi dwa pokolenia wcześniej (480–479 p.n.e.).

Dodajmy jeszcze jedno. Jak dzisiaj dla Chin i Rosji, była to także *proxy war*, „wojna przez pośredników", dla Sparty. Chwilowo trwało wprawdzie zawieszenie broni w jej konflikcie z Atenami, ale okazja do osłabienia wroga w globalnej (na ówczesną skalę) grze była zbyt dobra, by z niej nie skorzystać. Na Sycylię udali się, rzekomo prywatnie, spartańscy „doradcy wojskowi" i garść sprzymierzeńców. Ich dowódca Gylippos został *de facto* dowódcą wojskowym sił syrakuzańskich.

Pomoc wojskowa „pod przykryciem", doradztwo i transfer technologii, wreszcie wsparcie polityczne. A wszystko to właściwie bez żadnego ryzyka dla Sparty, Chin czy Rosji. Nic nowego pod słońcem!

Pleoneksia, *hybris*: co zgubi Trumpa

Ale podobieństwa sięgają o wiele dalej niż wojenne fakty. Z punktu widzenia Aten była to agresja zupełnie niepotrzebna. Po pokonaniu Spartan w pierwszej fazie wojny peloponeskiej i uzyskaniu doskonałych warunków rozejmu, cieszyły się pozycją niekwestionowanego lidera greckiego świata, potęgi, która powinna była spocząć na laurach, a w wersji pesymistycznej konsolidować wewnętrznie swoje siły na użytek dalszego możliwego konfliktu ze Spartą.

Ówczesny Grek, jak zmarły zapewne niewiele wcześniej historyk wojen perskich Herodot, za przyczynę, dla której Ateńczycy nie potrafili się powstrzymać przed interwencją na Sycylii, uznałby ich *pleoneksia*, dosłownie „pragnienie posiadania wciąż więcej i więcej", charakteryzujące jego zdaniem wszystkie ambitne imperia i ich władców, jak wcześniej perskich królów niepotrzebnie wyruszających na podbój niebogatej i jałowej Grecji.

Pleoneksia to dla światowych potęg pierwszy objaw zsyłanej przez bogów *hybris*, świętokradczej pychy każącej wykraczać poza granice wyznaczone im przez bóstwo.

Pokolenie po Herodocie Tukidydes widzi sprawy nieco inaczej, choć na pewno ma w głowie wszystkie te idee. Ale nie wyraża ich wprost. Zamiast tego analizuje. I wskazuje dwie ważne przyczyny. Poza ogólną podatnością Ateńczyków na piękne hasła i nęcące perspektywy. I tu współczesne analogie rzucają nam się od razu w oczy.

Segesta, Izrael: uczniowie Alkibiadesa

Pierwsza to błąd w kalkulacji pod wpływem lokalnego sojusznika. Segesta na zachodniej Sycylii od dawna pozostawała w konflikcie z sąsiadami, a od pewnego momentu jej głównym wrogiem stały się Syrakuzy, największa, agresywna siła polityczna wschodniej części wyspy. Segestyjczycy, choć wówczas mocno już zhellenizowani, nie byli Grekami, ale potomkami wcześniejszych mieszkańców Sycylii. Anegdota starożytna przypisuje im spektakularnie wystawne ugoszczenie ateńskich posłów przysłanych dla rozpoznania sytuacji. Ateńczycy mieli wyjechać do domu przekonani o nieograniczonych zasobach finansowych gospodarzy, a więc i o tym, że potencjalna wojna prowadzona przecież w ich interesie nie pociągnie za sobą zbyt dużych nakładów ze strony Aten. W rzeczywistości wykwintne naczynia z drogich metali, na których co dzień ucztowali ateńscy dyplomaci i którymi na odjezdne ich obdarowano jako miłym „gościńcem", pożyczono podobno z lokalnych świątyń, bo sami Segestyjczycy aż tak majętni nie byli. Za to ich pomysłowość i dyplomacja najwyraźniej nie miały sobie równych.

Druga przyczyna wyprawy miała na imię Alkibiades. Młody ateński polityk, wychowanek samego Peryklesa, człowiek opromieniony chwałą sportowych i politycznych sukcesów, żyjący w szokującym dla współobywateli luksusie, prawdziwy „celebryta" tego czasu, o którym nasze antyczne źródła mówią zgodnie.

Był to z jednej strony osobnik charyzmatyczny, potrafiący pociągnąć za sobą lud, a z drugiej w swoim przekonaniu polityk „nowego stylu". Mówiąc najkrócej, przekonany o tym, że żadne reguły i zasady dotychczasowej polityki go nie obowiązują. Ostrożność starszych i bardziej doświadczonych ateńskich przywódców przedstawiał jako tchórzostwo i kunktatorstwo, a w najlepszym razie brak wyobraźni. Zapewne tego rodzaju argumentami, a także obietnicą łatwego sukcesu pokonał w debacie na Zgromadzeniu Ludowym w Atenach doświadczonego dyplomatę Nikiasza, przeciwnika wyprawy na Sycylię.

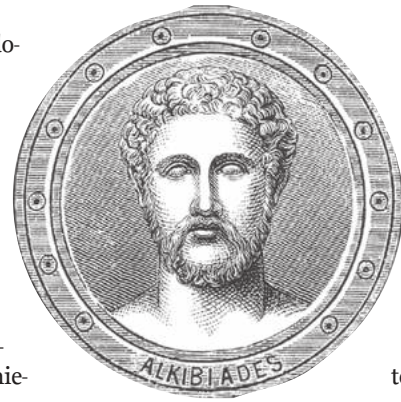
↦

Prezydent Donald Trump z pamiątkowym zdjęciem z Alaski, sierpień 2025 r.

ANNABELLE GORDON / UPI / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

eprasa.pl d1efa56a26

Dla równowagi Ateńczycy powierzyli dowodzenie ekspedycją im obu. A ponieważ wkrótce potem skompromitowany przez swoich politycznych wrogów Alkibiades na pewien czas zniknął z ateńskiego życia politycznego, dziejowa ironia sprawiła, że to ostrożny, momentami wręcz niezdecydowany Nikiasz pozostał wodzem tej awanturniczej wyprawy. I to on, człowiek pobożny, szlachetny i podobno szanowany nawet przez wrogów, stracił życie nad rzeczką Assinaros, zarżnięty już w niewoli przez zwycięzców.



GETTY IMAGES

Alkibiades na rycinie z końca XIX w.

Muszki na plaży, chłostanie morza: w epoce szalonych władców

Nie wiemy, czy sycylijski scenariusz się zrealizuje, jak skończy się amerykańska interwencja w Iranie oraz jakie skutki przyniosą bieżące działania USA i ich sojuszników w regionie. Spodziewam się też, że dla większości moich Czytelników i Czytelniczek analogią bardziej przekonującą, a na pewno ciekawszą byłoby porównanie nieobliczalnych działań i krzykliwych deklaracji współczesnego przywódcy światowego imperium z cesarskim dworem Kaliguli albo Nerona, dwu rzymskich władców, których charaktery i zachowania dobrze zapamiętano w europejskiej kulturze masowej. Zresztą historyczne analogie to tylko ilustracje naszych własnych przekonań o tym, co dzieje się wokół nas.

Sam Tukidydes, niechętny anegdotycznemu ujęciu dziejowych zdarzeń, na pewno wymagałby od nas czegoś więcej. Kazałby nam zadać sobie pytanie nie o to, co właśnie się dzieje, ale o to, jak doszło do sytuacji, w której się znajdujemy.

Jak to się stało, że nasz nowoczesny, racjonalny świat, w którym o kierunkach polityki zagranicznej decydują (pośrednio) wyborcy poszczególnych krajów i międzynarodowe umowy, wrócił do szaleństw w stylu Nerona czy Kaliguli? Sprowadzając geostrategiczne decyzje do gry pomiędzy ambicjami, niekiedy wręcz interesami władców a potakiwaniem pałacowych klakierów?

Kaligula, nie mogąc zrealizować swojego ambitnego planu podboju Brytanii, kazał podobno legionom przygotowanym do desantu na drugi brzeg Kanału La Manche... zbierać muszelki na galijskiej plaży. Magia cesarskiego słowa i autorytet władcy miały potem przedstawić je posłusznym Rzymianom jako wspaniałe łupy wielkiego zwycięstwa. To nawet ciekawszy pomysł niż popis perskiego króla Kserksesa, który po zatonięciu części inwazyjnej floty w drodze do Grecji rzekomo rozkazał swym sługom wychłostać Morze Egejskie, a potem zatopić w nim kajdany na znak całkowitego nad nim panowania.

Żeby w demokratycznych krajach do władzy dojść mogli szaleni władcy, stać się musiało wiele. I w tej sprawie posłuchajmy Tukidydesa.

Oto prawdziwy „celebryta” tamtego czasu, przekonany, że żadne reguły i zasady dotychczasowej polityki go nie obowiązują.

Walki stronnictw: polaryzacja po helleńsku

Jednym z najbardziej pamiętnych miejsc u Tukidydesa jest opis wojny domowej na Korkyrze, czyli dzisiejszej Korfu, tak popularnej wśród polskich turystów. W pewnym momencie wojny peloponeskiej, gdy zwaśnione stronnictwa polityczne wyspy sięgnęły po pomoc obu stron wielkiego militarnego konfliktu, zwykły domowy spór przeszedł w orgię bratobójczych mordów. „Mordowano w najprzeróżniejszy sposób, popełniano wszelkiego rodzaju okropności (...). Ojciec (...) zabijał syna; ludzi odciągano od ołtarzy i tuż obok uśmiercano; niektórzy nawet zginęli zamurowani w świątyni Dionizosa” (III 81.5; przeł. K. Kumaniecki).

Tukidydes diagnozuje tę sytuację jako objaw ogólniejszej choroby. „Do takiego okrucieństwa doprowadziły walki stronnictw; wydawały się one jeszcze okrutniejsze dlatego, że był to pierwszy tego rodzaju wypadek. Później bowiem, jeśli można tak powiedzieć, poruszona została cała Hellada, gdyż w każdym państwie były dwa stronnictwa i przywódcy ludu wzywali na pomoc Ateńczyków, a oligarchowie Lacedemończyków” (III 82.1; przekład K. Kumanieckiego, nieco zmieniony).

Dalej, w ponurym, podniosłym wywodzie Tukidydes tak podsumowuje to, co następnie spotkało Helladę (III 82.4–8; przekład K. Kumanieckiego, nieco zmieniony): „Wtedy również zmieniano dowolnie znaczenie wielu wyrazów. Nierozumna zuchwałość uznana została za pełną poświęcenia dla przyjaciół odwagę, przezorna wstrzemięźliwość za szukające pięknego pozoru tchórzostwo, umiar za ukrytą bojaźliwość, a kto z zasady radził się rozumu, uchodził za człowieka wygodnego i leniwego; bezmyślną zuchwałość uważano za cechę prawdziwego mężczyzny, a jeśli ktoś się nad czymś spokojnie zastanawiał, sądzono, że szuka dogodnego pretekstu, aby się wycofać. Ten, kto się oburzał i gniewał, zawsze znajdował posłuch; ten, kto się mu sprzeciwiał – był podejrzany”.

Klęska rozumu: dlaczego ulegamy propagandzie

Wynikał z tego nowy sposób uprawiania polityki: „Słuszne wnioski przeciwników politycznych przyjmowano jedynie wtedy, jeśli mieli oni także istotną przewagę, a nie z uczuciem prawdziwego zaufania. Większą też radość sprawiało móc się na kimś zemścić niż w ogóle nie doznać od nikogo krzywdy. Wszelkie układy zawarte w przymusowej sytuacji i zaprzysiężone miały wartość tylko do chwili, gdy jedna ze stron nie poczuła się silniejsza; przy pierwszej zaś sposobności ten, kto zyskał na sile, widząc przeciwnika bezbronnego, nie dotrzymywał układu. Zamiast bowiem otwarcie wrogo występować, chętniej łamano układy, nie tylko dlatego, że nie narażało to na duże niebezpieczeństwa, ale że jeszcze w nagrodę za pod-

eprasa.pl d1efa56a26

stęp przynosiło sławę przebiegłości. Większość bowiem ludzi woli uchodzić za przebiegłych nicponiów niż dobrodusznych poczciwców: pierwszym się chełpią, drugiego się wstydzą".

Niepoślednią w tym wszystkim rolę przypisał Tukidydes politycznym liderom: „Przywódcy polityczni jednej i drugiej partii posługiwali się pięknymi hasłami, mówili o równouprawnieniu wszystkich obywateli albo o rządach rozumnej arystokracji, ale w rzeczywistości, mówiąc o sprawie ogólnej, walczyli między sobą o swe prywatne interesy. Używając wszelkich metod w walce o pierwszeństwo, odważali się nawet na największe okropności, a w zemście nie oglądali się ani na prawo, ani na interes publiczny, lecz kierowali się wyłącznie samowolą. (...) Żadna partia nie szanowała świętości, a dobre imię zyskiwali ci, którzy za pomocą pięknych słów osiągali coś niegodnego. Bezpartyjnych zaś obywateli gnębiły obie strony, dlatego że nie brali udziału w walce i że zazdroszczono im spokoju".

Warto posłuchać też konkluzji Tukidydesa (III 83.1–4): „Tak więc walki partyjne stały się źródłem wszelkiego rodzaju zbrodni w Grecji; dobroduszność, która przede wszystkim opiera się na szlachetności, wydana na pośmiewisko, w ogóle zaniknęła, natomiast wszędzie spotkać można było wrogą i nieufną postawę. (...) Przeważnie też górą byli ludzie ograniczeni: w poczuciu słabości, w obawie przed przewagą umysłową przeciwników, śmiało przystępowali do czynu, wiedząc, że jeśli zawczasu nic nie zrobią, ulegną wymowie i bystrej inteligencji przeciwnika. Ci zaś, którzy uważali, że nie trzeba stosować siły tam, gdzie wyniki można osiągnąć rozumem, lekceważyli sobie takie postępowanie i wskutek tego, często bezbronni, ginęli".

Zderzenie cywilizacji: na areopagu algorytmów

Ręka do góry, komu słowa ateńskiego historyka sprzed dwu i pół tysiąca lat czegoś nie przypominają. Chociaż nie jesteśmy jeszcze w fazie zbrojnych, krwawych wojen domowych, lektura tych partii „Wojny peloponeskiej" wywołuje mrowienie w kręgosłupie.

> Żeby do władzy dojść mogli współcześni szaleni cesarze, najpierw słowa muszą zmienić swoje zwyczajne znaczenie w internetowych debatach, **a potem w publicznym dyskursie.**

Jest jednak pewna fundamentalna różnica. Tukidydes wszystkie te okropności polityki wewnętrznej uważa za konsekwencję wielkiego, dzisiaj powiedzielibyśmy: globalnego konfliktu pomiędzy mocarstwami, który zainfekował greckie wspólnoty lokalne. W naszym świecie, w którym rytm polityce nadają media społecznościowe i sensacyjne „newsy", rzecz wygląda na odwrót. Żeby do władzy dojść mogli współcześni szaleni cesarze, najpierw słowa muszą zmienić swoje zwyczajne znaczenie w internetowych debatach, a potem w publicznym dyskursie. Nierozumna zuchwałość musi zostać uznana za odwagę, wstrzemięźliwość za tchórzostwo, a umiar – za ukrytą bojaźliwość.

Naiwny, z naszej perspektywy, Tukidydes żył bowiem w niewinnych czasach, kiedy umysłami ludzi nie zawładnęły jeszcze skonfliktowane ideologie. Kiedy proste egoizmy nie potrafiły jeszcze ubrać się w krzykliwe szaty „zderzeń cywilizacji", obrony „naszych wartości", wreszcie „tradycji" albo „postępu", „lewicy" albo „prawicy". Zostawiając gdzieś w środku i wystawiając na ciosy z każdej strony tych, którzy „z zasady radzą się rozumu" i „nad czymś się spokojnie zastanawiają", „dobrodusznych poczciwców" uważających, „że nie trzeba stosować siły tam, gdzie wyniki można osiągnąć rozumem".

Przyznajmy, Tukidydes mógłby się od nas wiele nauczyć.

© MAREK WĘCOWSKI

Autor jest historykiem starożytności i filologiem klasycznym, wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Specjalizuje się w badaniach dziejów Grecji. Wydał książkę „Tu jest Grecja! Antyk na nasze czasy".

REKLAMA

Fundacja Dorastaj z Nami

www.dorastajznami.org

Dla Ciebie zginął żołnierz, strażak, policjant, a dla nich tata

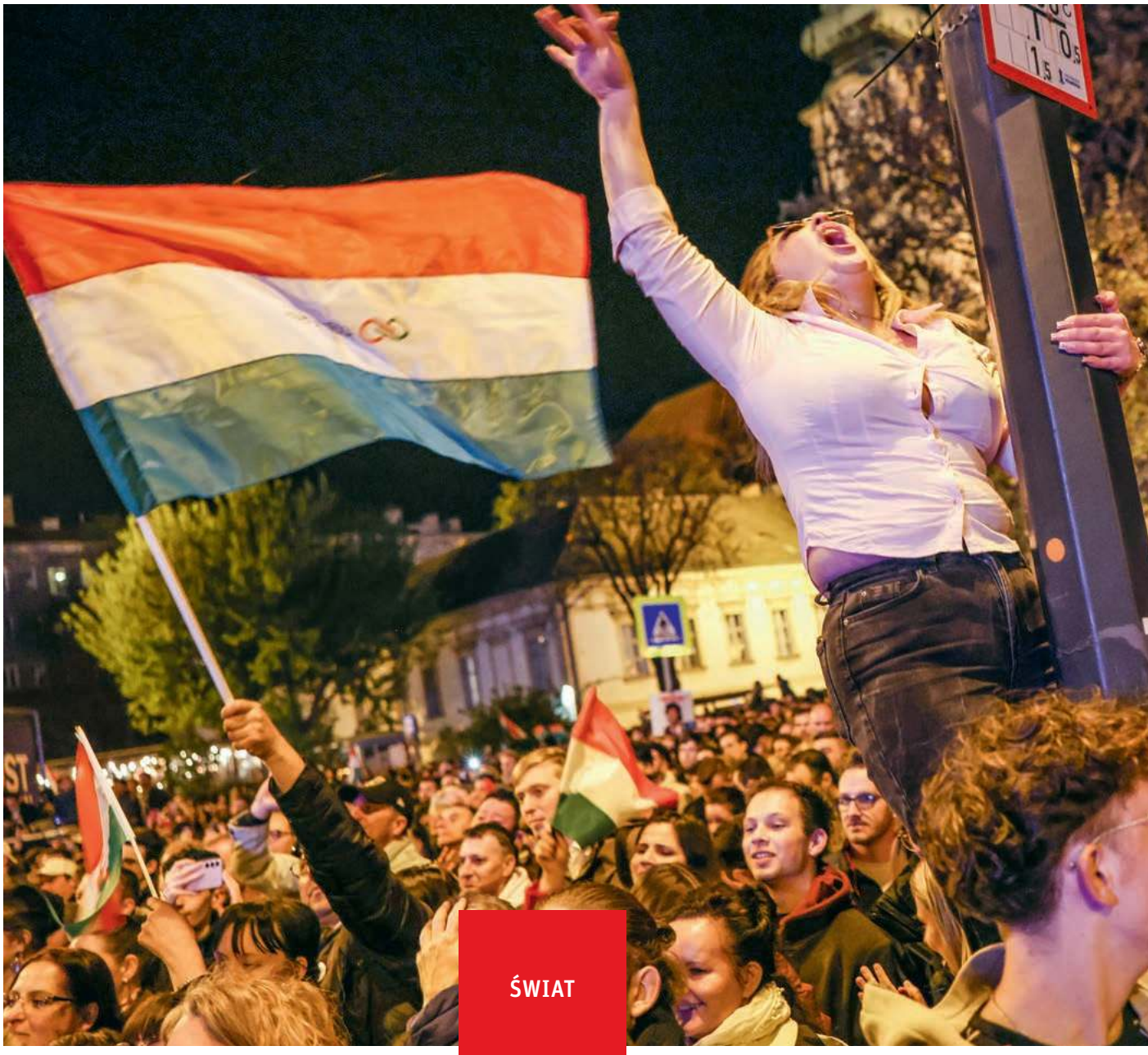
Pomóż, by chciało im się żyć



Przekaż 1,5% podatku

KRS 0000 361265

eprasa.pl c1efa56a26



ŚWIAT

BUDAPESZT W BRUKSELI?

Pytanie, czy nowe Węgry będą blokować członkostwo Ukrainy w Unii, jest wtórne wobec tego, jak Unia chce zabezpieczyć się przed powtórką z najnowszej historii Węgier.

OLAF OSICA

eprasa.pl d1efa56a26



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Budapeszt, 12 kwietnia 2026 r.

Każde wybory wyłaniają nie tylko zwycięzcę, ale ukazują też stan społecznych emocji. Miażdżąca wygrana Pétera Magyara daje nadzieję, że – niezależnie od tego, jakie poglądy ma Magyar i politycy z jego partii Tisza na energetykę czy historię – system sprawowania władzy, który w ciągu 16 lat zbudował na Węgrzech Viktor Orbán, odejdzie do historii.

„Demokracja nieliberalna" w wydaniu Orbána – oparta na systemowej korupcji, politycznym klientelizmie i całkowitej kontroli instytucji publicznych – przyniosła Węgrom mniej wolności, więcej biedy i status wasala Rosji. Z kolei dla Unii Europejskiej był to czas żmudnych – i nie zawsze zakończonych sukcesem – akrobacji w sprawie poparcia przez Węgry kolejnych pakietów sankcji na Rosję lub omijania węgierskiego weta.

Jest więc z czego się cieszyć. Jednak prosta i radosna opowieść o demokracji pokonującej autorytaryzm nie powinna powstrzymać nas przed zadaniem sobie kilku pytań.

Są one ważne nie tylko dla Węgrów, ale też dla kondycji i przyszłości Unii Europejskiej.

SYSTEM WYJĄTKOWY | Zacznijmy od tego, że Viktor Orbán stworzył naprawdę unikalny system. Węgry stały się państwem, w którym wolność wyboru sprowadzona została do samego procesu wyborczego. Wszystkie inne bezpieczniki – wolne media, wolne od politycznych nacisków instytucje publiczne (w tym sądownictwo), wolność zrzeszania się i zgromadzeń – albo nie istniały, albo zostały zredukowane do gasnącej niszowej aktywności społecznej.

Czy był to jednak system autorytarny? Jeśli za punkt odniesienia weźmiemy Hiszpanię Franco, Portugalię Salazara czy „rządy pułkowników" w Grecji, to trzeba uznać, że do tego wciąż jednak brakowało na Węgrzech „kropki nad i".

Przede wszystkim nie było ofiar ludzkich, co towarzyszy każdemu autorytaryzmowi. A opozycja nie tylko nie musiała czekać na odejście „ojca narodu", lecz wygrała wybory, których wynik nie został podważony. Być może gdyby wygrał znów Fidesz, kolejne cztery lata „domykania" systemu nie pozwoliłyby już na taką ewentualność. Ale tego już się nie dowiemy – i to dobra wiadomość.

WYSZŁO JAK ZAWSZE | Węgry pozostały też otwarte na świat, zwłaszcza na inwestycje zagraniczne. Orbán czerpał garściami z globalizacji gospodarczej. Ale nie po to, by stać się zależnym od kapitału zagranicznego, lecz by zbudować własny kapitał. Zarazem kontrolował i ograniczał polityczne oraz społeczne skutki otwarcia na zewnątrz, żeby alternatywne idee polityki i rozwoju nie podkopały jego pozycji.

Przez długi czas widziano (chciano widzieć?) w tych działaniach próbę wyznaczenia nowych granic między narzucającą model państwowy globalizacją a prawem do suwerennego kształtowania demokracji narodowych. Między potrzebą udziału w globalnym łańcuchu dostaw a potrzebą (równie ważną) budowy własnego zaplecza gospodarczego.

Jak mówi stare powiedzenie: miało być lepiej, a wyszło jak zawsze. Skończyło się na „socjalizmie dla bogatych i kapitalizmie dla biednych". Zamiast rozwijać usługi i infrastrukturę publiczną, poszerzać uczciwe reguły konkurencji dla firm i obywateli, rząd Fideszu wszedł w znaną nam z Europy Wschodniej rolę strażnika interesów oligarchów i systemu chroniącego ich bogactwo. Koszty błędów były uspołeczniane, a zyski z grabieży prywatyzowane.

Odwołując się do wcześniejszych analogii: Węgry Orbána skończyły tam, gdzie Hiszpania, Portugalia i Grecja zaczynały swój marsz do ówczesnej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (poprzedniczki Unii).

CO TERAZ? | Jak to jednak możliwe, że państwo członkowskie Unii weszło na drogę autorytaryzmu, ograniczania swobód obywatelskich i oligarchizacji gospodarki?

Prosty schemat podpowiada, że Orbán jest złym człowiekiem, ale za to niezwykle sprawnym i skutecznym politykiem, który cynicznie wykorzystuje różnice między interesami państw członkowskich oraz system traktatowy Unii.

Najważniejszym wnioskiem z doświadczenia 16 lat trudnej współpracy z Węgrami wydawać może się zatem zmiana prawa: rezygnacja z jednomyślności na rzecz kwalifikowanej większości w głosowaniach dotyczących np. polityki zagranicznej, a także ułatwienie zawieszania w prawach członkowskich tych państw, które łamią zasady praworządności.

Problem z takim myśleniem polega na tym, że Orbán jest jedynie przykładem polityka i polityki, która była, jest i zawsze będzie możliwa w każdym innym państwie. Demokracja ma to do siebie, że potrafi wynieść do władzy ludzi, którzy nie są urodzonymi demokratami, a interesy swoich krajów definiują w sposób sprzeczny z interesem pozostałych członków Unii. Kandydatów na jego następców nie brakuje i nigdy nie zabraknie. ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ **ZAKLINANIE FAKTÓW** | Żadna reforma traktatów tego by nie zmieniła. W najlepszym razie mogłaby okazać się batem na małych i słabych, nasilając jedynie ich chęć do postawienia się dużym i silnym. Albo zwiększając ich klientelizm w zamian za odpuszczenie grzechów w polityce wewnętrznej, do czego jeszcze wrócimy.

Poza tym, czy naprawdę wyobrażamy sobie, że możliwe byłoby przegłosowanie na forum Unii – zakładając, że byłaby większość kwalifikowana lub brak mniejszości blokującej – Francji rządzonej przez Marine Le Pen lub Niemiec rządzonych przez AfD w takich sprawach, jak np. sankcje związane z agresją Rosji, Izraela czy USA na inne państwo?

I czy rzeczywiście dopuszczamy perspektywę ograniczenia w prawach członkowskich rządu, który jest płatnikiem netto do budżetu Unii, za sprawą jego polityki wewnętrznej lub poglądów partii, która tworzy rząd, jak swego czasu w Austrii?

Wiemy, że to teoria – zwykłe zaklinanie rzeczywistości. Bo integracja europejska nie anulowała czynnika siły politycznej i różnic w pozycji państw. Nie jesteśmy federacją. Gdyby miało być inaczej, głosowanie większościowe opierałoby się na prostej zasadzie, że każdy członek Unii ma jeden głos.

BIZNES PONAD WSZYSTKO? | To wszystko nie znaczy, że problem, który Orbán stworzył Węgrom i Europie, nie powinien skłaniać do refleksji: jak ograniczyć ryzyko powtórki z historii. Bo o ile nie da się zadekretować kierunku integracji europejskiej, o tyle można zarządzać ryzykiem, które towarzyszy jej rozwojowi.

Po pierwsze, Orbán przez lata korzystał z parasola europejskiej polityki i biznesu. Głównie, choć nie tylko, niemieckiego, któremu odwdzięczał się specjalnym traktowaniem. Przykładem zmiana Kodeksu pracy w 2018 r., która „uelastyczniała" prawo pracy, a w praktyce powiększała liczbę dopuszczalnych nadgodzin, aby wygenerować „dodatkową" siłę roboczą niezbędną dla inwestycji kolejnych koncernów motoryzacyjnych.

Jednak ta „ustawa niewolnicza" (tak ją nazwano) nigdy nie była tematem dla inwestorów europejskich – podobnie jak ograniczanie swobód obywatelskich, niezależności sądów czy wolności mediów, oczywiste dla każdego obserwatora.

Węgry nie były polem bitwy konserwatystów ze światem liberalno-lewicowych elit.

Zwycięska Tisza jest ruchem zdecydowanie bliższym prawej stronie sceny politycznej. Była to bitwa między dwoma skrajnymi pomysłami na państwo.

Kwestie te stały się natomiast problematyczne, gdy gospodarka wpadła w recesję, a rynek motoryzacyjny przestał być siłą napędową. Wówczas wszystkie bolączki systemu Orbána zaczęły górować nad zyskami ekonomicznymi, a parasol polityczny zaczął przeciekać. Ale wtedy pojawili się Chińczycy oraz tanie gaz i ropa z Rosji.

To oczywiście nie usprawiedliwia Orbána. Pokazuje natomiast, że jeśli praworządność ma być podstawą integracji, to nie da się uciec od pytania o rolę europejskiego biznesu w tworzeniu warunków dla działania tych rządów, które traktują ją z przymrużeniem oka. Od firm z Chin i Rosji nie oczekujemy przecież wzmacniania praworządności w Unii.

KWESTIA ROZSZERZENIA | Po drugie, pytanie o rolę europejskiego biznesu wiąże się również z kwestią przyjmowania do Unii kolejnych krajów.

Jeśli biznes europejski będzie obojętny na kwestie prawa i demokracji, a każdy biznes spoza Unii będzie mieć otwarte drzwi do inwestowania na unijnym rynku, wtedy „orbanomika" (z rosyjskim czy innym szemranym partnerem w tle) będzie mieć naśladowców – w Serbii, Albanii czy nawet Ukrainie, gdzie elity wciąż ciążą ku oligarchii.

Dlatego pytanie, czy nowe Węgry będą nadal blokować członkostwo Ukrainy w Unii, jest wtórne wobec tego, jak Unia chce zabezpieczyć się przed powtórką z najnowszej historii Węgier.

Odpowiedź na to pytanie staje się trudniejsza, gdy dodatkowo zapytamy o główny cel dalszego rozszerzania Unii: czy jest nim nadal praworządność i reformy rynkowe, jak w przypadku poprzednich rozszerzeń, czy może geopolityka, czyli ograniczenie dostępu do rynku wrogim Europie państwom, a zarazem powiększenie sfery wpływów Europy w świecie?

W zależności od tego, co chcemy osiągnąć, rozszerzenie Unii może przybrać różne formy i zasady. Oczywiście: jest to dylemat trudny do oficjalnego uznania, bo przecież chcemy, aby nowi członkowie rozumieli nie tylko reguły demokratycznej gry, ale także nie wspierali naszych wrogów.

Na pewno jednak uciekanie od „węgierskiej lekcji" w dyskusji o przyszłym rozszerzeniu nie byłoby dobrym rozwiązaniem. Chyba że mówimy o członkostwie Islandii czy Norwegii.

„EFEKT BUDAPESZTU" | Ostatnia lekcja z Węgier dotyczy tego, jak budować poparcie społeczne dla integracji europejskiej.

Węgry nie były polem bitwy konserwatystów ze światem liberalno-lewicowych elit. Zwycięska Tisza Pétera Magyara jest ruchem zdecydowanie bliższym prawej stronie sceny politycznej i mocno osadzonym w problemach węgierskiego społeczeństwa.

Była to natomiast bitwa między dwoma skrajnymi pomysłami na państwo. Tym, który przez 16 lat używał retoryki konserwatywnej dla ukrycia rewolucji ustrojowej, dającej władzę nowej oligarchii. I tym drugim, który obiecuje rozwijać usługi publiczne, a obywateli traktować jako prawdziwych decydentów w sferze polityki.

Dlatego jeśli za kilka lat mamy widzieć pozytywny „efekt Budapesztu" w Brukseli, stolice unijne i unijne instytucje powinny dziś skupić się na tym, co przesądziło o sukcesie integracji europejskiej: na wzroście gospodarczym, bezpieczeństwie, demokracji otwartej na różne prądy intelektualne i na odtwarzaniu sprawnych usług publicznych.

Ani zmiany traktatów, ani jałowe spory ideologiczne nie zbliżą nas do tego o centymetr. © OLAF OSICA

eprasa.pl d1efa56a26



BERNADETT SZABO / REUTERS / FORUM

Péter Magyar, Budapeszt, 17 kwietnia 2026 r.

Niebieski karnawał

DOMINIK HÉJJ

WĘGRY | Choć nie objął jeszcze funkcji premiera, Péter Magyar tworzy fakty dokonane. Oraz pokazuje, nareszcie, jakie ma poglądy.

Z rolą elekta będzie musiał godzić się jeszcze przez chwilę – nowy parlament zacznie pracę na początku maja. Ale Magyar nie czeka na powołanie na premiera. To, co widzi jako swoją misję, realizuje od chwili, gdy w wyborczy wieczór Viktor Orbán przyznał, że przegrał.

Gdy spotkał się z prezydentem Tamásem Sulyokiem, który powierzył mu tworzenie nowego rządu, oświadczył, iż Sulyok nie jest godny urzędu, gdyż był wykonawcą woli przegranej większości (prezydenta wybiera tu parlament). Wezwał Sulyoka do dymisji i zagroził, że w razie odmowy użyje całej siły swojej nowej konstytucyjnej legitymacji, by usunąć go z funkcji.

Dzień później przekroczył próg siedziby mediów państwowych, pierwszy raz od półtora roku. Ogłosił, że po objęciu władzy zawiesi pion informacyjny, aż do czasu zagwarantowania rzetelnego i bezstronnego przekazu. Jednak państwowe mediach już się dostosowują. Nagle zaczęły zauważać postulaty partii Magyara: utrzymanie antyimigranckiego płotu na południowej granicy, sprzeciw wobec przyspieszonej akcesji Ukrainy do Unii i wobec paktu migracyjnego. I cieszą się z radykalnego umocnieniu forinta względem euro.

CHWILA RADOŚCI | Tymczasem na Węgrzech trwa „niebieski karnawał": nazwa nawiązuje do barw zwycięskiego ugrupowania, partii Tisza. Zwolennicy Magyara zbierają plakaty wyborcze na pamiątkę, nowi posłowie organizują spotkania dziękczynne.

Oczekiwania są ogromne, lecz na sprawczość nowej władzy trzeba czekać co najmniej do posiedzenia parlamentu (6 lub 7 maja). W międzyczasie Magyar zapowiada symboliczną przeprowadzkę kancelarii premiera ze Wzgórza Zamkowego do budynku obok parlamentu, gdzie chce urzędować po zaprzysiężeniu (stanie się to zapewne w połowie maja).

Skład jego rządu to w dużej mierze niewiadoma. Jeszcze w kampanii pojawiły się postacie, które najpewniej się w nim znajdą. To czworo czołowych ekspertów programu Tiszy: Anita Orbán (sprawy zagraniczne), Zsolt Hegedűs (zdrowie), István Kapitány (gospodarka) i András Kármán (finanse). Reszta personaliów owiana jest tajemnicą.

ILE CIĄGŁOŚCI? | Wiele wskazuje, że polityka Tiszy – poza silnym komponentem antykorupcyjnym – będzie w pewnej mierze kontynuacją linii Fideszu. Poglądy Magyara i Orbána są zbieżne np. w kwestiach migracji i energetyki. Czy to zarzut? Zważywszy, że Magyar był członkiem Fideszu przez dwie dekady, nie. Ale dla zewnętrznych obserwatorów, którzy wieszczyli rewolucję, może być to szok. Dla tych, którzy śledzili jego wystąpienia od marca 2024 r., gdy opuścił Fidesz, o zaskoczeniu nie może być mowy.

Podczas konferencji dla zagranicznych dziennikarzy premier elekt, mówiąc o odcięciu rosyjskich węglowodorów, używał retoryki zbliżonej do ustępującej ekipy. Stwierdził, że nie zmieni położenia geograficznego. Mówił, że dywersyfikacja dostaw nastąpi, ale nie z dnia na dzień. Podkreślał co prawda, że nie będzie przyjacielem Rosji, jednak wskazywał, że opowiada się za pragmatycznymi relacjami. W ten sposób powiela narrację Fideszu. Viktor Orbán latami mówił to samo. Sporo słów, niewiele konkretów.

I znów: dla zewnętrznych obserwatorów, liczących na geopolityczną rewolucję, może to być zaskoczenie. Jednak ta narracja jest spójna z wystąpieniami Magyara od marca 2024 r.

ILE ZMIANY? | A sprawy tożsamościowe? Tu Magyar nie odcina się od węgierskiej polityki historycznej. Pytany o mapę Wielkich Węgier w swoim gabinecie, stwierdził, że symbolizuje ona tysiącletnie dziedzictwo, a nie rewizjonizm. Wspominając traktat z Trianon z 1920 r., który po I wojnie światowej okroił radykalnie Królestwo Węgier, wymownie pokazał w powietrzu cudzysłów przy słowach „traktat pokojowy".

Premier elekt prezentuje też twarde stanowisko wobec sąsiadów. W kwestii karania za negowanie dekretów Beneša na Słowacji (były podstawą wywłaszczenia tamtejszych Węgrów po 1945 r.), odrzuca kompromis. Zapowiada bezwarunkowe wspieranie Węgrów żyjących za granicą. Używanie przez niego historycznych określeń – jak Felvidék (Górne Węgry) w kontekście Słowacji czy Erdély wobec rumuńskiego Siedmiogrodu – to retoryka tożsama z działaniami Fideszu, budząca irytację w krajach ościennych.

Magyar przejmuje władzę w atmosferze społecznego entuzjazmu. Choć zapowiada radykalne oczyszczenie kraju z korupcji i reformy, jego polityka zagraniczna, energetyczna i historyczna wykazują, jak widać, cechy kontynuacji z rządami Orbána. Być może okaże się więc, że zmiana w Budapeszcie będzie dotyczyć raczej standardów demokratycznych w kraju, niż jego geopolitycznego pozycjonowania. ©

Tekst ukończono 16 kwietnia 2026 r.

eprasa.pl d1efa56a26

Pomyśl, co możesz zepsuć

AGATA KAŹMIERSKA

TECHNOLOGIE | Czy to sprytny zabieg marketingowy? Czy też rzeczywiście systemy informatyczne na całym świecie mogą być zagrożone przez superhakera?

Twierdzenie, że jakaś firma zbudowała taki model sztucznej inteligencji, który byłby w stanie włamać się w zasadzie do każdego systemu komputerowego na świecie, można by uznać za tani chwyt marketingowy. Można by włożyć go między bajki. Można, gdyby tą firmą nie był Anthropic.

Oraz gdyby wiadomość nie postawiła na nogi najważniejszych koncernów zajmujących się cyberbezpieczeństwem. A także Białego Domu, z którym Anthropic jest w ostrym sporze.

Mythos szuka podatności

Zacznijmy od możliwości modelu nazwanego Mythos, wokół którego zrobiło się tak nerwowo. W opublikowanym 7 kwietnia raporcie technicznym Anthropic stwierdza, że osiągnął on taki poziom kodowania, który pozwala mu wyszukiwać (i wykorzystywać) luki w innych oprogramowaniach w stopniu wcześniej niespotykanym. Anthropic oznajmił, że w ciągu ostatniego miesiąca Mythos znalazł „tysiące podatności, w tym w każdym głównym systemie operacyjnym i przeglądarce".

Oznacza to ni mniej, ni więcej, że nawet ktoś, kto nie zna się na programowaniu, mógłby – używając modelu Mythos – włamać się w zasadzie prawie wszędzie.

Brzmi nieprawdopodobnie. Ale Anthropic podaje konkrety. Jego program miał znaleźć krytyczne błędy w systemie Linux, używanym przez większość serwerów na świecie. Miał wykryć lukę w OpenBSD, oprogramowaniu stosowanym w systemach wymagających wysokiego poziomu bezpieczeństwa, jak infrastruktura sieciowa, firewalle i systemy krytyczne. Luka ta miała istnieć, niezauważona, przez 27 lat.

Z kolei w oprogramowaniu FFmpeg (to zestaw narzędzi pozwalający odtwarzać, przetwarzać i przesyłać wideo i audio) Mythos miał zidentyfikować liczącą 16 lat podatność, której nie udało się wykryć wcześniej mimo pięciu milionów automatycznych testów. Miał wskazać też luki w jednej ze starszych wersji programu Mozilla Firefox, które mogłyby otwierać drogę do przejęcia kontroli nad systemami użytkowników.

Firma zastrzega, że nie ujawnia wszystkich wykrytych podatności, bo „ponad 99 procent znalezionych luk w zabezpieczeniach nie zostało jeszcze załatanych".

Zanim powstał Mythos

Jak doszło do tego, że Anthropic stworzył superhakera AI? Mówiąc najkrócej: przez przypadek. Był to efekt uboczny skalowania i ulepszania nowego modelu Claude. Bruce Schneier, kryptograf i wykładowca Harvard Kennedy School, zwraca uwagę, że AI już dziś jest „nadludzko dobra w znajdowaniu, wykorzystywaniu i łataniu podatności", a Mythos nie wprowadza jakościowo nowej zdolności, tylko rozwija istniejące.

Takie programy już od jakiegoś czasu coraz lepiej radzą sobie z identyfikowaniem i tworzeniem tzw. łańcuchów exploitów, czyli zestawów podatności i narzędzi do sekwencyjnego wykorzystywania błędów w systemie. Przypomina to hakowanie w stylu maszyn Rube'a Goldberga: wykorzystywanie wielu drobnych błędów jeden po drugim, co – bez alarmowania administratora – może prowadzić do przejęcia systemu.

Oczywiście natychmiast pojawiła się lawina komentarzy, że informacje od Anthropic to sprytny zabieg marketingowy przed możliwym wejściem firmy na giełdę pod koniec tego roku.

Co więcej, już w raporcie technicznym zaznaczono, że Mythos zostanie udostępniony tylko „ograniczonej grupie kluczowych partnerów branżowych" w ramach projektu nazwanego Glasswing, aby – jak napisano – „umożliwić zabezpieczenie najważniejszych systemów, zanim modele o podobnych możliwościach staną się powszechnie dostępne".

Sprawa wydawała się śmierdząca, bo firma OpenAI wykonała podobny manewr. W 2019 r. ogłosiła, że nie będzie szeroko udostępniać modelu GPT-2, bo może zostać wykorzystany do masowej dezinformacji. To tylko nakręciło ciekawość dotyczącą możliwości programu, a kilka miesięcy później pojawił się GPT-3, ale już w płatnej wersji dla programistów.

Działaj ostrożnie!

W spekulacjach, że w przypadku Mythosa jest to (także) akcja marketingowa, nie pasowało początkowo tylko jedno. To, że stoi za tym Anthropic.

Firmę stworzyli w 2021 r. naukowcy i menedżerowie, na czele z rodzeństwem Dario i Danielą Amodei, którzy odeszli z OpenAI. Zarzucali jej prezesowi, Samowi Altmanowi, że zbyt szybko komercjalizuje rozwój sztucznej inteligencji kosztem bezpieczeństwa i długofalowych ryzyk.

Od początku budowali tożsamość Anthropic wokół zasad etycznych i ostrożności. Zamiast, jak reszta amerykańskiej Doliny Krzemowej, stawiać na słynne *move fast and break things* (działaj szybko i psuj rzeczy), hołdowali raczej zasadzie: działaj ostrożnie i zastanawiaj się, co możesz zepsuć.

Chwila próby, czy Anthropic trzyma się deklarowanych zasad, nadeszła na początku tego roku, gdy firma weszła w otwarty spór z rządem USA. Wcześniej, w 2025 r., Anthropic zdobył wart 200 mln dolarów kontrakt z Pentagonem – dzięki temu, że jako jedyna spośród tego typu firm zajmujących się AI miała certyfikaty na obsługę danych objętych klauzulą tajności.

Na początku tego roku Departament Obrony (przez Donalda Trumpa przemianowany na Departament Wojny; Kongres nie zatwierdził dotąd tej zmiany, trzymajmy się więc starej) zażądał pełnego dostępu do jej modeli, aby móc samemu je modyfikować.

Anthropic kontra Hegseth

Firma zgodziła się, ale pod dwoma warunkami: że jej modele nie będą użyte w broni autonomicznej (tj. takiej, która sama decyduje, czy zabić; to np. autonomiczny dron),

eprasa.pl d1efa56a26



DON FERIA / AP / EAST NEWS

Dario Amodei, dyrektor generalny Anthropic, podczas konferencji dla deweloperów Code with Claude. San Francisco, 22 maja 2025 r.

a także że nie posłużą do masowej inwigilacji obywateli USA. Z doniesień amerykańskich mediów wynika, że już wtedy systemy Anthropic były wykorzystywane do wyboru celów przed wojną w Iranie, a wcześniej prawdopodobnie także podczas operacji w Wenezueli.

Po kilku dniach ostrej publicznej awantury i żądań, żeby Anthropic wycofał się ze stawianych warunków, sekretarz obrony Pete Hegseth uznał firmę za „zagrożenie dla łańcucha dostaw" (zwykle na takiej liście lądują chińskie firmy podejrzane o szpiegostwo). W praktyce oznacza to zerwanie przez Pentagon wszystkich kontraktów i zakaz zawierania nowych. Dzień po ogłoszeniu decyzji Hegsetha, Anthropic został zastąpiony przez OpenAI.

Warto jednak odnotować, że Anthropic kryształowy nie jest, czego dowodzą sądowe dokumenty, które wypłynęły w tym roku. Wynika z nich, że firma kupiła od pół miliona do dwóch milionów używanych książek, aby je zeskanować, zdigitalizować i wykorzystać do trenowania swoich modeli AI. Praw autorskich do treści nie miała (ale przynajmniej papier trafił do recyklingu).

Era zwiększonego ryzyka

Narrację o marketingowym blefie w sprawie Mythosa burzy także to, że Anthropic przed publikacją swojego raportu poinformował o zagrożeniu całą wierchuszkę w amerykańskim rządzie. A Biały Dom sprawę potraktował śmiertelnie poważnie.

Telewizja CNBC poinformowała, że 1 kwietnia wiceprezydent J.D. Vance i sekretarz skarbu Scott Bessent zorganizowali telekonferencję, na którą wezwano Daria Amodei, Sundara Pichai z firmy Google, Satyę Nadellę z Microsoftu, Elona Muska i Sama Altmana oraz przedstawicieli CrowdStrike i Palo Alto Networks, globalnych firm zajmujących się cyberbezpieczeństwem.

Szczegóły tych rozmów nie są znane. Wiadomo, że na nich się nie skończyło. Agencja Bloomberg podała, że Bessent i Jerome Powell, prezes Rezerwy Federalnej (banku centralnego), zwołali pilne spotkanie z liderami Wall Street, by rozmawiać o „erze zwiększonego ryzyka cybernetycznego", którą miał właśnie zapoczątkować Mythos.

W ostatnich dniach ostrzeżenia wydali także Brytyjczycy. Tamtejszy rządowy Instytut Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji stwierdził, że Mythos stanowi „krok naprzód względem wcześniejszych modeli z najwyższej półki" i jest niewątpliwie najlepszy z dotąd przetestowanych. Instytut zastrzegł jednak, że „nie jest w stanie stwierdzić z całą pewnością", czy Mythos byłby w stanie zaatakować dobrze chronione systemy, i że potrzebne są tu dalsze testy.

Natura problemu

O tym, że Anthropic nie sieje fermentu dla zarabiania, lecz że chodzi mu o realne zagrożenie, może świadczyć także to, że od razu informował, iż zapraszając „ograniczoną grupę kluczowych partnerów branżowych" do wspomnianego projektu Glasswing – łącznie ponoć ok. 40 podmiotów, w tym Nvidia, Google, Amazon Web Services, Apple i Microsoft – zamierza zapewnić im kredyty o wartości 100 mln dolarów na dostęp do swojego modelu. Po ich wyczerpaniu będą musieli płacić. Chodzi o to, by „umożliwić zabezpieczenie najważniejszych systemów, zanim modele o podobnych możliwościach staną się powszechnie dostępne".

Z wypowiedzi niemal wszystkich ekspertów przebija się jedno: Mythos jest prawdopodobnie skuteczniejszy od poprzedników, ale zasadniczo nie zmienia natury problemu. Zmienia się jedynie poziom umiejętności potrzebnych, aby radzić sobie z problemem wykorzystywania sztucznej inteligencji w cyberbezpieczeństwie.

Przyznaje to także Anthropic. Logan Graham, lider jego zespołu symulującego ataki, powiedział w rozmowie z portalem Wired, że nie chodzi o jeden model ani jedną firmę. „Musimy przygotować się już teraz na świat, w którym takie zdolności będą szeroko dostępne za sześć, dwanaście czy dwadzieścia cztery miesiące". „Wiele założeń, na których zbudowaliśmy współczesne podejście do bezpieczeństwa, może się załamać" – dodał Graham.

Dżin z butelki

Rynek ma jednak swoje prawa, a konkurencja nie śpi. Wkrótce po tym, jak Anthropic ogłosił, że jego Mythos jest programem zbyt niebezpiecznym, aby szeroko go udostępnić, firma OpenAI poinformowała, że oni też taki mają.

Jej program GPT-5.4 Cyber też ma być dostępny dla firm i dla organizacji, ale w bardziej „demokratycznym" modelu. „Projektujemy mechanizmy, które nie decydują arbitralnie, kto dostaje dostęp do legalnych zastosowań, a kto nie" – pisze OpenAI w oświadczeniu. Jednocześnie firma przyznała, że pełna otwartość nie wchodzi w grę: model ma mieć dodatkowe zabezpieczenia i kontrolę sposobu jego wykorzystania.

I nagle zamiast dyskusji o tym, jak to zatrzymać, mamy licytację na to, kto potrafi zepsuć więcej. Czyli mamy jeszcze sześć, dwanaście albo dwadzieścia cztery miesiące. Potem wiele ważnych rzeczy może przestać działać. ©

eprasa.pl d1efa56a26



Wiosna w Kramatorsku, 20 km od linii frontu. 11 kwietnia 2026 r.

Ostatnia reduta

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z KRAMATORSKA (DONBAS)

UKRAINA | Wyrok na nią zapadał kilkukrotnie. Ale mimo przepowiedni przejęcia przez Rosjan, a co najmniej niemożności życia tutaj – ostatnia aglomeracja wolnego Donbasu wciąż żyje.

Targ staroci obok miejskiego bazaru, 11 kwietnia.



Wschodnia wylotówka z Charkowa, blokpost, posterunek drogowy. Stąd zamierzam łapać autostop w stronę Słowiańska. Jest chłodne popołudnie, zbiera się na mżawkę.

Już po paru minutach zgarnia mnie Sasza. Z mariupolskiej brygady, operator drona. Popala przez okno białe Sobranie. Małomówny. W jego imieniu przemawia playlista, która sączy się ciężko z samochodowego radia.

Raźna muzyka patriotyczna była popularna w pierwszym roku wojny. Teraz wśród żołnierzy popularni są raperzy gorzko nawijający o wojskowej rzeczywistości. O PTSD, dezercjach i dronach FPV. „Ty zmęczyłeś się tą wojną, ja zmęczyłem się liczeniem mogił. Ziomki myśleli, że zdechłem, troszkę kontuzjowało, troszkę ogłuchłem. Komfort, a to przyjemny ciepły krwotok". Sasza zaciąga się dymem.

Ożywia się na ostatnim odcinku, łączącym Izjum ze Słowiańskiem. Część kierowców wybiera objazd, aby nie zbliżać się za bardzo do linii frontu. Sasza najwyraźniej nie należy do nich. Ścisza muzykę i po kolei gada przez telefon z kilkoma kolegami z oddziału. – Taa, właśnie jestem na tej jebanej drodze życia – rzuca niemrawo, ale z nutą rozbawienia.

Zanurzamy się w tunel z siatek, chroniących drogę przed dronami. Sasza wciska gaz. Do granicy obwodu charkow-

eprasa.pl d1efa56a26

skiego z donieckim został kwadrans. Wszystkim spieszno na wschód.

RZECZY WZGLĘDNE | Wyrok na ostatnią dziś redutę wolnego Donbasu, aglomerację Kramatorsk-Słowiańsk, zapadał już kilkukrotnie. Mimo tylu wyroków na karku – przepowiedni rychłego przejęcia przez Rosjan, a co najmniej takich warunków, które uniemożliwią życie tutaj – miasta żyją.

Jeśli zaś idzie o bezpieczeństwo, to rzecz względna: zależy, kogo zapytać i gdzie się zapuścić. Bo rzeczywistość tu na kontrakcie stoi. Czasem spokojnie pita kawa w miłej knajpce może zamienić się w dramat. W końcu nie od wczoraj Rosjanie stoją 20 kilometrów stąd. Dla bomby lotniczej to żadna odległość. Dla drona FPV już tak, ale ich dźwięk rozlega się regularnie nad niektórymi dzielnicami. W Parku Juwilejnym pomiędzy gałęziami dyndają nitki światłowodu.

Park, zwłaszcza popołudniami, pełen jest ludzi, zwierząt i rozwijających się pąków. Wśród tych pierwszych sporo biegaczy i użytkowników plenerowej siłowni, jakby przeniesionej z Wilanowa. Gdzie w Kramatorsku nie spojrzeć, kwitną drzewka morelowe. W uliczkach kluczących między domkami jednorodzinnymi, między świeżymi i starymi gruzowiskami, pod oknami zabitymi płytą pazdzierzem.

PAZNOKCIE I PILATES | Jeśli pokręcić się po osiedlach i przyjrzeć wybitym szybom opuszczonych mieszkań, widać, jak wielu ludzi opuściło już miasto. Jeśli zaś zanurkować w bazarowej ciżbie, udać się do jednej z kilku eleganckich restauracji lub zacząć liczyć auta niemieszczące się na parkingu przed marketem, można zapomnieć o poprzednich spostrzeżeniach.

Czynnych jest sporo nowych biznesów, gdzie klientelę stanowią żołnierze – kawiarnie i sklepy z wszelakim wyposażeniem, które ma pomóc w przetrwaniu na froncie. Na nieczynnych od paru dobrych lat cukierniach i sklepach zoologicznych płowieją jeszcze napisy po rosyjsku.

Można w Kramatorsku iść na paznokcie i na zajęcia pilatesu. Można też oberwać w głowę dronem lub zostać przysypanym gruzem, z mrożoną kawą w ręku. Można mieć pecha. Lot bomby zajmuje tyle, co czas oczekiwania w budce



Żołnierz Leonid ze święconką w hełmie podczas niedzielnego nabożeństwa w cerkwi greckokatolickiej pw. św. Eljasza, 12 kwietnia.

Skutki uderzenia szaheda w osiedlowe podwórko, 13 kwietnia.





↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ z kebabem, jakich wiele w mieście. Często to pierwszy punkt, w jakim zatrzymują się brudni i głodni żołnierze po wyjściu z pozycji.

Na ulicach rozmamłane żiguli mijają się z rozmamłanymi wojskowymi terenówkami i transporterami z zamontowanym na dachu „grillem", kratą antydronową. Ale nie brak i zwykłych aut. Świadczą, że w Kramatorsku żyje ktoś poza emerytami i żołnierzami.

ŻONKILE Z WIADERKA | Rankiem w prawosławną Wielką Sobotę, 11 kwietnia, bazar tonie w zieleni i gorączce świątecznych przygotowań.

Sznur ludzi czeka w kolejce do dostawczaka ze świeżymi jajkami. Babuszki taszczą swoje pakunki lub omawiają coś ważnego, siedząc na zydelkach przed rozłożonym na ceracie towarem: przetwory, czosnek z domowych ogródków, cięte żonkile wysuwające łepetyny z wiadra. Kto nie zdążył upiec swojej świątecznej paski (przypomina naszą babę), zanim zniknął prąd, oby zdążył ją kupić. Nieco mniejszy niż w okolicy bazaru ruch jest na pozostałych ulicach śródmieścia Kramatorska.

Można tu iść na paznokcie i pilates.
Można też mieć pecha i zostać zasypanym gruzem, z mrożoną kawą w ręku.

A potem dochodzi 9.45 i rozlega się huk. I następny. Póki nie przyjadą strażacy, płomienie trawią piętro budynku trafionego bombą. Z okien bucha dym.

Ogłuszeni eksplozją, przechodnie i ci, którym udało się wybiec z mieszkań, brodzą w pokrywających chodnik drzazgach, okruchach szyb swoich i sąsiadów. Szybko zjawiają się inne służby, medycy, policja. Co jak co, ale mundurowych tu nie brakuje. Pod uszkodzoną instalacją gazową, z której jakby tryska żywy ogień, naradza się trzech mężczyzn, którzy wysiedli z wielkiej terenówki pogotowia gazowego.

ROZEJM TEORETYCZNY | O ile tego dnia w internecie będą trwać gorące dyskusje na temat wielkanocnego zawieszenia broni, trudno powiedzieć to samo o Donbasie. Chyba nikt tutaj nie ma złudzeń, że Rosja dotrzyma danej obietnicy. Zwłaszcza jeśli zajęty jest wygrzebywaniem z gruzów dobytku czy nasłuchiwaniem złośliwego brzęczenia drona nad swoim ogródkiem. Racja, może w wyznaczonym czasie szahedy i balistyka nie polecą na Kijów, ale tu będzie po staremu.

Mija godzina 16 czasu moskiewskiego w Wielką Sobotę, lokalny kanał telegramowy „Kram Radar" nie cichnie. „Kramatorsk, alarm powietrzny. Dwa drony molnija w stronę Kramatorska od strony Nikonoriwki. Drony na Mikołaiwkę".

Popołudnie. Siedzę na ławce schowanej za okazałym pałacem kultury ra-

REKLAMA



eprasa.pl d1efa56a26

zem z Lewonem, wolontariuszem i krajoznawcą-amatorem, który darzy Donbas gorącym uczuciem. Zerkamy raz po raz na obraz wyświetlany przez jego „czujkę" – urządzenie powszechnie wykorzystywane do przechwytywania obrazów z dronów znajdujących się w pobliżu.

– Kiedy szedłem tu do centrum, widziałem na ekranie kredowe góry w Bileńskiem – mówi niemrawym tonem. Wyrastające na wschód od miasta wzgórza, tworzące niewielki park krajobrazowy, są jedną z przyrodniczych wizytówek Kramatorska. Jednocześnie są najbliżej kierunku rosyjskiego natarcia.

W poszukiwaniu innych kramatorskich perełek nie trzeba się ruszać daleko od ławki, na której siedzimy. Plac, który otacza klasycystyczny pałac kultury, pełen jest rzeźb i zadbanej zieleni. Tylko każdy kolejny tydzień przynosi więcej blizn i wyrw w niezapominajkowych ścianach ościennych kamienic. Lewon czuje, że to jeden z ostatnich wyjazdów do jego ukochanego miasta.

Mija szesnasta, miał zacząć się rozejm. Ale Telegram woła: „Alarm, dwa drony od strony Nikonoriwki!".

– Miasta umierają tak, jak żywe istoty: rodzą się, żyją i znikają – mówi.

DNI ŚWIĘTE ŚWIĘCIĆ | Niedzielny poranek. Przywitanie „Chrystos woskries!" miesza się ze zwyczajowym tu „zdrastwujte!". Przed wyjściem z bloku mijam trójkę starszych osób, które najwyraźniej urządziły sobie śniadanie wielkanocne na wolnym powietrzu: – Tu jajko, tu pokrojona pasoczka – słychać.

Na ławce w parku dwóch żołnierzy o zszarzałych twarzach raczy się hot-dogami i kawą z automatu. Jeden przedstawia się pseudonimem „Mnich", drugi zachowa imię w tajemnicy. Swoje przeżyli w piechocie, nabawili się ran i trafili do jednostki inżynieryjnej, która buduje umocnienia pod Kramatorskiem. – Prawdziwe śniadanie czeka na nas w bazie – uspokajają. – Tu czekamy tylko na przesyłkę pocztową.

– Jeśli Bóg istnieje, niech nas chroni – wydusza z siebie starsza kobieta między ciężkimi oddechami. Drobnymi krokami zmierza do ławki przed klatką schodową, przysiada na jej skraju.

Niewiele wody upłynie w Siewierskim Dońcu, kiedy Rosjanie też uderzą w ten kwartał, raptem trzy bloki dalej od kobiety z chorym sercem. W Poniedziałek Wielkanocny szahed wyryje wielką jamę tuż przed płową chruszczowką. Obrzyga odłamkami. Zgruchota szereg aut i wszystkie balkony w okolicy. Obudzi kilka osób z popołudniowej drzemki, a pani z białymi włosami porani twarz. Wstrząśnie świeżym praniem suszącym się w donieckim słońcu.

Jeśli Bóg istnieje, niech nas chroni.

© ANTONINA PALARCZYK

REKLAMA



eprasa.pl d1efa56a26

WIARA

TRZEŹWY PASTERZ I PIJANY KRÓL



BP ANTONIO STAGLIANÒ,

PRZEWODNICZĄCY PAPIESKIEJ AKADEMII TEOLOGICZNEJ:

Gdy naród zaczyna mówić o swoim przywódcy jak o Zbawicielu, jest zgubiony. Nie będzie już miał kryteriów, by go osądzać, a jedynie kolana, by go adorować.

EDWARD AUGUSTYN: Ile dywizji ma papież?

BP ANTONIO STAGLIANÒ: Siły papieża nie mierzy się dywizjami czołgów ani procentami poparcia. Raczej zdolnością nazywania tej ciszy, która poprzedza wybuchy bomb. Ale wiem, że nawiązuje pan do pytania zadanego przez Stalina.

Dziś to pytanie pobrzmiewa w słowach Donalda Trumpa o słabym papieżu.

Stalin był cynicznym realistą, a Trump jest realistą wulgarnym. Obaj wierzyli, że siłę można policzyć. Ale papież posiada moc, której nie ma żaden arsenał. Może powiedzieć „dość", a wtedy ktoś gdzieś na świecie przestaje zabijać.

Nie zawsze.

Nie zawsze i nie wszędzie. Ale wystarczająco często, by budzić lęk u możnych tego świata.

Jego siłą jest kruchość. Jego bronią są łzy matek. Jego armią – pamięć o sprawiedliwych. Jak napisał pewien teolog: „ostatecznie tylko miłość jest wiarygodna". A miłości, jak wiadomo, się nie liczy – ją się waży. Ciężar właściwy słów papieża jest dziś ciężarem głosu, którego nie da się ani kupić, ani rozstrzelać. Dlatego Trump tak się go obawia. Bo nie wie, gdzie uderzyć.

Papieska Akademia Teologiczna zdaje się jednak być jedną z tych „dywizji". Ostatnia wypowiedź Księdza Biskupa, zatytułowana „Pijany król i trzeźwy pasterz", odnosi się wprost do zachowań Trumpa. Dlaczego wdajecie się w takie polemiki z politykiem?

To nie jest polemika. To czuwanie. Teologia nigdy nie była neutralna: albo stoi po stronie prawdy, albo staje się kurtyzaną. My wybraliśmy prawdę. Kiedy prezydent atakuje papieża, nazywając go „słabym", nie wyraża opinii politycznej: dopuszcza się bluźnierstwa przeciwko obrazowi Boga, który jest w każdym człowieku odrzucającym przemoc. Akademia nie odpowiada Trumpowi – ona odpowiada na bluźnierstwo.

Czyli to była reakcja nie na słowa Trumpa, ale na ilustrację przedstawiającą go jako Jezusa?

Na jedno i drugie. Ale to prawda: obraz wstrząsnął mną bardziej. Zwykły tweet tego typu to polityczna wulgarność: widzi się go i się o nim zapomina. Obraz Trumpa-Jezusa to akt bałwochwalstwa. To zamiana człowieka – z wszystkimi jego ograniczeniami, winami i arogancją – w świętą ikonę. Jako teologa przeraża mnie to bardziej niż jakakolwiek obelga. Obelga obraża osobę, bałwochwalstwo zaś obraża Boga.

Kiedy naród zaczyna mówić o swoim przywódcy jako o Zbawicielu, jest zgubiony. Bo nie będzie miał już kryteriów, by przywódcę osądzać, a jedynie kolana, by go adorować. Wcześniejszy tweet Trumpa obrażał papieża, ale obraz robi z politycznego przywódcy mesjasza. Fałszywego mesjasza, a przeciwko takim teologia ma obowiązek krzyczeć. Choćby to się komuś nie podobało.

eprasa.pl d1efa56a26



IPA / ABACA PRESS / FORUM

Papież Leon XIV w Aula Magna Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego. Rzym, listopad 2025 r.

Do tej pory Akademia rzadko wdawała się w takie spory.

Nie możemy już sobie pozwolić na luksus milczenia. Po prostu. Mamy do czynienia z kryzysem edukacyjnym, duchowym i antropologicznym. Władcy mówią językiem siły, my musimy mówić językiem sumienia. „Pijany król i trzeźwy pasterz" to nie atak, to akt jasności. Jeśli bierze się to za polemikę, oznacza to, że świat zapomniał, czym jest proroctwo.

Jednak wielu Amerykanów naprawdę uważa Trumpa za postać mesjańską. Jaka religijność lub teologia kryje się za tym zjawiskiem?

Chrześcijaństwo bez krzyża. Bez przebaczenia. Bez nieprzyjaciół, których należy kochać. To religijność, która zamienia Ewangelię na hymn narodowy, wiarę na siłę, a nadzieję na lęk przed „innym". Kryje się za tym wszystkim teologia chwały, nie krzyża. Głosząca Boga, który błogosławi zwycięzcom, miażdży wrogów, gwarantuje dobrobyt i potęgę.

To chrześcijański Bóg?

Bóg Jezusa Chrystusa taki nie jest. Bóg Jezusa Chrystusa przegrywa na krzyżu i tam właśnie zwycięża. Amerykańska „teologia sukcesu" to karykatura chrześcijaństwa, religia stworzona na obraz i podobieństwo imperium. Nie żąda nawrócenia, tylko lojalności. Nie oferuje przebaczenia, tylko ochronę. Jest pogańska, nie chrześcijańska. I jak każde bałwochwalstwo, w końcu pożre własnych wyznawców.

Chodzi nie tylko o „teologię sukcesu". Także o usprawiedliwianie wojny czy nazywanie organizacji pokojowych Antychrystem.

Tak. To gorzej niż karykatura. To parodia chrześcijaństwa.

Chrześcijaństwo zaczęło się od nagiego człowieka, przybitego do belki krzyża. Od człowieka, który wybaczał swoim oprawcom. Czy ma skończyć na kaznodziei w garniturze pod krawatem, błogosławiącym rakiety? „Teologia sukcesu" mówi, że Bóg chce z nas zrobić bogaczy. A zaraz słyszymy, że wojna jest święta, że ONZ to Antychryst. Tymczasem Jezus mówi: „biada wam, bogaczom". Albo: „miłujcie waszych nieprzyjaciół". Albo: „błogosławieni, którzy wprowadzają pokój". ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ **Mamy do czynienia z nową herezją?**

Starą. Tylko powracającą w nowym wydaniu. Dawny bóg-wojownik nigdy nie umarł w sercach ludzi. Ale czy opowieść o nim można nazywać chrześcijaństwem? To przecież tak, jakby nazywać brudną wodę winem. My tego nie robimy. Wierzymy, że Chrystus zmartwychwstał, by tego boga-wojownika pokonać raz na zawsze.

Tydzień wcześniej opublikował Ksiądz Biskup dwie obszerne wypowiedzi o Peterze Thielu i jego wykładach. I znów: dlaczego Akademia recenzuje prywatne wystąpienia kalifornijskiego biznesmena, który nie jest katolikiem ani nie powołuje się na naukę Kościoła?

Bo Thiel nie jest tylko biznesmenem. Jest intelektualistą „organicznym" nowej, technokratycznej gnozy, która przepisuje na nowo obraz człowieka. A gdy ktoś – nawet nie katolik – mówi o „technologicznej nieśmiertelności", o „transhumanizmie", o „bogu rynku", teologia ma obowiązek tego wysłuchać i odpowiedzieć. Nie potępiać, lecz rozpoznawać.

Thiel organizuje konferencje, na których mówi, że wojna jest narzędziem oczyszczenia. To nie są „prywatne opinie": to doktryny publiczne, które kształtują zbiorową wyobraźnię. Ignorowanie ich oznaczałoby porzucenie tej dziedziny i pozostawienie jej tym, którzy chcą zastąpić Ewangelię oprogramowaniem. Teologia nie jest wieżą z kości słoniowej, ale jej strażnikiem. A strażnicy mają ostrzegać, nie pytając wroga o pozwolenie.

Dlaczego wojna, nacjonalizm i fanatyzm przebierają się dziś w religijne szaty? Dlaczego zlaicyzowany świat szuka religijnego uzasadnienia?

Ponieważ ten zlaicyzowany świat odkrył, że nie ma odpowiedzi na śmierć. Technika przedłuża życie, ale nie nadaje mu sensu. Rynek dostarcza towarów, ale nie daje pocieszenia. Wobec tej pustki powraca się więc do dawnych bogów. Ale nie do Boga Jezusa Chrystusa, który jest zbyt wymagający, bo zbyt pokojowy. Sięga się więc po boga plemiennego, po boga, który nienawidzi naszych wrogów, po boga, który obiecuje zemstę.

Nacjonalizm potrzebuje otoczki sakralnej, by żądać ostatecznych poświęceń. Wojna potrzebuje błogosławieństwa, by przemienić krew w chwałę. Fanatyzm potrzebuje absolutu, by uzasadnić grozę. „Świat świecki" nie stał się religijny, stał się zabobonny. A zabobon jest zawsze bardziej okrutny niż wiara, bo nie zna przebaczenia.

Świat nie stał się bardziej religijny, stał się zabobonny.
A zabobon jest zawsze bardziej okrutny niż wiara, bo nie zna przebaczenia.

Czy takie zwracanie się ku kategoriom religijnym, nawet karykaturalnym, to szansa dla teologii? Albo wręcz dla ewangelizacji?

Paradoksalnie – tak. Ponieważ każda karykatura zdradza jakieś autentyczne pragnienie, choćby nawet było ono zdeformowane. Kiedy człowiek szuka boga-wojownika, szuka w istocie ochrony absolutnej. Kiedy szuka boga sukcesu, szuka potwierdzenia własnej wartości. Pytania są prawdziwe, tylko odpowiedzi fałszywe.

Ewangelizacja nie może wyśmiewać tych karykatur, musi potraktować je poważnie. Musi pokazać, że Bóg Jezusa Chrystusa jest większy: że nie jest wojownikiem, lecz ojcem, który płacze nad martwym synem. Nie jest przedsiębiorcą, lecz sługą, który obmywa stopy. Nowa ewangelizacja nie zaczyna się od triumfu, lecz od kruchości. I być może dzisiaj świat jest już wystarczająco zdesperowany, by wysłuchać słowa, które nie obiecuje potęgi, lecz oferuje pokój.

Jest szansa. Pozostaje tylko pytanie, czy my, chrześcijanie, będziemy mieli odwagę, by ją wykorzystać.

Jak uprawiać teologię we współczesnym świecie?

Teologia, która przemawia do współczesnego świata, nie może być dyskursem specjalistów: musi stać się opowieścią. Musi nauczyć się języka obrazów, historii, poezji – tak jak próbowaliśmy to zrobić w liście o „Pijanym królu i trzeźwym pasterzu". Musi umieć płakać z płaczącymi i mieć nadzieję, gdy wszyscy inni już ją porzucili. Teologię uprawia się na kolanach. I na ulicy. Już nie tylko w książkach, lecz we łzach.

Ale przede wszystkim teologia musi się wyrzec wszelkiej żądzy władzy. Nie może stawać po stronie zwycięzców, musi słuchać pokonanych. Nie powinna też dawać łatwych odpowiedzi, tylko stawiać prawdziwe pytania. Musi mieć odwagę powiedzieć „nie wiem" w obliczu tajemnicy zła. Tylko teologia pokorna, zraniona, a nawet niepewna może zostać usłyszana w świecie, który widział zbyt wiele krwi przelanej w imię Boga.

Skoro dzisiejsze wojny usprawiedliwiane są religią, czy można powiedzieć, że są to wojny religijne?

Nie. To wojny o tożsamość, które używają religii jako sztandaru. Różnica jest zasadnicza. Prawdziwa wojna religijna byłaby toczona po to, by narzucić jakieś wyznanie. Tu nie chodzi o wiarę, ale o strach.

Przed czym?

Przed innym. Przed utratą władzy. Przed nowoczesnością.

To już nie Trump, a Putin i Cyryl?

Patriarcha Cyryl błogosławi czołgi nie dlatego, że wierzy, iż Ukraina musi nawrócić się na prawosławie, ale dlatego, że potrzebuje wroga, by utrzymać jedność własnej trzody. To ten sam mechanizm, co w radykalizmie islamskim: sekularyzuje się *sacrum*, by legitymizować przemoc. Religia staje się paliwem, a nie celem. To dużo poważniejsze niż wojna religijna – to profanacja. Używa się imienia Boga, by przykryć chciwość, pychę i lęk. A imienia Bożego nie można bezkarnie bluźnierczo nadużywać.

Przypominam, co mówił papież Franciszek: „działanie z przemocą w imię Boga jest satanistyczne". To jest właśnie powrót do panowania Antychrysta pod pretekstem czynienia czegoś chrześcijańskiego.

Gdzie popełniliśmy błąd? My, wychowani w pamięci o żołnierzach, którzy mieli napisane na pasach „Gott mit uns". I w pamięci Holokaustu...

Popełniliśmy błąd wierząc, że sama pamięć wystarczy. Nie. Nie wystarczy. Pamięć bez nawrócenia staje się muzeum. Zapomnieliśmy, ponieważ przestaliśmy opowiadać. Pokolenia, które przeżyły Holokaust, odeszły, a my nie potrafiliśmy przekazać tego przerażenia kolejnym. Zastąpiliśmy blizny podręcznikami. A podręczniki nie budzą lęku.

eprasa.pl d1efa56a26

Dziś „Gott mit uns” wraca na klamry pasów zapisane innym alfabetem: Bóg jest z nami, inni są przeciwko nam.

Popełniliśmy też błąd, nie ucząc wątpienia, krytycznego myślenia i współczucia. Popełniliśmy błąd, wierząc, że demokracja jest celem, podczas gdy ma być codzienną praktyką. A kiedy przestaje się ją praktykować, potwór powraca. W innym przebraniu, ale pachnie tak samo.

Czy da się zatrzymać to szaleństwo? Czy papież może zmienić układ sił? Czy Ewangelia ma jeszcze szansę w starciu z wszechpotęgą pieniądza?

Ewangelia ma szansę, ponieważ pieniądze nie dają szczęścia. Wszyscy o tym wiemy, nawet bogacze. Tylko boimy się do tego przyznać. Ewangelia to jedyny głos, który mówi: możesz zostawić wszystko i być wolnym. To nie jest łatwe, to nie jest dla wszystkich, ale to prawda.

Szaleństwo kończy się wtedy, gdy ktoś ma odwagę nie oddać ciosu. Gdy matka wybacza mordercy swojego syna. Gdy żołnierz odrzuca karabin.

Papież nie powstrzyma tego szaleństwa sam. Może jednak sprawić, że ktoś gdzieś przestanie być szaleńcem. Nie zmieni układów władzy, ale może poruszyć serce człowieka. A z przemienionego serca przemienia się świat.



MATERIAŁY PRASOWE

BP ANTONIO STAGLIANÒ (ur. 1959), doktor teologii fundamentalnej (Papieski Uniwersytet Gregoriański, 1986). W 2009 r. mianowany biskupem diecezji Noto, od 2022 r. przewodniczący Papieskiej Akademii Teologicznej. Naukowo zajmował się badaniem myśli św. Anzelma z Aosty, Joachima z Fiore i Antonia Rosminiego – autorów, którzy wywarli największy wpływ na jego formację. Od dziesięciu lat promotor projektu PopTeologia, którego celem jest prezentacja Ewangelii w nowoczesnym, przystępnym dla młodego pokolenia języku.

Powtórzę: nie zawsze.

Nie zawsze. Nie wszędzie. Ale niekiedy. To nie cuda. To Ewangelia. A Ewangelia, gdy się nią żyje, jest silniejsza niż jakakolwiek armia. Spróbujmy w to uwierzyć.

Czy konsultował Ksiądz Biskup swoje ostatnie polemiki z papieżem?

Nie. Nie dlatego, bym go nie szanował, ale dlatego, że papież ponosi odpowiedzialność uniwersalną, a ja – jako teolog – jedynie osobistą. Ale jest to odpowiedzialność za głoszenie prawdy, nawet niewygodnej. A prawda nas wyzwala.

Nie prosiłem go więc o pozwolenie, bo wiem, że on wcale nie chce teologów, którzy proszą o pozwolenie. Chce teologów, którzy głoszą Ewangelię. Moje słowa nie są „polemiką”. Są wyznaniem miłości do prawdy. A jeśli czasem wydają się twarde, to tylko dlatego, że twarde jest zło.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

REKLAMA

Rozmawiają prof. Ryszard Koziołek i Roman Bielecki OP

– Czytanie jest wspaniałą lekcją wolności i pobudzania umysłu za pomocą drobnych znaków zapisanych na papierze, które niejednokrotnie wbrew naszej woli kreują obrazy i skojarzenia oraz sprawiają, że zaczynamy się zastanawiać, bać, śmiać lub płakać.

PROF. RYSZARD KOZIOŁEK

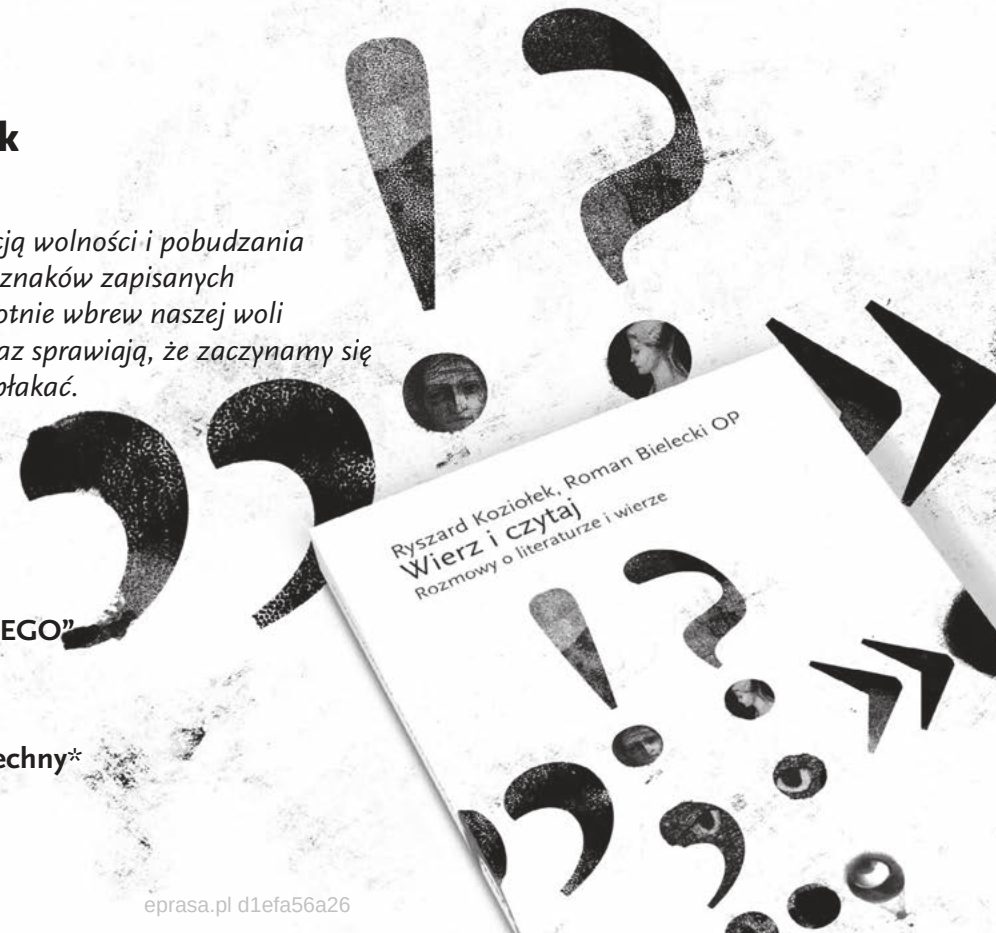
w drodze

DLA CZYTELNIKÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

25% rabat

Przy zakupie na **wdrodze.pl**, wpisz kod rabatowy: **powszechny***

*oferta ważna do 30 kwietnia 2026 r.



eprasa.pl d1efa56a26

Gdy moralność szkodzi

ARTUR SPORNIAK

ETYKA | Małżonkowie mogą współżyć ze sobą, nie zważając na to, jakie normy głosi katolicka etyka. To także jest nauczanie Kościoła!

Wiele osób ryzykuje własnym małżeństwem, byle tylko sprostać głoszonym w Kościele wymaganiom moralnym. Zwykle nie słyszały o prymacie sumienia.

„Metody NPR [okresowej wstrzemięźliwości] nie dały mi ani bliskości z mężem, ani wolności, ani radości, ani spełnienia. Nie wiem, czy możliwość stosowania jakiejkolwiek antykoncepcji by mi ją dała, ale przynajmniej miałabym wybór. Teraz ten wybór oznacza albo zamknięcie sobie drogi do komunii z powodu antykoncepcji, albo męczenie się kolejną dekadę, aż przejdę menopauzę. Myślę, że łatwiej mi było, gdy nie byłam mężatką. Nie mogłam współżyć, bo nie miałam męża. Teraz go mam – i... najczęściej dalej nie mogę" – mówiła jedna z bohaterek reportażu Moniki Białkowskiej „Miłość według kalendarzyka. Intymne dramaty katolickich małżeństw" (czytaj na **tyg-pow.pl/miłośćwedługkalendarzyka**).

Opublikowany przed kilkoma miesiącami („TP" 24/2025) reportaż przedstawiał świadectwa kilku osób żyjących w wieloletnich związkach i borykających się z katolicką etyką seksualną – w tym m.in. opowieść o małżeństwie nauczycieli NPR, którym z powodu trudności w stosowaniu metody rozpadło się życie seksualne.

Artykuł od miesięcy należy do najchętniej czytanych na naszej stronie internetowej, co pokazuje, jak wiele osób odnajduje się w opisanych przez Białkowską trudnościach. Paradoks polega na tym, że wcale nie musiało dojść do wspomnianych sytuacji – wystawiających małżonków na niebezpieczne próby oraz ogromne koszty duchowe i psychiczne. Nie jest bowiem tak, że katolicy są „skazani" na katolicką etykę seksualną pod groźbą niedopuszczenia do komunii (jak mówi powyższy cytat). Mogą nie spełniać konkretnych norm moralnych i chodzić do komunii – na co pozwala sam Kościół.

Paradoks katolickiej moralności

Ta wiedza nie jest szeroko propagowana ze zrozumiałych względów. Kościół nie chce stwarzać wrażenia dziwnej niekonsekwencji: najpierw propaguje drogę, która z zasady ma prowadzić do szczęścia i spełnienia w małżeństwie, a potem okazuje się, że jest ona niebezpieczna dla jedności i dobra małżeństwa, więc przyjmuje „rozwiązanie zastępcze". Więc się nim nie chwali. Owo rozwiązanie zastępcze trzeba z nauczania dopiero wyłuskać.

Żeby nie być gołosłownym w twierdzeniu, iż Magisterium Kościoła uważa, że jego nauczanie moralne prowadzi do szczęścia, cytat z adhortacji Jana Pawła II o małżeństwie „Familiaris consortio": „Porządek moralny, właśnie dlatego, że ujawnia i przedstawia zamysł Boży, nie może być czymś, co utrudnia życie człowiekowi i co nie odpowiada osobie; wręcz przeciwnie, odpowiadając najgłębszym potrzebom człowieka stworzonego przez Boga, służy jego pełnemu człowieczeństwu z tą samą subtelną i wiążącą miłością, z jaką sam Bóg pobudza, podtrzymuje i prowadzi do właściwego mu szczęścia każde stworzenie".

Ktoś, kto z góry wie, że głoszony przez niego porządek moralny „nie może być czymś, co utrudnia życie człowiekowi" (bo „przedstawia zamysł Boży"), zapewne nie będzie chętnie słuchać o trudnościach małżonków. A jednak w tej samej adhortacji papież przyznał, iż „jako Matka, Kościół (...) wie, że wiele małżeństw napotyka na trudności nie tylko w konkretnej realizacji, ale także w samym zrozumieniu wartości zawartych w normie moralnej".

Skąd ta niespójność? Pierwsza wypowiedź to ideał i życzenie, które właściwie moglibyśmy uczynić kryterium rozstrzygającym, co jest porządkiem moralnym, a co wymysłem ludzkim, bo Bóg rzeczywiście chce naszego dobra i szczęścia. A drugi cytat to realistyczna ocena rzeczywistości i w zasadzie przyznanie się do porażki: Kościół głosi normę moralną, której wartości nie potrafi ani ukazać, ani wyjaśnić.

Ignorancja niepokonalna

Jest to ważna przesłanka do odrzucenia tej normy. Zwłaszcza gdy małżonkowie w swoim sumieniu rozpoznają, że postępowanie zgodne z normą godzi w dobro małżeństwa, np. skazuje na bardzo długą wstrzemięźliwość zagrażającą rozpadowi związku.

To druga ważna przesłanka: wyraźny głos sumienia. Takiego głosu trzeba bezwzględnie słuchać. Jest on ważniejszy od nauczania moralnego Kościoła. Stwierdza to jasno Katechizm Kościoła Katolickiego: „Człowiek powinien być zawsze posłuszny pewnemu sądowi swojego sumienia. Gdyby dobrowolnie działał przeciw takiemu sumieniu, potępiałby sam siebie" (punkt 1790) oraz „Człowiek ma prawo działać zgodnie z sumieniem i wolnością, by osobiście podejmować decyzje moralne. Nie wolno więc go zmuszać, aby postępował wbrew swojemu sumieniu. Ale nie wolno mu też przeszkadzać w postępowaniu zgodnie z własnym sumieniem" (1782).

Trzecia przesłanka odnosi się do tzw. ignorancji niepokonalnej. To owa furtka i awaryjne rozwiązanie dla Kościoła (i jego poczucia nieomylności): gdy Magisterium widzi, że nie potrafi nie tylko przekonać małżonków, by żyli zgodnie z głoszoną przez niego normą, ale także sprawić, by zrozumieli, że takie życie będzie dla nich ostatecznie lepsze, uznaje, iż tkwią oni w niepokonalnej ignorancji. Tak, Kościół instytucjonalny się nie myli, mylą się – jego zdaniem – małżonkowie. Ale tu uwaga (!): „jeśli ignorancja jest niepokonalna lub sąd błędny bez odpowiedzialności podmiotu moralnego, to zło popełnione przez osobę nie może być jej przypisane" – głosi punkt 1793 Katechizmu. Zatem małżonkowie nie mają grzechu.

A jak nie ma grzechu, nie trzeba się z niego spowiadać. I potwierdza to Vademecum dla spowiedników opublikowane przez Watykan w 1997 r.,

eprasa.pl d1efa56a26


ADOBE STOCK

w którym czytamy: „Jest zasadą, że nie jest konieczne, by spowiednik pytał o grzechy popełnione z powodu niepokonalnej ignorancji dotyczącej grzesznej natury tych czynów, lub popełnione z powodu niezawinionego błędu zaistniałego w osądzie sumienia". Warunek jest tylko jeden, o czym wspomina wymieniony wyżej punkt 1793 Katechizmu: „Konieczna jest praca nad poprawianiem błędów sumienia". Oznacza to badanie nauczania Kościoła, ważenie racji, zastanawianie się, skąd się bierze rozbieżność głoszonych norm z życiem (spróbuję w tym zadaniu pomóc w dalszej części artykułu).

Te trzy przesłanki sprawiają, że małżonkowie mogą współżyć ze sobą w sposób, który uznają, że rozwija ich relację, nie zważając na to, iż Kościół widzi zło moralne w używaniu prezerwatywy, antykoncepcji hormonalnej, w seksie oralnym i wszelkich innych pieszczotach doprowadzających do wytrysku poza drogami rodnymi kobiety. I nie muszą się z tego spowiadać.

Karłowata wersja moralności

Jeżeli jest to takie proste, skąd się zatem wzięła owa udręka małżonków, tak przejmująco ukazana w reportażu Moniki Białkowskiej?

Chyba najważniejszą przyczyną niepotrzebnego, bolesnego zmagania się małżonków z doktryną Kościoła jest to, że wychowani zostaliśmy do bezdyskusyjnego posłuszeństwa, czyli do karłowatej wersji moralności. Mam na myśli co najmniej dwa pokolenia: moje pokolenie PRL-u (generację X, czyli roczniki od 1965 do 1980) oraz następne pokolenie milenialsów (generację Y, 1981-1996) – a zwłaszcza ich, bo to oni zmagają się teraz z chcianym/niechcianym rodzicielstwem.

Tymczasem człowiek postępuje w pełni moralnie dopiero wtedy, gdy działanie podejmuje samodzielnie, świadomie, w sposób wolny i przekonany o jego słuszności. Innymi słowy, gdy normy moralne interioryzuje rozumem i wolą. Gdy natomiast niewolniczo słucha autorytetu albo lęka się Bożego potępienia, jego moralność ma spaczoną postać.

Kościół instytucjonalny w Polsce poważnie odpowiada za to, że całe pokolenia wychowywał do takiej niesamodzielnej wersji sumienia, krzywdząc ludzi. Głównie przez katechezę, ale też przez moralizatorskie duszpasterstwo i straszenie piekłem w kazaniach.

Od siekiery

Wyjaśniwszy to, przyjrzyjmy się, jakie jest dokładnie nauczanie moralne Kościoła w kwestii małżeństwa i skąd się ono wzięło.

Cała katolicka etyka seksualna zawieszona jest na dwóch normach. Pierwsza stwierdza, że seksualność można uruchamiać tylko w małżeństwie i tylko w jeden sposób – poprzez stosunek waginalny, w którym nasienie mężczyzny trafia do narządów rodnych kobiety („Bez względu na świadomy i dobrowolny motyw użycie narządów płciowych poza prawidłowym współżyciem małżeńskim w sposób istotny sprzeciwia się ich celowości"; KKK 2352). Druga norma wymaga, by stosunek seksualny był „otwarty" na płodność („Każdy akt małżeński powinien pozostać sam przez się otwarty na przekazywanie życia ludzkiego"; KKK 2366).

Wszystko, co w życiu seksualnym dzieje się poza wąskim zakresem określonym przez te normy, jest tzw. czynem wewnętrznie złym, czyli moralnie złe zawsze, bez względu na motywy ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ i okoliczności. Kościół tłumaczy ten rygoryzm wagą, jaką przykłada do ludzkiej płciowości.

A jednak są to bardzo restrykcyjne i toporne normy. Niesłychanie zawężają one to, co w sferze seksualnej jest moralnie dobre. Po stronie zła moralnego obok np. gwałtu zbiorowego ląduje bez różnicy np. autostymulacja, by oddać nasienie do badania. Czynem wewnętrznie złym na równi z morderstwem stają się pieszczoty kochających się małżonków z wytryskiem nasienia poza pochwą. Już z tego zestawienia widać, że coś tu poważnie nie gra. Katolickiej etyce seksualnej ewidentnie zabrakło subtelności.

Jak Magisterium doszło do sformułowania tych norm?

Augustyn i Tomasz

Miłość małżeńska, mimo doceniania jej znaczenia w Starym i w Nowym Testamencie (gdzie służy m.in. do ukazania relacji między Bogiem a narodem wybranym i między Chrystusem a Kościołem), ostatecznie nie miała szczęścia w Kościele. Na etyce małżeńskiej najbardziej zaważyli dwaj specyficzni święci: seksoholik, który zanegował wartość seksualności, by poradzić sobie z nałogiem, oraz skrupulatnie porządkujący rzeczywistość racjonalista. Ani św. Augustyn, ani św. Tomasz nie dysponowali odpowiednim życiowym doświadczeniem, by móc adekwatnie analizować małżeństwo i miłość małżeńską.

Wielu duchownych moralistów w tym miejscu żachnie się: przecież lekarz nie musi być sam chory, by umieć zdiagnozować i leczyć chorobę! Tyle że droga życiowa, jaką jest małżeństwo, bardziej niż „chorobę" przypomina – można odpowiedzieć – wspinaczkę wysokogórską, a do niej teoretyk raczej nie przygotuje.

Tylko raz Kościół dopuścił do głosu małżonków, po czym ich opinię zignorował: Paweł VI zaprosił do komisji badającej problem antykoncepcji kilka małżeństw, a następnie odrzucił współtworzony przez nie tzw. raport większości dopuszczający użycie sztucznej regulacji poczęć.

Dla Augustyna współżycie seksualne było obarczone „skazą" pożądliwości będącej skutkiem grzechu pierworodnego. W małżeństwie usprawiedliwia je jedynie nastawienie na prokreację. Namiętność, która zasłaniała ten motyw, czyniła z seksu „grzech powszedni". Seksualność jest więc co do zasady moralnie niebezpieczna, a jej użycie to zło konieczne, dopuszczalne jedynie ze względu na odnawianie pokoleń.

> Kościół w Polsce wychowywał całe pokolenia do niesamodzielnej wersji sumienia, **krzywdząc ludzi.**

Na tle mentalności biskupa Hippony poglądy Tomasza z Akwinu wydawały się rewolucyjne. W pożądaniu seksualnym widział on stworzoną przez Boga naturalną inklinację prowadzącą do przedłużenia gatunku – jedno z kilku fundamentalnych dążeń ludzkiej natury konstytuujących prawo naturalne (pozostałe to instynkt samozachowawczy, inklinacja do prawdy i do życia społecznego). To Tomasz sformułował klasyczną naukę o trzech nierównorzędnych celach małżeństwa: podstawowym, jak prokreacja i wychowanie potomstwa (*procreatio atque educatio prolis*), i drugorzędnych, jak wzajemna pomoc (*mutuum adiutorium*) i lek na pożądliwość (*remedium concupiscentiae*). Taki zestaw zapisany był jeszcze w kodeksie prawa kanonicznego z 1917 r., obowiązującym formalnie do 1983 r.

Prokreacja

Jak rozumieć pierwszorzędność prokreacji? Jako fundament małżeństwa? Przecież jest dokładnie odwrotnie – to raczej małżeństwo stanowi fundament dla rodzicielstwa. Prokreacja nie może należeć ani do istoty małżeństwa, ani wyznaczać jego głównego sensu. Gdyby tak było, małżeństwa bezdzietne nie miałyby sensu. Tymczasem Kościół od zawsze twierdził, że niepłodność nie stanowi przeszkody do małżeństwa.

Nieadekwatność takiej hierarchii celów małżeństwa można pokazać na analogii. Pierwszorzędnym celem szkoły jest kształcenie młodzieży. Przy okazji szkoła daje zatrudnienie nauczycielom – to byłby niewątpliwie ważny, ale podrzędny jej cel. A teraz wyobraźmy sobie szkołę bez dzieci (odpowiednik niezawinionej bezdzietności) – czy miałaby ona sens?

Nacisk na pierwszorzędność prokreacji świadczy o patrzeniu na małżeństwo z perspektywy zewnętrznej – społecznej. Z tej perspektywy pojawienie się dzieci, czyli kolejnego pokolenia, jest najważniejszym zadaniem małżonków. Ma to wpływ też na analizę moralną: jakiekolwiek działanie przeciwne prokreacji w sposób istotny godziłoby w małżeństwo. Dlatego jest złem moralnym.

Z perspektywy małżonków wygląda to jednak inaczej: dzieci są dopełnieniem małżeństwa, owocem i ukoronowaniem ich miłości. O wiele jednak ważniejsza jest dla małżonków ich relacja. To o nią muszą zawsze najpierw zadbać. Jeśli trzeba, ograniczając prokreację.

Równorzędność celów

Sobór Watykański II dowartościował perspektywę personalistyczną i miłość małżeńską. Hierarchia celów zniknęła. Zreformowany przez Jana Pawła II w 1983 r. kodeks prawa kanonicznego mówi o małżeństwie jako o wspólnocie całego życia, „skierowanej ze swej natury na dobro małżonków oraz na zrodzenie i wychowanie potomstwa". Jak ta równorzędność dwóch celów – dobra małżonków i prokreacji – przekłada się na etykę?

Dokładnie tak samo. Owa „równorzędność celów" nadal gwarantuje, że prokreacja wciąż ma decydujący wpływ na normy etyczne. Paweł VI w encyklice „Humanae vitae" nie zgodził się, by rodzicielstwo realizowane na przestrzeni życia małżonków uzasadniało stosunki seksualne z rozmysłem uczynione niepłodnymi. Każdy akt małżeński ma być otwarty na płodność. Papież nie potrafił jednak wyjaśnić, w jakim sensie na płodność otwarte są stosunki podejmowane celowo w okresie niepłodnym.

Prof. Bogdan Wojciszke w „Psychologii miłości" przytacza hipotetyczny przykład małżeństwa, które w ciągu 20 lat pożycia dorobiło się dwójki dzieci, współżyjąc średnio dwa razy w tygodniu. Ze statystyki wynika, że w ich przypadku na 1000 stosunków jeden był płodny. I komentuje: „Gdybyśmy znaleźli klucz do szafy, który otwiera ją raz, a nie otwiera 999 razy, zapewne nie przyszłoby nam do głowy, że to jest klucz do tej szafy".

eprasa.pl d1efa56a26

Seks a zdrowie

Ograniczenie przez Kościół erotycznych zachowań do stosunku seksualnego zakończonego wytryskiem w narządach rodnych kobiety przynosi szkody także wtedy, gdy o prokreacji z racji biologicznych nie może już być mowy. W okresie poreprodukcyjnym, kiedy funkcje seksualne słabną, mężczyźni mogą mieć kłopoty z erekcją. Małżonkowie, którym Kościół wmówił, że tylko jedno z zachowań seksualnych jest moralne, nie mogąc sprostać tym wymaganiom, często po prostu rezygnują z seksu. I to w życiowym okresie, kiedy wzajemna bliskość i wsparcie są bardzo potrzebne.

Magisterium nie bierze pod uwagę, że jego nauczanie na wielu poziomach prowadzi do konfliktu wartości. Ignoruje fakt, że o zdrowie narządów seksualnych jako biologicznych organów ciała mamy także moralny obowiązek dbać. A okazuje się, że w seksie to różnorodność, a nie monotonia, jest zdrowa.

Pytanie o krzywdę

Uniwersalnym kryterium moralności czynów jest rozpatrywanie ich w kontekście sprawiedliwości. Kogo krzywdzą małżonkowie, używając antykoncepcji?

W dokumentach Kościoła znajdziemy wiele prób odpowiedzi na to pytanie. Paweł VI w encyklice „Humanae vitae" przekonywał, że małżonkowie przyzwyczaiwszy się do stałej dzięki antykoncepcji dostępności żon, przestaną je szanować. To wizja mężczyzny celibatariusza.

Jan Paweł II mówił, że antykoncepcja to kłamstwo w mowie ciała – mąż mówi: nie chcę twojej płodności, żona: nie oddam ci się cała. A co „mówią" sobie małżonkowie skrupulatnie wyliczający dni płodne i podejmujący stosunki tylko w okresie niepłodnym – będę się kochać z tobą, pod warunkiem, że będziesz niepłodna / że mnie nie zapłodnisz? Czy to jest obdarowywanie się sobą „w całościowości daru"?

Pojawiły się tak dziwaczne argumenty, jak np. to, że nie okazujemy szacunku wobec osobowej godności potencjalnych istot, które mogłyby się począć, gdyby stosunek nie został obezpłodniony (ks. Tadeusz Ślipko), albo że obrażamy Boga, bo nie szanujemy jego daru. Naprawdę Bóg bardziej jest obecny w biologii niż w rozumie, rozsądku i odpowiedzialnym rodzicielstwie?

Z pozycji małżonków sprawa jest oczywista – właściwą perspektywą mówienia o rodzicielstwie jest całość życia małżeńskiego. Tropienie odniesień do prokreacji w każdym zachowaniu seksualnym zakrawa na niezrozumiałe skrupulanctwo.

Ono staje się bardziej zrozumiałe, gdy zapytamy o rzeczywisty motyw, którym kierowali się decydenci Magisterium. Z wypowiedzi Pawła VI, a także z tzw. raportu mniejszości, na którym się opierał przy redagowaniu encykliki „Humanae vitae", wynika, że głównym motywem był lęk przed skutkami zmiany nauczania. Papież obawiał się utraty przez Kościół wiarygodności. Tymczasem nieraz już w historii Magisterium zmieniało zdanie (przykładem choćby pożyczka na procent traktowana dawniej jako niemoralna lichwa, czy wspieranie niewolnictwa jeszcze do lat 60. XIX wieku).

Lęk zwykle nie jest dobrym doradcą w moralności.

©℗ ARTUR SPORNIAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK Trzeciego Wieku

KONFERENCJA DLA AKTYWNYCH SENIORÓW

8 MAJA 2026 | NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

(KRAKÓW, AL. JANA PAWŁA II 232) | START: GODZ. 9.30

REJESTRACJA I SZCZEGÓŁY: EVENEA.PL

KONFERENCJA TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU to wydarzenie tworzone z myślą o osobach dojrzałych – aktywnych, ciekawych świata, chcących rozwijać się na własnych warunkach.



Fake newsy, deepfake'i, oszustwa w sieci – czy wiesz, jak się przed nimi bronić?
Dołącz do konferencji Tygodnik Trzeciego Wieku i odkryj świat mediów od kuchni razem z dziennikarzami „Tygodnika Powszechnego"! Spotkanie poprowadzą doświadczeni redaktorzy i eksperci.
A na zakończenie – wyjątkowy koncert Jacka Wójcickiego, ikony krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY

Blisko 600 uczestników. Rzetelna wiedza. Żywa rozmowa. I coś więcej niż notatki.

eprasa.pl d1efa56a26

Kardynał w synagodze

JACEK STAWISKI

DIALOG | **Kardynałowie Grzegorz Ryś i Stanisław Dziwisz odwiedzili krakowską synagogę w 40. rocznicę spotkania Jana Pawła II z rzymskimi Żydami.**



GRAŻYNA MAKARA

Kardynał Grzegorz Ryś w Synagodze Kupa, w 40. rocznicę wizyty Jana Pawła II w Wielkiej Synagodze w Rzymie. Kraków, 13 kwietnia 2026 r.

W wielu miejscowościach – nieraz tuż obok nas, czasem nieco dalej – znajdują się ocalałe z wojennej zawieruchy synagogi. W większości z nich nie rozbrzmiewa już dziś głos radosnej szabatowej modlitwy. Są jednak i takie, które tętnią religijnym życiem" – napisali polscy biskupi w odczytanym niespełna miesiąc temu liście episkopatu, apelując do wiernych, by 13 kwietnia odwiedzili te miejsca, „podążając śladem Jana Pawła II".

Krakowska synagoga Kupa jest jednym z takich miejsc – czynnych, tętniących religijnym życiem. W poniedziałek 13 kwietnia odwiedził ją kard. Grzegorz Ryś, w towarzystwie, co warto podkreślić, kard. Stanisława Dziwisza, który uczestniczył w rzymskim spotkaniu przed czterema dekadami. Ale też w towarzystwie wielu innych gości, bo synagoga wypełniła się Żydami i chrześcijanami, świeckimi i duchownymi, którzy chcieli być świadkami wspomnienia wielkiego historycznego kroku, jakiego dokonali Jan Paweł II i rabin Rzymu Elio Toaff.

KONTROWERSJE | Od kilku tygodni w Polsce coraz mocniej słychać głosy tych, którzy odrzucają ducha i treść listu episkopatu, odwołując się do katolicyzmu, tradycji katolickiej, a nierzadko nawet spuścizny samego Jana Pawła II. Biskupom, którzy wstawiają się za koniecznością dialogu katolicko-żydowskiego, sprzeciwiają się antysemityzmowi, odmawiając mu jakiejkolwiek legitymizacji na gruncie doktryny teologii katolickiej, stawiane są zarzuty wręcz herezji, nawet apostazji.

Szczególnie atakowany jest krakowski metropolita, kard. Grzegorz Ryś. Który wciąż przypomina, że dialog katolicyzmu z judaizmem był istotnym wątkiem pontyfikatu polskiego papieża, a list episkopatu przywołuje jedynie jego nauczanie oraz deklarację „Nostra aetate" Soboru Watykańskiego II.

Wspominając wydarzenia rzymskie sprzed 40 lat, gdy Jan Paweł II przekraczał próg synagogi, warto pamiętać, że również papież spotykał się wtedy z niechęcią czy – używając języka współczesnego – zwyczajnym hejtem. Mówiono o tym podczas sympozjum naukowego na UPJPII w Krakowie, poprzedzającego wizytę kardynałów w synagodze Kupa. Jeden z referatów poświęcony był reakcjom w świecie katolickim na gest papieża.

Przypomnienie tamtych wrogich dialogowi z judaizmem głosów daje historyczną perspektywę, ale jednocześnie pokazuje, że w zasadniczych punktach wróciliśmy nie tylko do 1986 r., ale wręcz do połowy lat 60. XX w., gdy soborowa deklaracja „Nostra aetate" torowała drogę do otwarcia na dialog z Żydami i judaizmem oraz kategorycznie odmawiała racji antysemityzmowi i wrogości do narodu żydowskiego.

DROGA | „Drodzy Przyjaciele i Bracia, Żydzi i Chrześcijanie" – rozpoczął swoje wystąpienie kard. Ryś, cytując słowa z rzymskiej synagogi, za które Jan Paweł II otrzymał wówczas gromkie brawa. Po czterdziestu latach ponownie rozległy się oklaski po tych słowach.

Kardynał wspominał, że Karol Wojtyła jako metropolita krakowski odwiedzał synagogę w 1969 r., kiedy antysemityzm, zadekretowany jako antysyjonizm, stał się właściwie doktryną państwową PRL-u Gomułki i Moczara. A idąc do synagogi rzymskiej, niezbyt odległej od Watykanu, musiał pokonać jednak długą drogę: wielowiekowej wrogości, przemocy i rozdzielenia. „Zdajemy sobie z tego sprawę, że nie wszyscy chcą się w nią wybrać – dodał kardynał – zwłaszcza że jest to jednocześnie droga bardzo krótka, bo trwająca dopiero 60 lat".

Kardynał Dziwisz przypominał z kolei, że spotkanie Jana Pawła II z rzymskimi Żydami zaczęło się dużo wcześniej – jeszcze w Wadowicach, gdy Karol Wojtyła jako dziecko zetknął się ze światem polskich Żydów i na trwałe zanurzył się w rzeczywistości polsko-żydowskiego i katolicko-żydowskiego współistnienia.

MODLITWA | Rocznicowe spotkanie w synagodze przy ul. Miodowej było proste i pozbawione zbędnej celebry. Było modlitewnym i duchowym spotkaniem wyznawców tego samego Boga.

Na koniec wizyty kard. Ryś wręczył Helenie Jakubowicz, przewodniczącej krakowskiej Żydowskiej Gminy Wyznaniowej, tekst modlitwy, jaką Jan Paweł II włożył w szczelinę między kamieniami Muru Zachodniego w Jerozolimie, pewnie najważniejszego miejsca dla Żydów, nie tylko religijnych. Polski papież napisał w nim: „Boże Abrahama, Boże Proroków, Boże Jezusa Chrystusa. W Tobie zawarte jest wszystko, do Ciebie zmierza wszystko, Ty jesteś kresem wszystkiego. Wysłuchaj naszych modlitw, jakie zanosimy za naród żydowski, który – ze względu na swoich przodków – jest Tobie nadal bardzo drogi". ©℗

eprasa.pl d1efa56a26

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje. „Tygodnik Powszechny” to przestrzeń dla tych, którzy chcą rozumieć, a nie tylko wiedzieć – dla czytelniczek i czytelników szukających pogłębionej refleksji nad rzeczywistością.
To tygodnik społeczno-kulturalny, który od lat buduje wspólnotę ludzi myślących samodzielnie i niebojących się zadawać trudnych pytań.

Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale też w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.

Tylko do **końca kwietnia**, kupując lub przedłużając prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” otrzymujesz **specjalną ofertę** – nawet **4 zł taniej** za numer niż w kiosku.

OFERTA CENOWA

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10kwi26** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5kwi26** --> **5% zniżki**
Odbiór w Żabce	Roczna	~~cena 688 zł~~ **nowa cena 618 zł** z kodem: **10kwi26z** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 368 zł~~ **nowa cena 348 zł** z kodem: **5kwi26z** --> **5% zniżki**
Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl		
Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10kwi26p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5kwi26p** --> **5% zniżki**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00), adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl d1efa56a26

ZUZANNA

Radzik: *Żłobkowa zaraza*



„Przecież wiadomo” – słyszę, zwierzając się z frustracji, z jaką przyjęłam pojawienie się w naszym życiu pierwszej żłobkowej zarazy. Wiadomo było, że przyjdzie. Wszyscy przez to przechodzili. A już na pewno przechodziły przez to wszystkie matki, bo to one zostają z chorymi w domu, czy odruchowo, czy stereotypowo, czy dlatego, że i tak częściej mają bardziej elastyczną lub prekarną pracę (żeby móc mieć dzieci). W każdym razie żadnej to nie dziwi, wszystkie kiwają głowami ze zrozumieniem i zgodą na los. Były tam, niektóre przeżyły pandemię z dziećmi i pracą. Witaj w klubie! – mówią, włączając w swoje grono wiedźm, tych, co już wiedzą, jak to jest.

Moja złość jest jeszcze świeża, zdziwiona, nieukojona. Pierwszy był wstrząs pełnym tygodniem dziecka w żłobku. Dziwnie, ale obiecująco. Strasznie, bo przychodzi taka zmęczona. Co to za system, który chce, żebyś oddawała obcym dziecko na prawie osiem godzin? Ale wraz ze żłobkiem pojawiła się wstrząsająca obietnica własnego, niezmąconego czasu. Niesiona optymizmem, szczegółowo zaplanowałam kolejny tydzień. Właściwie to po kilkunastu miesiącach opieki powinnam zrobić sobie małe wakacje w mieście, czas dla siebie. Tak radziły mądre koleżanki. Ale wiadomo, już czeka kolejka zaległych spraw, odkładanych projektów. Gdy już racjonalnie rozsmarowałam najpilniejsze zadania po kartkach kalendarza, przyszła rzeczona żłobkowa zaraza.

Pierwszego dnia jeszcze spojrzałam w kalendarz, zobaczyć, czego jutro nie zrobię. Otarłam łzę i poszłam do pediatry. „To państwa decyzja – powiedziała – w żłobku są na pewno bardziej chore dzieci”. Próbowaliśmy być jak prawdziwi Belgowie, których system nie zna chorobowego na dziecko, ale po dwóch godzinach kazano nam zabrać tę płaczącą kulkę nieszczęścia. W kolejnych dniach już nie śmiałam zaglądać w anulowane plany. Skupiłam się na tym, co trzeba wykonać bezwzględnie, choćby nocą. A gdy starczało jeszcze energii, zamiast wziąć się za zadania z ukrytej w kalendarzu listy, dałam sobie absolucję generalną i czytałam. Czytałam zachłannie, bo znów potrzebuję, żeby ktoś mi opowiedział, co się ze mną dzieje. Jak łączyć czułość do chorego dziecka z poczuciem bycia spychaną w przepaść opieki, od której żłobek obiecywał przerwę. Skąd ten bunt, skoro było wiadomo?

Szczęśliwie miałam co czytać. Akurat Paulina Małochleb wydała swoją książkę o macierzyństwie „Mięśnie mam od miłości”, Agata Sikora w kwietniowym „Znaku” opublikowała zapowiadający książkę „Jak wyjść z siebie” esej o podziale pracy opiekuńczej. I jeszcze ukazały się „Szmaty” Karoliny Lewestam, choć niby o siostrzeństwie, macierzyństwie i córkowaniu, ale tak naprawdę zadziorna i głęboka refleksja o kobietach. Siostry, przybywajcie, rozsiądźcie się na mojej kanapie, gdzie pod kocem styrana dniem z chorym dzieckiem leżę i potrzebuję was posłuchać!

Potrzebuję opowieści i analizy o tym doświadczeniu, napisanej przez osoby, które nie tylko je przeszły, ale też zadają mu głębokie, analityczne pytania. Osadzają w filozofii, antropologii, krytyce systemów społecznych, tłumaczą, patrzą krytycznie, chcą zrozumieć. Tak, potrzebuję upewnić się, że nie tylko ja różne podziały i decyzje w parze wokół opieki i dziecięcych spraw oglądam i ważę na wadze równości, własnych pragnień i wizji siebie jako matki. Wizji własnej czy jednak cudzej? Jak dobrze, że Agata Sikora też je sobie zadaje. A potem stara się odsunąć wzrok od prywatnych wyborów i zobaczyć szerzej, że układają się w statystyczną prawidłowość i że „ta nieformalna siła ciążenia, która w heteroseksualnych parach »przyciąga« opiekę do kobiety, ma bardzo realne przełożenie na zarobki, szanse zawodowe, ludzkie losy”.

Nie mogę doczekać się jej książki, bo czuję, że objaśni moją nową rzeczywistość. Czy jakiś system robi to w ogóle dobrze? Czy jakieś społeczeństwo, z tych wszystkich bolejących, że kobiety nie rodzą, wymyśliło, co zrobić, by dało się być matką bez wielkiej straty, biedy na starość i innych przykrości? Nawet „Mięśnie mam od miłości” Małochleb, gęsta, intymna, pełna świetnych literackich i kulturowych odniesień, nie daje jednak tego, czego szukałam. Nie ma tego ostrza – choć często powtarzana opinia o trudności matkowania w późnym kapitalizmie jest oczywiście słuszna, to jakoś wciąż mało. Niech ktoś w końcu napisze, jakie są właściwie warunki wykonalności macierzyństwa w XXI wieku. Podejrzewam, że wiele z nas podejmuje decyzje o nim trochę bez zastanowienia, jak przemebluje nasze życie, upośledzi oszczędności, czas wolny, wysokość emerytury i karierę. Bo jak się zastanowić, to trochę strach. A społeczeństwa i tak pytają, gdzie te dzieci. No gdzie? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

eprasa.pl d1efa56a26

O. WACŁAW

Oszajca:
Nie wysłucham was



Uroczyście zapewniam was: Kto nie wchodzi do zagrody owiec przez bramę, lecz innym sposobem, jest złodziejem i przestępcą (...) Złodziej przychodzi tylko po to, aby coś ukraść, zabić lub zniszczyć. Ja natomiast przyszedłem, aby moje owce miały życie i to życie w pełni (...) Dobry pasterz poświęca swoje życie za owce". W Biblii pasterzami nazywa się zarówno przywódców religijnych, jak i politycznych. Nierzadko polityk bywał kapłanem i odwrotnie. Mający władzę rozstrzygali, co jest, a co nie jest wolą Boga. Sprzeciwiający się takiemu bosko-ludzkiemu, z akcentem na boski, pasterzowi, sami na siebie pisali wyrok. To właśnie nadal spotyka tych, którzy „choć (Jezusa) nie znają, zachowują Jego przykazania". Jeśli więc ktoś szuka sposobu, jak odróżnić dobrego pasterza od złego, czytając Ewangelię, czyli przyglądając się Jezusowi, jak On myśli, mówi i działa, taką wskazówkę łatwo uzyska. Po prostu, dobry polityk i dobry kapłan to ten, który siebie poświęca, „daje swoje życie". Zły poświęca innych i za ich krew, czyli życie, siebie i swoich zniewolonych poddanych tuczy.

Prawdą jest, że „wszelka władza pochodzi od Boga", ale prawdą jest również, że ten Boży dar człowiek otrzymuje od ludzi zarówno w sprawach politycznych, jak i religijnych. W związku z tym, jeśli sprawujący władzę mają krew na rękach w znaczeniu dosłownym i przenośnym, to za jej przelanie odpowiadają oni, ale też ci, którzy tę władzę im powierzyli w wolnych wyborach, czy też na mocy religijnego urzędu. Nie oglądajmy się jednak na innych, przypatrzmy się uważnie naszym rękom. Przed tą odpowiedzialnością za rządzących nie zasłaniajmy się wolą Boga, gdyż nawet: „Jeżeli Boga nie ma, To nie wszystko człowiekowi wolno. / Jest stróżem brata swego / i nie wolno mu brata swego zasmucać, / opowiadając, że Boga nie ma" (Czesław Miłosz). Jeśli się jest człowiekiem religijnym, to tym bardziej nie można „brata swego zasmucać", wmawiając mu, że skoro jesteśmy wierzącymi, to już tym samym Bóg jest po naszej stronie i możemy robić, co tylko chcemy.

Papież Leon mówi: „Jezus nie słucha modlitw tych, którzy prowadzą wojny, lecz odrzuca je, mówiąc: Pomimo że w nieskończoność mnożycie modlitwy, nie wysłucham was. Ręce wasze spływają krwią". Nie róbmy z Boga tyle kapryśnego, co krwiożerczego potwora. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Gamaliel



Jak dobrze, że pierwotny Kościół go zapamiętał! Z całą pewnością Gamaliel jest dla nas ważny (Dz 5, 34nn). Powinien stać się jednym z naszych nauczycieli. Najwybitniejszy rabin tamtego czasu, prawdziwy duchowy przywódca Sanhedrynu, wielki wykładowca Tory. Możemy się nim chlubić – tak, jak chlubił się nim Paweł jako swoim nauczycielem (zob. Dz 22, 3) – choć (podobnie do Szawła/Pawła) stanowczo za rzadko idziemy za jego przesłaniem... Dlaczego winien stać się także naszym „mistrzem"?

Może najpierw jako wypełnienie słów Jezusa: „Kto nie jest przeciwko wam, ten jest z wami" (Łk 9, 50)? Prosta zasada, która nakazuje z założenia szukać wokół siebie raczej przyjaciół niż wrogów. A może w przekonaniu, że to, co mówi i co prezentuje sobą Gamaliel, nie tylko „nie jest przeciwko", ale jest głęboko spójne z nauczaniem apostołów? Kiedy Gamaliel przestrzega swoich współbraci, członków Sanhedrynu, by nie podejmowali działań, przez które mogą się okazać „zwalczającymi Boga", czy nie wyraża tej samej troski, co przed minutą Piotr, który mówił: „Trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi" (Dz 5, 29)? Więcej! Czy Gamaliel nie uczy nas prostych zasad rozeznawania w Kościele? Mówi najpierw, że gwałt i przemoc w imię Boga jest dramatycznym nadużyciem, gdyż Bóg jest dobry, obdarowujący i nagradzający. Następnie podpowiada „czytanie czasu", czas bowiem weryfikuje pretensje tych, którzy ogłaszają się Bożymi posłańcami... Ukazuje bezradność owych potęg, kiedy próbują zniszczyć to, co naprawdę jest z Boga. Są starożytne warianty Dziejów Apostolskich, w których przestroga Gamaliela brzmi następująco: „jeżeli [ta myśl i sprawa] pochodzi od Boga, nie tylko wy, ale i królowie i tyrani będą bezsilni, by ich zniszczyć. Dlatego nie dotykajcie ich, by się nie okazało, że toczycie wojnę z Bogiem".

To, co jest od Boga, jest niezniszczalne! Czy ta zasada rozeznawania nie jest istotna również dla nas? Czy nie jest czasami tak, że wewnątrz naszej wspólnoty najostrzejsze walki toczymy o to, co w Kościele jest zmienne – wprowadzone dla doraźnych powodów, i wcale nie należy do Tradycji? I jak dobrze jest spotkać się ze starym mistrzem duchowym, który podpowiada daleko idącą ostrożność. To przecież wielka bieda, gdy ci, którzy wobec innych reprezentują Boga, zaczynają z Nim walczyć. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl d1efa56a26

HISTORIA

ZESŁAŃCY SPRZED 90 LAT

28 kwietnia 1936 r. władze Związku Sowieckiego podjęły decyzję o deportacji Polaków do Kazachstanu. Zapoczątkowało to epokę kolejnych zsyłek. Oto historia rodzinna autora tekstu. Ze szczęśliwym zakończeniem.

DMITRIY PANTO

Wykonano ją we wsi Majdan w obwodzie żytomierskim, na terenie sowieckiej Ukrainy. Z fotografii ślubnej z roku 1930 spoglądają na nas Emilia i Jan Korzeniewscy.

Niedługo na świat przyjdzie ich pierwszy syn: Ameryk, mój dziadek. Parę lat później, w 1936 r., zostanie wraz z rodziną deportowany do Kazachstanu. Jego młodszy brat Roman, urodzony w 1934 r., umrze wkrótce na kazachskim stepie – jedna z pierwszych ofiar zesłania.

Roman spocznie na prowizorycznym cmentarzu we wsi Krasnodolsk. To jedno z wielu polskich miejsc, rozsianych po terytorium Kazachstanu.

CZYSTKI POGRANICZA | Krasnodolsk. Geneza tej wsi związana jest z polityką deportacyjną władz sowieckich, realizowaną w latach 30. XX w. Powstała właśnie wtedy, w 1936 r., jako rezultat przesiedleń Polaków i Niemców w ramach tzw. akcji deportacji przygranicznych.

Miały na celu „oczyszczenie" ówczesnego pogranicza Związku Sowieckiego z grup narodowych, które posiadały własne niepodległe państwa tuż za granicą i w oczach Moskwy mogły stanowić zagrożenie. W 1935 r. deportowano tak Finów, w 1936 r. Polaków, a rok później Koreańczyków z Dalekiego Wschodu.

Wysadzani z pociągów, wygnańcy często musieli zakładać zupełnie nowe osady – jak Krasnodolsk. Od 1936 r. aż po okres powojenny trafiały tu kolejne fale: Polacy (obywatele sowieccy, a po 1939 r. też obywatele II RP), Niemcy nadwołżańscy, narody Kaukazu.

Spotkanie tak odmiennych grup – różniących się językiem, religią i tożsamością – kształtowało specyficzną mozaikę społeczną. Jedynym wspólnym doświadczeniem była deportacja. Tak wyglądała sowiecka inżynieria społeczna w działaniu.

Wysadzono ich więc na stepie, w przestrzeni surowej. Pięknej w swym monumentalnym krajobrazie, lecz trudnej do życia. Długie zimy, ekstremalnie niskie temperatury i mało urodzajna gleba: to była ich codzienność. Z czasem doświadczenie zmagań z naturą i historią przekształciło się w fundament zbiorowej pamięci, przekazywanej kolejnym pokoleniom, urodzonym bądź przybyłym do tej wsi.

LUDZIE NIEPEWNI | Masowe przesiedlenia z zachodnich obszarów ukraińskiej republiki, wchodzącej w skład Związku Sowieckiego, które zaczęły się w 1936 r., były elementem szerszej polityki represyjnej wobec grup uznawanych za politycznie niepewne.

W styczniu 1936 r. kierownictwo NKWD, tajnej policji, opracowało plan deportacji ludności z pogranicznych rejonów Ukrainy do Kazachskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Plan, zatwierdzony dekretem Biura Politycznego z 9 kwietnia 1936 r., przewidywał przesiedlenie 15 tys. rodzin z obwodów kijowskiego i winnickiego.

Wyrokiem dla nich stała się zaś przyjęta 28 kwietnia 1936 r. rezolucja (akt wykonawczy) nr 776–120 ss. Ten suchy urzędniczy dokument nie tylko pieczętował los tych ludzi, ale z chirurgiczną precyzją określił ramy ich nowej przymusowej egzystencji. Właśnie w tych paragrafach, spisanych na biurkach Rady Komisarzy Ludowych (sowieckiego rządu), zaplanowano zarówno logistykę wywózki, jak i surowe zasady „porządku gospodarczego", który miał obowiązywać na kazachskim stepie.

Szukając przy tym pretekstu do „czystek", władze sformułowały oskarżenia: Polakom i Niemcom przypisano – zbiorowo, bez żadnego śledztwa czy sądu – szpiegostwo, szerzenie antysowieckiej propagandy i aktywną działalność antykomunistyczną.

DROGA NA STEP | Rodzina Korzeniewskich została deportowana jesienią 1936 r., w drugiej (i ostatniej) fali tej konkretnej operacji.

eprasa.pl d1efa56a26



ARCHIWUM PRYWATNE DMITRIYA PANTO

Fotografia ślubna Emilii i Jana Korzeniewskich. Majdan, Ukraińska SRS, 1930 r.

Droga na wschód była przerażająca. Rafalina Korzeniewska, krewna moich dziadków, tak ją zapamiętała: „Załadowali nas na furmankę, przywieźli do Nowogrodu Wołyńskiego na stację i zapakowali do wagonów towarowych".

Jechali dwa tygodnie. Rafalina: „Wyobraźcie sobie, że nawet ubikacji nie było, nic nie było. Jedna rodzina na górnych narach, druga na dolnych. Co dwie-trzy godziny pociąg zatrzymywał się i ludzie biegli, ktoś za trawą dla krowy, a ktoś za swoją potrzebą".

12 czerwca dojechali do stacji Tajynsza. Rafalina: „Wyładowali, wsadzili na samochody i wywieźli tam, gdzie stały cztery długie namioty. (...) I wyładowali nas, i my w tych namiotach, rodzina obok rodziny, całe lato. Wokół jeden, nietknięty przez wieki step!".

Na gołym stepie, w namiotach wojskowych spiesznie stawianych przez NKWD, zaczęło się ich nowe życie. Najtrudniejsza była pierwsza zima, ona też przyniosła najwięcej ofiar. Step, mróz, brak nadziei. Rafalina: „Łzy, płacz, pracowaliśmy, saman ten robiliśmy i chorowaliśmy. Przeżywaliśmy bardzo ciężko. Bardzo wielu ludzi zmarło. Jednej rodzinie, jak teraz pamiętam, o nazwisku Wróblewscy, trójka dzieci w ciągu doby zmarła".

OSWAJANIE MIEJSCA | Saman to słowo-archetyp. Pojawia się jak refren niemal w każdym wspomnieniu, w opowieściach o dzieciństwie, o domu i ziemi. To budulec, powstały z gliny i słomy. Prosty, ale fundamentalny materiał, z którego wzniesiono domy Krasnodolska i innych polskich wsi.

Saman nie jest jedynie tworzywem architektonicznym. Metaforycznie staje się symbolem formowania i podporządkowywania sobie stepu, przestrzeni nieujarzmionej. Glina i słoma, mieszane rękami i nogami ludzi, poddane rytmowi pracy i wysiłku, zamieniają się w masę, której nadaje się kształt. Z tej bezkształtności rodzą się cegły, z cegieł domy.

Bo przesiedleńcy trafiali do miejsc, które na mapach administracyjnych jeszcze wiosną 1936 r. nie istniały. Były tam jako tzw. toczki: punkty, które dopiero miały stać się wsiami.

Najwięcej transportów skierowano do obwodów północnokazachstańskiego (wytyczono tu 31 osiedli) oraz karagandyjskiego (tu powstało sześć wsi).

Historyk oceni dziś, że 80 proc. lokalizacji wyznaczonych do zasiedlenia nie było w żaden sposób przygotowanych na przyjęcie ludzi. Deportowani, zostawieni niemal sami sobie, musieli rzucić wyzwanie naturze: od podstaw budować i domy, i infrastrukturę. Podjąć morderczy wysiłek „oswojenia" stepu.

System nie dał im czasu. Państwo upomniało się o nowe osady i już pod koniec 1936 r. blisko 95 proc. z nich wciągnięto w tryby kolektywizacji, tworząc kołchozy, spółdzielnie rolne. Kołchoz organizował każdy aspekt życia: od pracy przez szkoły po opiekę medyczną.

POD KONTROLĄ | Nad tą fasadą normalności unosił się cień aparatu represji. Kołchozy były pod nadzorem spieckomendantur, urzędów NKWD. Ich komendant był panem życia i śmierci.

Oddajmy głos Rafalinie. Gdy ukończyła X klasę, władze zdecydowały, że będzie ↦

eprasa.pl d1efa56a26



ARCHIWUM PRYWATNE DMITRIYA PANTO x2

Uczniowie klas I, II i III szkoły siedmioletniej w Krasnodolsku, w roku szkolnym 1956/1957.



Kondukt pogrzebowy jednego z tutejszych mieszkańców. Krasnodolsk, Kazachska SRS, lata 50. XX wieku

↦ uczyć w szkole – brakowało nauczycieli. Ją skierowano do szkoły w Krasnodolsku, a jej przyjaciółkę do sąsiedniej Rostówki.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego odbyła się narada nauczycieli. Rafalina: „Spotkałyśmy się na tej naradzie i ta przyjaciółka z Rostówki mówi: »Mam bardzo dobry zeszyt, z konspektami«. Bo my przecież młode byłyśmy. Uczyć dzieci, to trzeba było samemu coś umieć. »Mam dobre opracowania w tym zeszycie, weź, przepiszesz sobie, żebyś miała«".

Dziewczęta pracowały w sąsiednich wsiach, a między wsiami nie było wolno się przemieszczać bez zgody NKWD. Rafalina przemknęła więc polami. „Przyszłam, wzięłam zeszyt. I zapomniałam, że wracać trzeba było tą samą drogą. Rozmawiałyśmy, rozmawiałyśmy, ona mnie odprowadziła na drogę żwirową. No i ja idę do domu, czarna spódnica, biała bluzeczka. Słyszę, ktoś jedzie konno. Odwracam się. O Boże, to komendant".

Wywiązał się dialog. „Dokąd idziesz?" – spytał. „Do domu". „Gdzie byłaś?". „Poszłam po zeszyt". „Wsiadaj!".

Pojechali razem konno do Kellerówki, siedziby powiatu. Do aresztu. Rafalina: „Dobrze chociaż, że miał trochę sumienia. Pojechał i powiedział mojej mamie, że mnie tam zostawił. Nie wiem, w jaki sposób, czy dyrektor... W każdym razie na drugi dzień do celi przyszedł kierownik rejonowego wydziału oświaty. Wszystko wyjaśnił i mnie wypuścili. I ja pieszo, 40 km, w ulewnym deszczu, wracałam do domu".

GDY UPADŁO IMPERIUM | Sowiecka inżynieria społeczna miała na celu nie tylko karanie obywateli. Równie istotnym celem było wykorzystanie deportacji do stworzenia nowego typu obywatela: człowieka sowieckiego, bez zakorzenienia we własnej tradycji, historii i tożsamości.

Jednym zaś z przykładów realizacji tej polityki była kwestia języka. W niewielkich wsiach, miejscach osiedlenia, skupiano przedstawicieli kilku narodów. Językiem komunikacji między nimi – i językiem kontaktu z władzą – był wyłącznie rosyjski. Stawał się on narzędziem integracji i zarazem podporządkowania, wzmacniał unifikację i kontrolę.

Eksperyment tworzenia „człowieka sowieckiego" poniósł ostatecznie klęskę wraz z upadkiem imperium w 1991 r. Dla społeczności, które tworzyli potomkowie deportowanych, był to jednak ciężki czas. Transformacjom towarzyszyły niestabilność ekonomiczna, bieda i bezrobocie, niepewność jutra. Dotkliwie odczuwali to także mieszkańcy Krasnodolska na początku lat 90. XX w.

Jako pierwsi ruszyli Niemcy. Już pod koniec lat 80. zaczęli wyjeżdżać do historycznej ojczyzny, w ramach procesu repatriacji. Polacy uzyskali możliwość wyjazdu do Polski w połowie lat 90., ale dopiero nowelizacja ustawy repatriacyjnej z 2017 r. stworzyła spójny system wsparcia. Dzięki tym regulacjom co roku do Polski przybywa kilkaset osób – potomków deportowanych.

80 LAT PÓŹNIEJ | Wróćmy do rodziny Korzeniewskich. Mój przyszły dziadek Ameryk, zesłany jako czterolatek, do lutego 1956 r. pozostawał – jak wszyscy Polacy wywiezieni w 1936 r. – pod nadzorem delegatury NKWD. Wkrótce potem, po tamtej „odwilży", poślubił Ewelinę z Grabowskich. Doczekali się pięciorga dzieci, a wśród nich mojej mamy, Galiny.

Po 2017 r. cała nasza rodzina osiedliła się w Polsce. Po ponad 80 latach jako potomkowie deportowanych otrzymaliśmy możliwość powrotu do historycznej ojczyzny.

Dla nas powrót ten był nie tylko aktem administracyjnym. Było to domknięcie wielopokoleniowego doświadczenia wygnania. Oraz początek odbudowy zerwanej ciągłości, pamięci i tożsamości.

© DR DMITRIY PANTO

Autor (ur. 1986 w Kazachstanie) jest historykiem, pracuje w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Specjalizuje się w temacie historii Kościoła katolickiego w Rosji i Związku Sowieckim, deportacji stalinowskich oraz dziejów Azji Centralnej.

Przywracanie pamięci

Historia deportacji Polaków, obywateli sowieckich, jest dziś słabo znana, pozostaje na marginesie zbiorowej pamięci. Muzeum II Wojny Światowej i Muzeum Pamięci Sybiru planują obchody rocznicy pierwszej deportacji Polaków do Kazachstanu. Będą się odbywać w różnych częściach Polski oraz w Kazachstanie. Mają nie tylko upamiętnić ofiary, lecz też włączyć ich doświadczenia w sferę publiczną – w szerszą narrację historyczną o przymusowych migracjach w XX wieku.

eprasa.pl d1efa56a26

ELIZA

Kącka: *Przewrót przez kolano*



Pustawy tramwaj 15, jazda ku Śródmieściu. Przede mną para z grubsza dwudziestolatków. On: „Dobrze było!”. Ona: „Ogólnie to nie jem mięsa, wiesz...”. „A, to tym bardziej dzięki! Dla babci to ważne”. „Bo?”. „To część religii”. „Kiełbasa?!”. „Wiesz, ja tak codziennie to mięsa nie muszę, ale w rodzinie się nie da”. „To było ze święconki?”. „Kiełbasa? Tylko kawałek. Ale ta na ciepło to już nie”. „Fakt, całej lodówki nie poświęcisz”. On z ulgą: „Ale chrzan był święcony”. „Uff”. „Ja mam alergię, ale ten święcony jem”. „Super. Może ci przejdzie”. „To co teraz robimy?”. „Badania”. „??”. „Mam bezpłatny pakiet, muszę cię lepiej poznać”. „Bosz, dziewczyno, ja cię poznałem tydzień temu”. „No, i już jadłam z twoją babcią mięso”. „Święta, trzeba”. „Jutro masz jądra darmowo”. „Jądra?”. „USG, mama mówi, że faceci nie robią. A potem idziemy na kawę”. „Nie chcę jąder!”. „A ja chciałam kiełbasę?”.

Jazda tramwajem 14 ku Ochocie. Siedzę tuż za kierowcą, w najbardziej klaustrofobicznej niszy. Zalega się jak w kokonie, a potem przebija się z trudem ku wyjściu. A tu drama: obok, plecami do mnie, na trzech siedzeniach ojciec, matka i dziecko, średnio dwudziestoletnie. Chłopak chrząka, pokrzykuje, gada do siebie. Rodzice jak dwie sowy: cisi, nastroszeni. Nowowiejska, pohukiwania eskalują. Gość z sąsiedniego: „I po co »toto« wyciągać z domu?”. I ponownie: „Są specjalne taksówki”. Zagaduję: „Specjalne? Tu taksówka społeczna: tramwaj”. Gość: „Ludziom leźć w oczy!”. „Aha”. „Widać, że nic się nie przeżyło jako matka. To by się tak nie wypowiadało”. „Ah, pojęło. Pan współczuje rodzicom dziecka? Czy sobie?”. Z poruszeń ciał wnioskuję, że wszystko słyszą. Chłopak inicjuje pieśń osła: „I-a, i-a, i-a!”. Matka chyba płacze. Gość z sąsiedniego: „»To« się zamyka w domu. Dla dobra rodziny”. Rodzina rusza ku wyjściu, wlokąc chłopca, co mu się tramwaj spodobał za bardzo. Wychodzę za nimi. Ojciec nadrabia oddech, matka strofuje: „Ciszej już, co żeś się tak rozbębnił”. Do mnie: „Ludzie nie rozumieją”. „Pewnie”. „Już nie mam na taksówki, specjalne czy nie. I nie chcemy się z mężem chować. Chować losu”. „Jasne”. „Wie pani, ludzie myślą, że tu banda głupków jedzie. A myśmy zrezygnowali z możliwości, wykształceni”. „Już pani nie obarczaj” – ojciec. „Nie, spokojnie”. Matka: „W domu spokojniej się zachowuje, miasto jest bodźcowe bardzo”. Chłopak: „Kermit!”. Ojciec na zrezygnowaniu: „Zaczyna się”. Matka: „Mógłbyś się wczuć, to byś dostał rolę”. „E-e”. Do mnie: „Był Zwierzakiem, teraz jest Kermitem”. Matka: „Jestem Piggy, przytul mnie”. Ja: „Faza Mapetów?”. Matka: „Tak”. Chłopak: „Haj-hoł!”. „O – mówię – klasyk!”. Matka: „Wieczorem siada na parapecie i mówi do nich wszystkich. Ustawia scenę, zapowiada szoł”. Ojciec: „Wie pani, syn jako Kermit mówi, mówi”. Rozczulił się. „Wierzę”. Matka: „Tylko ten wieczór... To tylko Mapety, a ja na to patrzę jak na »Hamleta«. I myślę, że nikt by nam, synku, nie uwierzył”.

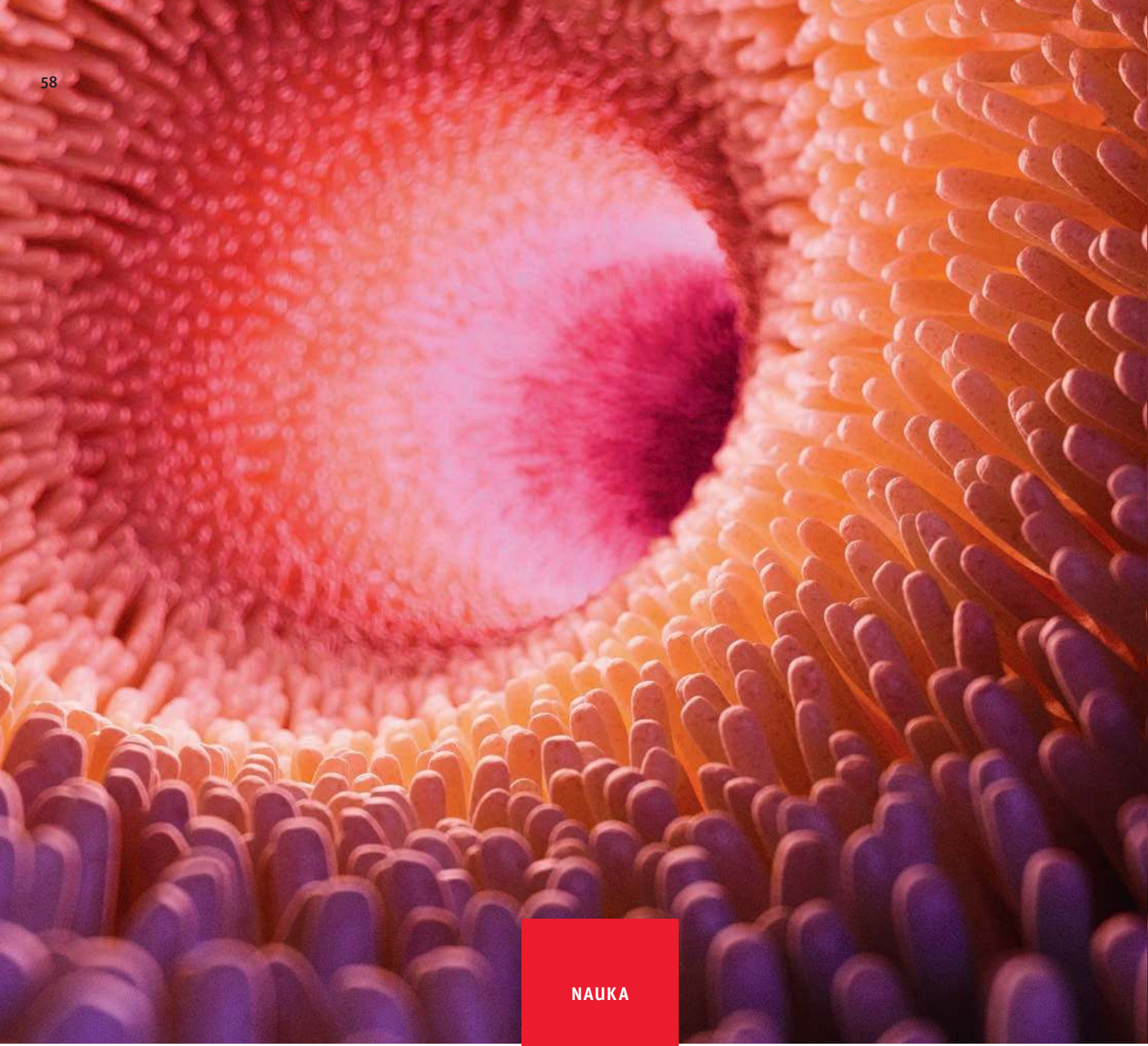
Autobus 141, pełzniemy w korku. Trzy kiele siedemdziesiątki. Pierwsza: „I jak się pani widzi sytuacja Węgier?”. Druga na oburzeniu: „Da pani spokój, żeby zwierzęta jeść?”. „Ale o co chodzi?!”. „No podobno ten nowy grilluje koty”. Trzecia: „Piecze psy”. Druga: „Wszystko jedno. Barbarzyńca”. Pierwsza: „Żartujecie panie, to już jest jakaś propaganda”. Druga: „Prezes potwierdza”. Pierwsza: „Jadł z nim?”. „Gdzież!”. Trzecia: „To jakieś nowe barbarzyństwo. Może Orbán nie był idealny, ale jak można się tak zmanipulować”. Pierwsza: „Ja tam nie wierzę w takie niusy”. Trzecia: „Ale pani, kto by coś takiego wymyślał? Nie da rady. To musi być prawda”. Druga: „Ciekawe, tak swoją drogą, co je Tusk...”.

Tramwaj 15, tuż obok ojciec z synem po dwudziestce. „Pojedziesz z nami do babci”. „Zostanę w Warszawie”. „Pojedziesz. Babci przykro będzie”. „Słuchaj, tata, ja przed babcią muszę udawać, że jestem kościelny”. „Nie musisz”. „Muszę, bo jej przykro”. „Oj, to chodź na mszę, do komunii nie musisz”. „Sam wiesz, że gadanie będzie”. „Będzie. Ale zjemy, posiedzimy”. „Co z tego. Nawet matce nie mogę powiedzieć, że się wnuków nie doczeka. Babcia by zmarła od tego”. „No tak, one nie są gotowe”. „A ja muszę być, nie?”. „Ty sobie dajesz radę”. „Tak, teraz tak. Ale widzisz, ja bym wolał, żeby matka porozmawiała, a nie tylko dawała na mszę za mnie”. „Ona się boi”. „Mnie?!”. „Boi się wiedzy”. „Na jedno wychodzi”.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, dzwoniła pani?”. „A nie”. „No cóż, to znaczy, że więcej śnię, niż żyję”. „A w pani śnie dzwoniłam?”. „Naturalnie. Już wspominałam, że jako bohaterka snów jest pani nadaktywna”. „Haha”. „Ostatnio sędziowałam w zawodach na wielkiej sali gimnastycznej. Chodziłam o lasce z gwizdkiem i miałam posłuch”. „Autorytet”. „A jak! Pani była zawodniczką. Z herbem Lidzbarka na koszulce”. „Z barankiem?!”. „Ech, nie, z żurawiem”. „Senny rewers zatem”. „Uprawiała pani dziwną dyscyplinę: przewrót przez kolano”. „Jej, jak to się robi?”. „Hehe, niech pani mi powie. Jako czempionka”. „Medal miałam?”. „Nie wiem, ale była pani pierwsza. Obudziłam się z pewnością, że to sport dla pani”. „Hm, na jawie też uprawiam”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl d1efa56a26



NAUKA

PRZEZ JELITA DO SERCA

TAKANORI TAKEBE, BIOMEDYK:

Podanie natlenionego płynu do jelit nie ma na celu zastąpienia wszystkich funkcji płuc, ale ich wsparcie przez kilka minut, w krytycznym momencie. Taka interwencja może ratować życie.

eprasa.pl d1efa56a26



SEBASTIAN KAULITZKI / ADOBE STOCK

Ilustracja jelita cienkiego – kosmki jelitowe zwiększają powierzchnię wchłaniania składników odżywczych do krwi i limfy. U niektórych zwierząt dobrze ukrwione jelita mogą również uczestniczyć w wymianie gazowej, co zainspirowało eksperymenty z podawaniem tą drogą tlenu ludziom.

MARIA HAWRANEK: Alternatywnymi metodami oddychania zainteresował się Pan ze względu na chorobę ojca?

TAKANORI TAKEBE: Zaczęło się od niewydolności nerek. W trakcie dializ ojciec zaraził się bakteriami, które spowodowały przewlekłe problemy w prawym płucu. Przeszedł inwazyjną operację – w tylnej części klatki piersiowej zrobiono mu otwór, który każdego dnia trzeba było opatrywać, by nie dopuścić do rozprzestrzenienia się infekcji i wystąpienia niewydolności oddechowej.

Później, w czasie pandemii covidu, złapał zapalenie płuc, przez jakiś czas leczono go za pomocą mechanicznego respiratora. I wtedy zdałem sobie sprawę, że ma bardzo ograniczone możliwości pomocy – nie kwalifikował się do ECMO, czyli pozaustrojowego natleniania krwi, a wentylacja mechaniczna jest szkodliwa, bo tworzy dodatkowe ciśnienie w płucach.

Specjalizuję się w medycynie regeneracyjnej – zmotywowało mnie to do poszukania odpowiedzi na pytanie, co mógłbym dla niego zrobić. Jeden z moich studentów pracował wówczas nad eksperymentami dotyczącymi regeneracji płuc przy pomocy komórek macierzystych, co w zastosowaniu praktycznym byłoby bardzo trudne. Powiedziałem mu, żeby rozważył inne podejście – poszukał innych organizmów, które mają alternatywne metody oddychania, i sprawdził, czy i jakie to może mieć przełożenie na ludzi.

Zaczęło się od rybki słodkowodnej – piskorza, który potrafi oddychać atmosferycznym tlenem przez jelita, jeśli znajdzie się w zbyt błotnistym środowisku. Później sprawdzaliście pod tym kątem myszy. Jak?

Początkowo bardzo prosto – umieściliśmy mysz pod mechanicznym respiratorem, wprowadziliśmy do niego mieszankę o niskiej zawartości tlenu, zaś przez odbyt podawaliśmy jej gaz o niskiej lub wysokiej zawartości i patrzyliśmy, o ile przedłuży jej to życie. Zauważyliśmy pewną poprawę przy mieszance z dużą zawartością tlenu, ale nie drastyczną. Dlatego zdecydowaliśmy się na przygotowanie myszy do tego eksperymentu. Usuwaliśmy błonę śluzową przewodu pokarmowego – jego najbardziej powierzchniową warstwę. Zawiera ona dużo śluzu i nabłonka, dlatego tlen z trudem przez nią przenika. Okazało się wtedy, że pozbawiony tej bariery układ pokarmowy bardzo skutecznie może dostarczyć tlen do krwi.

Jest to jednak metoda niezwykle inwazyjna i szkodliwa, musieliśmy więc opracować inne podejście, które mogłoby być sposobem ratowania życia. Zna pani „Evangelion”?

Nie.

To w Japonii bardzo popularne *anime science fiction.* Ludzie kontrolują w nim wielkiego humanoidalnego robota, który pozostając zanurzony w wodzie, oddycha cieczą, czymś w rodzaju lawy. Jeden ze studentów dowiedział się, że ten pomysł powstał w oparciu o eksperymenty przeprowadzone przez doktora Ryana Clarke’a w latach 90. – tak się przypadkowo składa, że robił je w Szpitalu Dziecięcym w Cincinnati, gdzie ja teraz pracuję.

Clarke był ojcem syntetycznej krwi – płynu, który może zastępować hemoglobinę, do której w krwi wiąże się tlen. Zaczęliśmy dojelitowo podawać ten płyn w eksperymentach z myszami – już bez żadnego wcześniejszego przygotowania ich układu pokarmowego. Wysokie ciśnienie cząsteczkowe tlenu zawartego w tym płynie sprawiło, że efektywnie przenikał (dyfundował) do układu krwionośnego.

Również u świń?

Tak, one też w efekcie tej interwencji miały wyższy poziom natlenienia krwi.

W ubiegłym roku Pana zespół opublikował raport z pierwszych testów metody EVA (Enteral Ventilation through Anus), wentylacji dojelitowej przez odbyt, z udziałem 27 japońskich ochotników. Co się w tych badaniach okazało?

Celem badania było sprawdzenie, czy ludzie będą w stanie tolerować ten natleniony płyn w jelitach – nigdy wcześniej nie podawano go człowiekowi. Chcieliśmy się upewnić, że nie wyrządzi żadnej krzywdy. Podawaliśmy doodbytniczo dawki tego płynu o objętości od 0,2 do 1,5 litra ludziom bez żadnych schorzeń. Okazało się, że przy 1,5 litra, chociaż nie ma żadnych problemów medycznych, pojawia się poczucie wzdęcia i dyskomfortu. Przy 0,5 litra nie występuje już żaden dyskomfort ani ból. Przyjęliśmy, że jeden litr będzie tolerowany przez większość dorosłych mężczyzn i na tej podstawie kontynuujemy inne projekty z udziałem pacjentów w stanie kontrolowanego niedotlenienia. Chcemy sprawdzić, jak dojelitowe wstrzyknięcie od 0,5 do 1 litra natlenionego płynu wpłynie na ich wydajność tlenową.

Jak litr takiego płynu wprowadzanego do jelit ma się do naszego ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ **zapotrzebowania na tlen i dostarczania go do organizmu przez płuca?**

Podanie natlenionego płynu nie ma na celu zastąpienia wszystkich funkcji płuc, ale ich wsparcie przez kilka minut – od pięciu do dziesięciu – w krytycznym momencie, gdy są bardzo uszkodzone. Jedna dawka powoduje zwiększenie natlenienia od 30 minut do 60 minut. To jest nasz horyzont przy jednorazowej interwencji.

Oczywiście – jest ograniczony, ale iniekcje po usunięciu pierwszej porcji płynu można powtarzać do momentu, aż płuca odzyskają częściową funkcjonalność. Nie ma ludzi, u których płuca nie działają tak zupełnie, jednak w przypadku osób w krytycznym stanie każde kilka procent większego natlenienia krwi się liczy i może ratować życie.

Podanie płynu przypomina lewatywę?

Tak, to niemal identyczny proces, więc jego usuwanie może dziać się naturalnie. W eksperymentach na świniach zakładaliśmy cewnik i po prostu zamykaliśmy zawór po podaniu, a potem go otwieraliśmy. Ten prosty mechanizm można wykorzystać również na oddziałach intensywnej terapii, u pacjentów znieczulanych i nieświadomych.

W jakich przypadkach zabieg może być pomocny?

W wielu różnych, ale naszym pierwszym celem są noworodki. Często mają kłopoty z oddychaniem ze względu na niedojrzałość płuc, w takich sytuacjach alternatywny system służący jako pomost do momentu, gdy ich płuca będą w stanie dostarczać odpowiednią ilość tlenu, byłby zbawienny. W takim zastosowaniu uzyskiwana przez nas skala poprawy mogłaby nawet uratować życie. Właśnie planujemy badania klinicznie z noworodkami.

A co z wcześniakami? Zdaje się, że płuca to ostatni organ, który osiąga dojrzałość.

Zaczynamy od noworodków z problemami oddechowymi, np. z wrodzoną przepukliną przeponową, ale mam nadzieję, że z czasem będziemy mogli w ten sposób pomagać również wcześniakom.

Macie jeszcze jakąś grupę na celowniku?

Sądzę, że jak już udowodnimy skuteczność metody na ludziach, będziemy mogli ją rozszerzać na wiele sytuacji – np. wspomagać pacjentów na respiratorach albo pacjentów w drodze do punktu medycznego, gdzie mogliby uzyskać dostęp do mechanicznej wentylacji – bo nie w każdym kraju na świecie jest to takie proste.

Wentylacja dojelitowa jest rozwiązaniem również przy chorobach jelit i wątroby. Np. przy chorobach zapalnych jelit pacjenci doświadczają niedotlenienia, a tlenoterapia w komorach hiperbarycznych jest skomplikowana i trudno dostępna w wielu częściach świata. Tymczasem wentylacja dojelitowa to stosunkowo prosta procedura, która może stać się alternatywą.

Co dzieje się z dwutlenkiem węgla w czasie wentylacji dojelitowej?

To kolejna zaleta tego systemu – w wentylacji mechanicznej często pojawia się kłopot z usunięciem CO_2. Tutaj płyn naturalnie go absorbuje i usuwa z jelit.

Jest Pan pionierem wentylacji dojelitowej?

Podejmowano wcześniej empiryczne próby dostarczenia tlenu do jelit, ale aż do teraz nie zaakceptowano tego nigdzie jako procedury medycznej. Nie pokładano też w niej zbyt wiele nadziei – profesorzy pulmonologii i intensywnej terapii raczej nie wierzyli w potencjał tego rozwiązania, nie podejmuje się go też w żadnych podręcznikach medycznych, dlatego z początku nie było nam łatwo uzyskać finansowania. Gdyby nie pandemia covid-19, nie moglibyśmy kontynuować tych badań – ona sprawiła, że badania dotyczące oddychania zyskały większe zainteresowanie, a przed nami otworzyło się okno możliwości. W Japonii zwykle trudno uzyskać finansowanie badań ze zbiórki publicznej, nam udało się zebrać 100 tys. dolarów. To doprowadziło nas do kolejnego kroku – zdobycia Ig Nobla, po którym świadomość tego, czym się zajmujemy, i zainteresowanie naszą pracą jeszcze wzrosły – w efekcie umożliwiając nam dalsze finansowanie eksperymentów.

Nagrodę Ig Nobla przyznaje magazyn „Annals of Improbable Research" – na ogół osobliwym lub humorystycznym badaniom naukowym. Jak Pan na nią zareagował?

Jako naukowiec z 15-letnim stażem nie ceniłem jej specjalnie. Zastanawiałem się nawet, czy ją przyjąć. Ku mojemu zaskoczeniu, moi współpracownicy z wydziału i przyjaciele mieli do niej jednak pozytywne podejście. Zdałem sobie sprawę, że w Japonii jest dobrze odbierana. Moja ojczyzna naprawdę chciałaby dokonać jakichś niekonwencjonalnych odkryć, szczególnie w dziedzinie medycyny.

Po nagrodzie poproszono mnie o wywiady i wypowiedzi w rozmaitych mediach na całym świecie. „New York Times" wybrał nasz projekt jako jedną ze stu wartościowych innowacji. Szerzenie świadomości to jedna z najważniejszych rzeczy, bo wciąż wiele osób pozostaje sceptycznych wobec tej procedury. A dzięki takim wyróżnieniom pewna firma poważnie zastanawia się nad komercjalizacją naszego produktu.

Wykształcił się Pan najpierw na transplantologa wątroby. Jak to się stało, że stał się Pan badaczem?

Wyobrażałem sobie, że będę ratować życie dzieci – cóż bardziej wartościowego? – tymczasem w czasie cotygodniowych debat z zespołem nad tym, kto powinien być kolejny na liście do przeszczepu, decydowaliśmy też i o tym, kto zostanie z niej usunięty, bo jest już nie do odratowania i nie zregeneruje się po zabiegu. To było dla mnie przytłaczające. Mogliśmy pomóc zaledwie ułamkowi potrzebujących.

Pomyślałem wtedy, że jeśli uda mi się opracować nowe podejście, które sprawi, że będziemy mogli pomóc wszystkim pacjentom, niezależnie od ich priorytetu na liście, będzie to o wiele bardziej pożyteczne, a dla mnie – bardziej satysfakcjonujące.

To, co Pan robi, to połączenie medycyny z inżynierią. Musiał Pan zdobyć jakieś dodatkowe umiejętności?

Na medycynie wszyscy się tego uczymy, szybko więc wróciłem do wątków podjętych na studiach. Najpierw próbowałem badać komórki macierzyste, tak by wyhodować z nich komórki wątroby. Jeden z naszych programów adresowanych do dzieci zostanie w kolejnym roku przetestowany klinicznie.

eprasa.pl d1efa56a26

Dopowiedzmy: jako pierwsi skutecznie wyhodowaliście tkanki wątroby z komórek macierzystych, co odbiło się w świecie szerokim echem. Jak to się udało?

Oczywiście już wcześniej eksperymentowano z tkankami różnych organów, jednak skupiano się na konkretnym typie komórek, w przypadku wątroby – na hepatocytach. Udawało się je wyhodować, ale nie sprawdzały się w próbach klinicznych przy transplantologii. My postanowiliśmy porzucić to redukcjonistyczne podejście i przeprowadzać eksperymenty z różnymi rodzajami tkanek obecnymi w wątrobie – komórkami naczyń krwionośnych, komórkami mezenchymalnymi czy komórkami podścieliska.

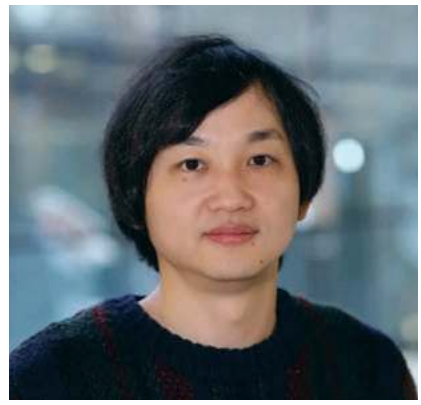
Dekadę temu to było nowatorskie podejście, dziś stało się bardziej powszechne. W 2013 r. opublikowaliśmy w „Nature" artykuł dowodzący, że możliwe jest wyhodowanie naczyń krwionośnych wątroby. Nie potrafiliśmy wtedy jednak tworzyć specyficznego rodzaju naczynia włosowatego występującego w wątrobie – tzw. zatoki wątrobowej. To udało nam się rok temu.

Jakie schorzenia będziecie dzięki temu w stanie leczyć?

Naszym celem jest całkowite zastąpienie funkcji wątroby przez krótki okres, na podobnej zasadzie jak przy wentylacji dojelitowej. Jesteśmy w trakcie opracowywania urządzenia pozacielesnego, w którym umieszczamy w dużych ilościach organoidy wątroby, czyli wyhodowane z komórek macierzystych jej miniaturowe modele. Urządzenie będzie działać podobnie jak aparat do dializ – krew pacjenta będzie mogła przez nie przepłynąć, organoidy wątroby ją oczyszczą, a potem wróci do ciała pacjenta. Rok temu wykazaliśmy, że u bardzo chorych pacjentów z ostrą niewydolnością wątroby wyniki poprawiają się po 2-3 godzinach zewnętrznego krążenia krwi. W pierwszej kolejności chcemy leczyć ostrą niewydolność wątroby u dzieci.

Która do tej pory – i u dzieci, i u dorosłych – jest nieuleczalna. Można jedynie wykonać przeszczep.

W tej chwili nie ma żadnej innej możliwości ratowania dzieci ani dorosłych, tylko opieka paliatywna. Stan pacjentów z ostrą niewydolnością wątroby może się poprawić, dlatego transplantacja zawsze jest długo rozważana. W tej sytuacji zewnętrzna cyrkulacja krwi przy pomocy organoidów wątroby jawi się jako pomost dla pacjentów – może ich wspierać do momentu, aż sami odzyskają zdrowie lub do chwili, gdy doczekają się transplantacji. W przyszłym roku zaczynamy testy klinicznie.



CINCINNATI CHILDREN'S HOSPITAL

PROF. TAKANORI TAKEBE jest specjalistą medycyny regeneracyjnej. Związany z Cincinnati Children's Hospital Medical Center oraz Premium Research Institute for Human Metaverse Medicine na Uniwersytecie w Osace. Prowadzi zespół laboratoriów Takebe Lab (www.takebelab.com) działających w USA i Japonii, w których poszukuje nowych terapii pomagających przy niewydolności organów – m.in. wątroby i płuc – u dzieci i dorosłych.

Czyli możliwe, że będziemy mieli przełom w leczeniu tej ciężkiej choroby. Z czasem pewnie również u dorosłych?

Tak, choć na razie nasza zdolność produkcji organoidów jest ograniczona. Dzieci potrzebują ich oczywiście mniej – aby leczyć dorosłych, będziemy musieli znacznie zwiększyć naszą skalę produkcji.

Dla każdego pacjenta komórki organów muszą zostać wyhodowane oddzielnie, z odpowiednich komórek macierzystych?

Z komercyjnego punktu widzenia terapia na bazie komórek macierzystych przygotowywana indywidualnie dla każdego pacjenta jest szalenie droga, a tym samym nie może być powszechnie dostępna. Dlatego w naszym urządzeniu do zewnętrznego filtrowania krwi za pomocą organoidów wątroby użyliśmy komórek macierzystych zmodyfikowanych genetycznie w laboratorium naszego współpracownika, doktora Shinya Yamanaki. Ryzyko ich odrzucenia przez system odpornościowy jest minimalne, dlatego nasze urządzenie prawdopodobnie będzie dostępne dla wszystkich pacjentów. Choć jak w każdej procedurze medycznej, mogą zdarzyć się nietolerancje.

Myśli Pan, że dotrzemy do momentu, w którym będziemy w stanie zrekonstruować dowolny organ i go zastąpić? Czy to raczej *science fiction*?

Wciąż jeszcze raczej *science fiction*, ale jesteśmy już w stanie pobierać komórki macierzyste na wczesnym etapie ciąży, w jej ósmym tygodniu, i tworzyć z nich spersonalizowane komórki naszych organów. A z eksperymentów na myszach wiemy, że tkanki wątroby lub innych narządów utworzone z takich komórek macierzystych można przeszczepić dorosłym myszom o kompatybilnym układzie odpornościowym. Mogą one utworzyć na tej podstawie kompletny organ. Wyobrażam sobie, że taki cel jest realistyczny: pobieramy komórki w życiu płodowym, hodujemy z nich komórki odpowiednich organów, zaszczepiamy je potrzebującym pacjentom w odpowiednim momencie, a ich organizmy hodują je dalej, jak inkubatory. W ten sposób prowadzimy do stopniowej odbudowy organów w ich ciele.

Kieruje Pan sześcioma laboratoriami w Japonii i USA. W każdym przyświeca Panu podobny cel?

Tak, próbuję rozwiązywać problemy, na które aktualna praktyka medyczna nie ma rozwiązania, szczególnie w obszarze transplantologii – czyli próbuję pomóc pacjentom, którzy czekają na przeszczep organu. Nie ma dla mnie znaczenia, czy zrobimy to za pomocą zewnętrznego urządzenia z organoidami, czy wentylacji dojelitowej, czy nowych możliwości transplantologicznych przy pomocy tkanek wyhodowanych z komórek macierzystych. Chcemy w każdy możliwy sposób przyczynić się do zmiany i zapewnić metody dostosowane do potrzeb konkretnych pacjentów.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

eprasa.pl d1efa56a26



Gala wręczenia Nagrody. Od lewej: Szymon Bryzek, Dominika Filipowicz, Jakub Gutkowski, Justyna Kulikowska, Marcin Mokry, Natalka Suszczyńska, Jacek Świdziński, prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski.

DAWID GROMADZKI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 17/2026



Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego ogromne znaczenie – wskazuje na niezwykłe talenty literackie, jednocześnie otwierając przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i już od przeszło trzech dekad otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów są takie postacie jak Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz, Michał Książek czy Andrzej Stasiuk.

W tym roku laureatami Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego w kategorii „Najlepsza książka roku" zostało dwóch autorów: Justyna Kulikowska i Marcin Mokry. Natomiast statuetkę w kategorii „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku" – przyznawaną od 2019 r. – prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski wręczył Dominice Filipowicz za tomik „Gap".

eprasa.pl d1efa56a26

JĘZYK PRZECIW WSZYSTKIM

MICHAŁ SOWIŃSKI

Mokry i Kulikowska pokazują, że język nie jest narzędziem, lecz polem walki – to w nim dziś rozstrzyga się możliwość opowiedzenia świata.

Zwycięstwo *ex aequo* książek „Solarysze" Marcina Mokrego i „Wnyki dla światła" Justyny Kulikowskiej nie jest przypadkiem – to wyraźny sygnał tego, gdzie dziś wydarza się najciekawsza polska poezja.

Obie książki operują na podobnym napięciu: między językiem a doświadczeniem, które wymyka się nazwaniu. U Mokrego przybiera ono formę niemal biologicznego procesu – język nie opisuje świata, lecz się w nim stwarza, rozrasta i rozpada. „Solarysze" są poematem rozpisanym na głosy, dźwięki i przepływy: od ciała, przez krajobraz, po technologie i sieci informacji. Tekst działa jak system – pulsuje, mutuje, gromadzi dane, a jednocześnie traci kontrolę nad własnym sensem. W tej materii pojawia się jednak konkret: pamięć dzieciństwa, Śląsk, praca, energia, relacja ojciec–dziecko. To one stabilizują ten językowy żywioł, choć tylko na chwilę.

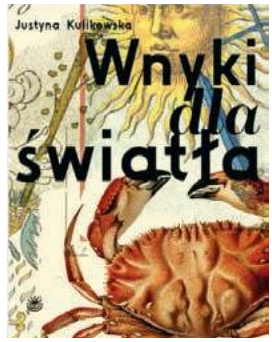
Kulikowska idzie w przeciwnym kierunku: jej książka zaczyna się od potrzeby nazwania i odzyskania kontroli nad doświadczeniem. „Wnyki dla światła" są projektem przechwytywania – języka, historii, przemocy, własnej biografii. Autorka pracuje na materiale konkretnym: Podlasie, klasowość, przemoc, śmierć bliskich. Jej strategią jest powtarzanie, litania, obsesyjne doprecyzowywanie – jakby każde słowo miało coś złapać i unieruchomić. Ale im bardziej język się zagęszcza, tym wyraźniej widać jego bezradność. „Wnyki" często pozostają puste.

Różnica między tymi książkami jest zasadnicza. Mokry pokazuje świat jako już rozproszony, niemożliwy do zebrania w jedną narrację. Kulikowska próbuje go scalać – nawet jeśli wie, że jest to skazane na porażkę. On pisze z poziomu systemu, ona z poziomu doświadczenia.

Łączy ich jedno: przekonanie, że język nie jest narzędziem, tylko polem walki – i że to w nim rozstrzyga się dziś możliwość opowiedzenia świata. ©℗



Marcin Mokry, Solarysze, Fundacja imienia Tymoteusza Karpowicza



Justyna Kulikowska, Wnyki dla światła, WBPiCAK

PIEKŁO NA ZIEMI

JACEK NAPORA

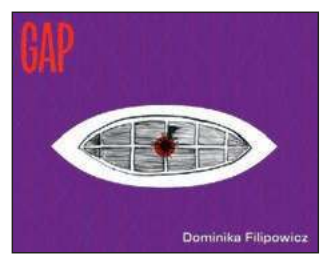
„Gap" Dominiki Filipowicz łączy poezję ciała z refleksją o byciu kobietą w świecie nieustannej kontroli.

Centralną kategorią organizującą wyobraźnię tomu jest ciało, przedstawione jako przestrzeń poddana nieustannej ingerencji i przekształceniom. Traci ono swoją integralność i zostaje sprowadzone do poziomu materii podlegającej nieustannej obróbce.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera motyw transformacji. Pojawiające się chrząszcze, chitynowe pancerzyki czy odnóża tworzą rozbudowany system metafor odnoszących się do kruchej kondycji jednostki. Przemiana nie jest tu jednoznacznie wartościowana. Oznacza zarówno degradację, jak i strategię ucieczki od ludzkiej formy, która wydaje się szczególnie podatna na zranienie. Bycie insektem prowadzi do dehumanizacji, ale umożliwia większy dystans wobec bólu.

Równie istotna jest obecność motywów pamięciowych, które nie przyjmują formy uporządkowanej narracji. Przeszłość ujawnia się w postaci fragmentów, powracających obrazów. Zostają one pozbawione swojego pierwotnego, oswojonego charakteru – przeciwnie, stają się nośnikiem powracających traum i cierpienia, by wspomnieć wers: „wychowała mnie na dobrego człowieka wolę tamto piekło niż tutaj".

W rezultacie „Gap" jawi się jako projekt, w którym język i wyobraźnia podporządkowane zostają jednemu nadrzędnemu celowi: uchwyceniu momentu, w którym podmiot rozpada się, a jednocześnie próbuje odzyskać własną, choćby szczątkową spójność. To napięcie między dezintegracją a próbą ponownego scalania wyznacza jego niecodzienną, afektywną siłę oddziaływania. ©℗



Dominika Filipowicz, Gap, Stowarzyszenie Wspólny Pokój

eprasa.pl d1efa56a26

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

IRONICZNA TOŻSAMOŚĆ

MICHAŁ SOWIŃSKI

Natalka Suszczyńska rozbraja modne opowieści o tożsamości – zamiast gotowych historii daje zapis niepewności, ironii i ciągłego stawania się.

Rynek wydawniczy od dobrej dekady zalewają książki o dziadkach i babciach, skomplikowanych (bo w naszej części Europy innych raczej nie ma) splotach historii pisanej przez małe i duże „h" czy uwikłaniach klasowych – trzeba się gęsto tłumaczyć. Przy okazji można też zbić niezły kapitał symboliczny – odpowiednio ulepione narracje tożsamościowe wciąż dobrze się sprzedają. Dlatego każda opowieść, która rzuca ironiczne wyzwanie tej modzie (albo opresji – zależy jak patrzeć), jest dziś na wagę złota.

Takiego gestu podejmuje się w swojej ostatniej książce Natalka Suszczyńska. Jej „Wygoda" to rodzaj dziennika, w którym autorka relacjonuje swoje tożsamościowe przygody. Urodzona na Podlasiu w rodzinie prawosławnej, na różne sposoby próbuje opowiedzieć doświadczenie własnej inności. Nie jest to jednak tak proste, jak mogłoby się wydawać, bo obiegowe schematy narracyjne rzadko pasują do rzeczywistości.

Świetnie pokazuje to centralna postać „Wygody", czyli dziadek – lokalny poeta i działacz na rzecz języka i kultury białoruskiej. Materiał wręcz idealny do zbudowania krzepiącej opowieści o pasji i zaangażowaniu, w której lokalna tożsamość splata się z uniwersalnymi wartościami. Co więcej – niemal gotowy filar do budowania własnej pisarskiej legendy. Suszczyńska jest jednak zbyt dobrą pisarką, by popaść w takie uproszczenia.

I to dzięki temu otrzymujemy opowieść znacznie przekraczającą typowy narcystyczny branding. „Wygoda" to – sam w sobie intrygujący – zapis zmagań z symbolicznym dziedzictwem, który jednocześnie można czytać jako zaproszenie (dla nas, czytelników) do udziału w tej ironicznej grze. ©℗



Natalka Suszczyńska,
Wygoda,
ArtRage

MIASTO I LUDZIE

MICHAŁ SOWIŃSKI

Komiks „Brzask" jest hołdem dla powojennych mieszkańców Warszawy i ich doświadczenia życia wśród ruin.

„Brzask" Jacka Świdzińskiego to komiks rozgrywający się w ruinach powojennej Warszawy – w tym dziwnym, trudnym do wyobrażenia momencie, gdy wojna już się skończyła, ale odbudowa była wciąż odległym, a dla wielu wręcz niemożliwym do pomyślenia projektem.

Jacek Świdziński ma w dorobku kilka komiksów historycznych, w których konsekwentnie testuje różne języki opowiadania o przeszłości – często z dystansem, ironią i formalną swobodą, jak w „Zdarzeniu. 1908" czy „Powstaniu. Filmie narodowym".

„Brzask" jest bardziej wyciszony, poważniejszy, mniej grający z konwencją. Dzięki tej prostocie dobrze widać ogrom ludzkiego cierpienia, ale też odwagę i upór, by mimo wszystko nie poddawać się i żyć na przekór niewyobrażalnemu okrucieństwu. W tym sensie „Brzask" jest wyraźnym hołdem dla powojennych mieszkańców Warszawy i ich doświadczenia życia wśród ruin.

Akcja skupia się na grupie ludzi, którzy schodzą do piwnicy zrujnowanej kamienicy, gdy budynek nagle zaczyna się walić – co w pierwszych miesiącach po wojnie było częstą przyczyną śmierci, obok niewybuchów i zatrutej wody. W tej zamkniętej przestrzeni spotykają się osoby o zupełnie różnych doświadczeniach: każdy przeszedł przez inne piekło i znalazł się w zrujnowanej Warszawie z innych powodów. Uwięzieni pod gruzami, zaczynają opowiadać swoje historie, a ich indywidualne losy układają się w wielogłosową opowieść o przetrwaniu, traumie i powrocie do życia.

To właśnie z tych rozproszonych historii Świdziński buduje obraz miasta, które dopiero się na nowo rodzi – nie z cegieł i planów, lecz z pamięci, doświadczeń i obecności ludzi, którzy mimo wszystko postanowili zostać. ©℗



Jacek Świdziński,
Brzask,
Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 17/2026

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Andrzej Leśniak

Białystok

DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z URZĘDEM MIEJSKIM W BIAŁYMSTOKU

eprasa.pl d1efa56a26

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

DUCH SŁÓW

JACEK NAPORA

Wiersze z tomiku „Przejściowe" przychodzą jako forma pożegnania ze stałymi formami nowoczesnego doświadczenia.

Teologia splata się tu z estetyką memów, kabalistyczne „cimcum" współistnieje z klubowym groovem. Udaje się to zmieścić w krótkich, minimalistycznych utworach – samych w sobie układających się w pewien spójny, regularny rytm.

Słowa utraciły wagę – przynajmniej na pozór. Autor nie podejmuje jednak prób przywrócenia dawnych hierarchii. Zamiast tego operuje strategią remiksu, zestawiając dostępne idiomy i poszukując w ich kolizjach momentów intensywności, krótkotrwałych spięć, które przypominają epifanie.

Wyraźnie zaznacza się tu komponent religijny, choć nie w jego tradycyjnym rozumieniu. Chodzi raczej o duchowość w widmontologicznej perspektywie – funkcjonującej w warunkach zaniku spójnych systemów wierzeń. Towarzyszy temu wyraźnie melancholijny, a nie tylko ironiczny ton.

Jednocześnie książka pozostaje mocno zakorzeniona w rzeczywistości późnego kapitalizmu i jego afektywnych krajobrazach. Zamiast formułować bezpośrednie diagnozy czy komentarze, autor skupia się na uchwyceniu drobnych, codziennych doświadczeń. W efekcie nie powstaje spójny, jednolity głos, lecz mozaika bodźców. Tkanka świata przybiera dzięki temu formę powracających, zapętlonych refrenów.

Najciekawsze pozostaje jednak to, że Bryzek nie popada w cynizm. Wręcz przeciwnie – pod warstwą językowych eksperymentów wyraźnie daje się odczuć potrzeba sensu oraz odnalezienia takiego rytmu, który pozwoliłby utrzymać ciągłość istnienia, choćby w jego najbardziej kruchych i tymczasowych formach. Właśnie ta ukryta dążność do porządku i trwania nadaje całości intrygujący wymiar egzystencjalny. ©℗



Szymon Bryzek, Przejściowe, Muzeum Narodowe w Lublinie

AWERS I REWERS

JACEK NAPORA

Tom Jakuba Gutkowskiego wyrasta z różnicy między doświadczeniem a jego zapośredniczeniami.

„Livestream" można czytać jako próbę uchwycenia chwili, w której bezpośredniość ustępuje miejsca zapisowi, filtrowi lub symulacji, a język – zamiast porządkować rzeczywistość – nieustannie ją nadpisuje. W tej logice każde kolejne przedstawienie zaciera ślad poprzedniego, co prowadzi do zasadniczego pytania: gdzie przebiega granica między awersem a rewersem każdego zjawiska i kto ją właściwie wyznacza?

Tom Gutkowskiego jest celną diagnozą kondycji późnej nowoczesności – świata nadmiaru, szumu i nieustannego przepływu informacji, jak i zapisem sytuacji debiutanta, który wchodząc w obieg literacki, musi określić własne miejsce wobec istniejących idiomów i tradycji. To wejście nie dokonuje się poprzez wybór jednego języka, lecz przez ich nakładanie, testowanie i chwilowe zawłaszczanie.

Autor wielokrotnie problematyzuje status własnej wypowiedzi. Tożsamość nie jest tu ujmowana jako esencja, lecz jako chwilowy, taktyczny układ sił i kierunków – nieustannie rekonfigurowany. Przywołane w jednym z wierszy „przeciwne wektory", posiadane na własność, dobrze oddają tę dyspozycję. Podmiot wiersza nie tyle rozstrzyga sprzeczności, ile uczy się w nich funkcjonować. To doświadczenie przypomina sytuację „trzymania mikrofonu zbyt blisko, że wciąż słychać przełykanie śliny", moment, w którym zamiast klarownego komunikatu słychać szmer, oddech albo fizjologię mówienia.

W rezultacie „livestream" okazuje się trafną diagnozą medialnej obecności i jej konsekwencji – życia w rzeczywistości nieustannie przetwarzanej, rekonfigurowanej i transmitowanej dalej. Jako debiut stanowi wyraźną deklarację intelektualną, sytuując Gutkowskiego wśród najbardziej świadomych uczestników współczesnego pola poetyckiego. ©℗



Jakub Gutkowski, livestream, Fundacja Kontent

eprasa.pl d1efa56a26

KULTURA

OSTATNIA RODZINA

Verena Kessler portretuje ludzi, których emocje, życiowe wybory oraz marzenia zdominowała logika produktywności. Ci ludzie to my.

ŁUKASZ MUSIAŁ

Kiedyś sprawa była prosta, prawda? Wyjść za mąż lub się ożenić, założyć rodzinę, a potem z otwartymi ramionami witać dzieci, które sprowadzamy na świat. Z czasem pomóc im stawiać pierwsze kroki, po czym nauczyć je wszystkiego, czego człowiek sam się przez lata o życiu dowiedział.

Cóż, to oczywiście iluzja. Łatwo nie było nigdy, było po prostu inaczej. Jeszcze dla pokolenia milenialsów posiadanie dzieci było czymś, co wpisywało się w życiowe plany. Tymczasem gdy dziś pytam studentów, czy w ogóle myślą o założeniu rodziny, ich ironiczne spojrzenia, a potem zdawkowe odpowiedzi szybko potwierdzają to, co obserwujemy na co dzień – nie tylko na uczelni. Otóż dogmatem młodych dorosłych jest odwrotność wszystkiego, co poprzednie pokolenia uznawały w tej materii za słuszne. Dlaczego?

Kryzys

Rzeczowe argumenty podają tak zwani antynataliści, czyli zwolennicy poglądu, że prokreacja jest moralnie zła lub co najmniej problematyczna. Nie powinniśmy mieć potomstwa, ponieważ skazujemy je na cierpienie. Rachunek wydaje się prosty: rodząc dzieci, pomnażamy sumę nieszczęść świata. Na taką matematykę nie ma mocnych.

Pierwsze ślady antynatalizmu możemy wytropić już w starożytnej myśli greckiej, potem w niektórych nurtach buddyzmu, a sięgając trochę bliżej – w opiniach XIX-wiecznego filozofa Arthura Schopenhauera. Jego poglądy były zresztą przez całe dekady niezwykle popularne również wśród ludzi na co dzień mających mało wspólnego z filozofią. Co pokazuje, że problem nie ograniczał się wyłącznie do kręgów akademickich.

Z jakiego powodu w naszej części świata antynatalizm znów odżywa, a nawet zdobywa nowe przyczółki? Przykładem takiego przyczółku świeżej daty jest właśnie Polska, kraj o ugruntowanej przez wieki tradycji katolickiej; konserwatywnej zwłaszcza w swoim stosunku do rodziny. Otóż świeżego paliwa dała antynatalizmowi z pewnością gwałtownie pogłębiająca się świadomość kryzysu klimatycznego.

Do starych argumentów doszły nowe: w dobie przeludnienia i katastrof wyrzeczenie się dzieci wydaje się decyzją proekologiczną. Skoro pojawienie się każdego kolejnego człowieka radykalnie zwiększa ślad węglowy na naszej utrudzonej zanieczyszczeniami planecie, rezygnacja z posiadania potomstwa jest moralnie właściwa, oznacza przecież troskę o świat. Krótko mówiąc: *make love, not babies*.

Bo czy miłość między kobietą a mężczyzną musi się kończyć prokreacją? Tym bardziej że „produkując" dzieci, tak naprawdę odbieramy im szansę na dobre życie, a światu – możliwość przetrwania.

Zagadka

Oto punkt wyjścia wydanej właśnie powieści zatytułowanej skromnie „Ewa", której autorka, Verena Kessler, jest już nieźle znana polskim czytelnikom. Przed kilku laty wydano u nas jej debiut powieściowy, „Duchy z miasteczka Demmin", w Niemczech przyjęty swego czasu znakomicie. Obie powieści (z wyczuciem przełożone przez Małgorzatę Gralińską) stanowią dobry przykład tak zwanej literatury środka, która – nieprzesadnie epatując ambicjami literackimi – usiłuje je w pewnej mierze zachować. A przy tym stara się dotrzeć do szerszego grona odbiorców, by zainteresować ich ważnymi współcześnie kwestiami.

Choć fabuła powieści rozgrywa się za naszą zachodnią granicą, nie można oprzeć się wrażeniu, że gdyby jej cztery główne bohaterki mieszkały w Polsce, ich losy wyglądałyby dokładnie tak samo. Najpierw poznajemy Evę Lohaus, nauczycielkę, która wywołuje medialną burzę, publikując esej pod tytułem „Antykoncepcja ratuje życie", i stojąc w nim na stanowisku, że ludzie powinni przestać się rozmnażać dla powstrzymania nadciągającej katastrofy klimatycznej.

Wzoru dla tej postaci użyczyła zresztą niezwykle kontrowersyjna niemiecka aktywistka Verena Brunschweiger. Poza wspólnymi poglądami Evę Lohaus łączy z nią również zawód nauczycielki, co oczywiście tylko dolewa oliwy do ognia. Czy mamy bowiem pozwalać, by nauczycielkami naszych pociech były kobiety, które sprzeciwiają się prokreacji, a zatem nie chcą na świecie więcej dzieci?

Wokół historii Evy Lohaus wirują, zręcznie ze sobą splecione, losy trzech

eprasa.pl d1efa56a26



JACINTHA NOLTE / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA FILTRY

Verena Kessler

Wokół historii Evy Lohaus wirują, zręcznie ze sobą splecione, losy trzech pozostałych bohaterek. Każda jest w pewnym sensie „Ewą". Lecz w odróżnieniu od naszej wspólnej pramatki, każda mierzy się z dylematami, nad którymi biblijna Ewa nie musiała łamać sobie głowy. Jest więc dziennikarka Sina, autorka wywiadu z kontrowersyjną antynatalistką, w życiu prywatnym zmagająca się z dramatem niepłodności.

Wbrew przeciwnościom losu i logicznym kontrargumentom swojej rozmówczyni chciałaby zajść w ciążę, a przecież nie będzie jej to dane. Siostra Siny, bohaterka kolejnego rozdziału, mierzy się z kłopotami innej natury: matka trojga dzieci, zmęczona życiem rodzinnym, utrudzona i sfrustrowana nim do granic szaleństwa. Czy to jeszcze życie, czy po prostu kolonia karna?

Powieść zamyka historia sąsiadki Evy Lohaus, kobiety, która właśnie straciła nastoletniego syna. Widząc jej ból, nie mamy wątpliwości, że zrobiłaby wszystko, by odzyskać zmarłe na nowotwór dziecko. Do niej też należą słowa o „zagadkach bez rozwiązania", powtarzane w ostatnim rozdziale wyjątkowo często, jakby Kessler chciała uczynić z nich memento.

Rodzić dzieci czy nie? Myśleć o własnym szczęściu, czy przede wszystkim o świecie wyniszczonym przez ludzi? Ryzykować, że radość, którą dają dzieci, ↦

eprasa.pl d1efa56a26

↦ ulotni się w czarnej rozpaczy, gdy los nam te dzieci odbierze?

Dylemat

Na tak postawione pytania nie potrafimy dzisiaj udzielić jednoznacznych odpowiedzi. A już na pewno nie powinniśmy oczekiwać żadnych rozwiązań od literatury, która istnieje także w tym celu, byśmy od czasu do czasu mogli pozwolić sobie na luksus nierozstrzygalności. Dzięki temu znajdujemy wytchnienie od nadmiernie uregulowanego życia i wygórowanych oczekiwań. Od poczucia, że wciąż coś „musimy".

Jednak po pierwszej lekturze ogarnęło mnie poczucie, że frazą o „zagadkach bez rozwiązania" Kessler żegna się z czytelnikiem zbyt łatwo i zbyt szybko. Jak gdyby robiła zręczny unik, który ma zadowolić każdego, a w konsekwencji maksymalnie poszerzyć krąg odbiorców powieści. Tymczasem pewne kwestie – nie waham się ich nazwać egzystencjalnymi – domagają się tutaj „dociśnięcia". A nawet postawienia na ostrzu noża.

Nasuwa się zwłaszcza jedno zasadnicze pytanie: skoro antynatalistom tak bardzo zależy na poszanowaniu natury i jej potrzeb, dlaczego są przeciwni prokreacji, która jak nic innego wiąże przecież człowieka z naturą? Uchylanie takich kwestii w powieści, która chce stanowić ważny głos we współczesnych debatach o przyszłości świata, traktuję nie tyle jako zaniedbanie, ile jako taktyczną rejteradę.

Być może to po prostu problem zbyt ważki, by zostawiać go literaturze środka. Przy wszystkich wspomnianych zaletach trudno ją uznać za gatunek zdolny do udźwignięcia dylematów współczesności. Istnieją po prostu takie kwestie egzystencjalne, których nie da się podać w wersji *light*. Niechby nawet ryzykując, że się kogoś obrazi.

Teza

Byłbym jednak nieszczery twierdząc, że „Ewa" pozostawiła mnie – rodzica – całkiem obojętnym. Nie pozostała też obojętną tłumaczce, Małgorzacie Gralińskiej, matce trzech córek, która pracując nad przekładem miała okazję przejrzeć się w postawach i wyborach czterech współczesnych kobiet. Te postawy i wybory były dla niej (jak zwierzyła mi się w prywatnej rozmowie) zaskakujące, być może nawet niezrozumiałe, z kolei innym razem wydawały się bliskie własnemu doświadczeniu. Podzielam te wrażenia.

Odkąd rodzina stała się dla nas jeszcze jednym „zakładem pracy",
zagościły w niej chroniczny stres, pracoholizm oraz wypalenie zawodowe.

Dodam jednak, że kiedy wracam pamięcią do portretów każdej z czterech bohaterek powieści, najuczciwiej nakreślone wydają mi się dwa, którym podczas pierwszej lektury być może poświęcimy właśnie najmniej uwagi. Mam na myśli dziennikarkę Sinę, która chce mieć dziecko, choć równocześnie paraliżuje ją strach przed wyzwaniami macierzyństwa, oraz jej siostrę, kobietę umęczoną, wątpiącą, a przy tym jakże wiarygodną w swych sprzecznych emocjach i niewypowiedzianych rozterkach.

Po jednej zatem stronie matka niespełniona, która, zanim w ogóle zacznie starać się o dziecko, do upadłego analizuje wszystkie argumenty „za" i „przeciw". A później i tak nie może zajść w ciążę. Po drugiej matka, która kocha swoje dzieci, a przecież ma świadomość, że przekazawszy im życie, sama czuje go w sobie niekiedy bardzo mało. Nie znam rodzica, któremu to doświadczenie byłoby zupełnie obce.

Natomiast postać głównej bohaterki powieści, odmalowana nieco zbyt grubą kreską, jakby pod określoną tezę, nie przekonuje mnie w najmniejszym stopniu. Choć kwestie klimatyczne leżą mi głęboko na sercu, argumentacyjna niepodważalność reprezentowanego przez nią stanowiska przypomina mi wyrozumowany konstrukt z podręczników logiki. To jak z paradoksami starożytnego filozofa Zenona z Elei, który dowodził, że logicznie rzecz biorąc, ruch nie ma racji bytu. A przecież nikt nie zaprzeczy, że jednak się ruszamy.

Wyznam, że nie doświadczyłem nigdy piękniejszego uczucia niż nadzieja, że życie, które sprowadzam na świat, będzie życiem dobrym. I że przysłuży się ono szczęściu mojemu i innych. To nadzieja absurdalna, owszem, bo tak naprawdę niepoparta żadną logiką, ma ona raczej coś z atawistycznego instynktu.

Mimo to, powodowany tylko nią, a wbrew logice, przed wieloma laty zdecydowałem się na dziecko. Mam teraz dorosłego syna. Czy powinienem przepraszać za wyprodukowany przez niego dwutlenek węgla?

Prawda

Dlatego sądzę, że podczas lektury powieści Vereny Kessler warto pochylić się nie tyle nad szeleszczącymi papierem argumentami antynatalistki Evy Lohaus, ani też nad cokolwiek zbyt łzawo ukazaną tragedią jej sąsiadki, ile nad losami dwóch kobiet pozornie zwyczajnych, które w cichości swojego „małego" życia przeżywają dylematy rodem z greckiej tragedii; które nieustannie zmuszone są dokonywać dramatycznych wyborów między własną potrzebą szczęścia a oczekiwaniami innych. I które z tego powodu żyją w nieprzerwanym dysonansie poznawczym: przytłoczone nadmiarem oczekiwań, tracą wewnętrzny kompas; wyrażają sprzeczne poglądy, a każdy z tych poglądów wydaje im się w danej chwili słuszny.

To z kolei paraliżuje ich spontaniczność, czyniąc je strażniczkami samych siebie, czujnie obserwującymi każdą swoją czynność. Te kobiety wciąż mają poczucie, że robią coś nie tak. Gdy kupują kolejny zbędny ciuch, ot, dla czystej przyjemności, od razu mają wyrzuty sumienia, że „konsumpcjonizm" pogłębia nierówności ekonomiczne. Podczas posiłków każe im się pamiętać o ekstensywnych uprawach przyspieszających katastrofę ekologiczną albo tragicznym losie zwierząt hodowlanych. Uprawiając seks z myślą o dziecku, mimowolnie wyobrażając sobie 60 ton dwutlenku węgla, wyprodukowane przez każdą nową istotę ludzką sprowadzoną na świat.

Czy to nie jest portret wielu z nas dzisiaj, czujących, że życie składa się z samych ograniczeń? Że choć wygodne, by nie powiedzieć luksusowe – jest w pewien sposób morderczo uregulowane, przekalkulowane? To właśnie ten aspekt „Ewy" daje najbardziej do myślenia.

Verena Kessler ukazuje ludzi, którzy pozwolili, by myślenie w kategoriach produktywności w rozmaity sposób wpływało na dokonywane przez nich wybory życiowe, zdominowało ich etykę, emocje, pragnienia. A nawet marzenia. Ukazuje

eprasa.pl d1efa56a26

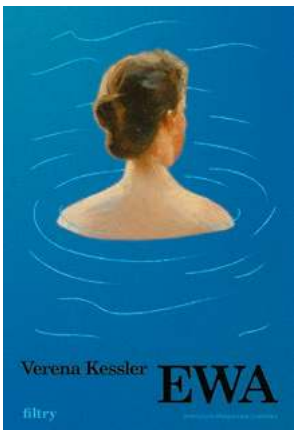
ludzi, którzy kalkulują, czy mieć dzieci, tak jak kalkuje się ilość pszenicy z hektara albo liczbę owiec potrzebnych do produkcji wełny. Ci ludzie to oczywiście my.

Praca

Przegapiliśmy moment, zdaje się mówić Kessler, w którym rozszerzyliśmy pojęcie wydajnej pracy na niemal wszystkie aspekty naszego życia, także prywatnego. Mówimy o „pracy" nad własnym charakterem, pewnością siebie, nad związkiem z drugą osobą, wyrażaniem emocji, odbudową zaufania, sylwetką czy nawykami żywieniowymi.

Nawet chwile lenistwa służą tak naprawdę pracy: wypoczywając według określonego planu, czyli skutecznie, będziemy lepiej wykonywać powierzane nam zadania. Na przykład wychowanie dzieci. O którym oczywiście też zazwyczaj mówi się, że to praca. Ten szczególny rodzaj nadaktywności i ślepej wiary w ludzką sprawczość jest zresztą w ogóle charakterystyczny dla naszych czasów.

W tej sytuacji całkowicie zrozumiała jest chęć ucieczki od działania w ogóle w prokrastynację, dostrzeganą zwłaszcza wśród osób młodych i diagnozowaną przez wielu psychologów jako zjawisko bez mała pokoleniowe. Częścią tego zjawiska wydaje mi się również niechęć do posiadania dzieci: odkąd tradycyjna rodzina stała się jeszcze jednym „zakładem pracy", zagościły w niej tak negatywne symptomy jak chroniczny stres, pracoholizm czy wypalenie zawodowe.



Verena Kessler
EWA
tłum. Małgorzata Gralińska, Filtry, Warszawa 2026

W powieści Kessler dotykają one wspomnianą matkę trojga dzieci: jej wspólne wakacje z siostrą są w istocie paniczną ucieczką przed pracą, w jaką zamieniły się obowiązki rodzinne i wychowawcze. Często zwyczajnie ogłupiające i zniewalające. A to dlatego, że poddane dyktatowi efektywności, użyteczności i wydajności.

Nie mam pojęcia – chyba nikt nie ma – czy prokrastynacja jest dobrym wyjściem. Z pewnością nie jest nim na dłuższą metę. Chcemy tego czy nie, historia pokazuje, że człowiek to przede wszystkim *homo agens*, istota działająca. A także pracująca – w ten lub inny sposób. Pozbawiać nas wszelkiej możliwości działania czy pracy to odbierać nam coś niezwykle ważnego.

Być może jednak odmowa działania stanowi pierwszy krok do zrozumienia czegoś naprawdę istotnego, co w tym momencie pozostaje zaledwie przeczuciem. A co przyniesie odrobinę niczym niezmąconego wytchnienia. Każe na moment o wszystkim zapomnieć. A także o wszystkich, nawet o własnych dzieciach. A później – kto wie? – pomoże nam stanąć, tym razem bez lęku, w obliczu zagadek, które wydawały się kiedyś bez rozwiązania. ©ŁUKASZ MUSIAŁ

REKLAMA



eprasa.pl d1efa56a26



MATERIAŁY PRASOWE

Wystawa nagrodzonych książek na Międzynarodowych Targach Książki dla Dzieci w Bolonii, 2026 r.

Po dobrej stronie

MONIKA OCHĘDOWSKA Z BOLONII

NA CZASIE | Eksperci z całego świata przekonują, że czytanie nie może być obowiązkiem. Jeśli nasze dzieci interesują się piłką nożną – niech czytają o piłce nożnej.

Całkiem niedawno dowiedziałam się, w jakich okolicznościach Hanna Krall postanowiła, że będzie pisarką. Otóż decyzję (całkiem serio) podjęła wcześnie, jeszcze jako mała dziewczynka. W rozmowie z Anną Goc Krall opowiada o niewielkim pokoiku, który dał jej schronienie podczas pierwszych dni powstania warszawskiego. Łuna z pożarów, padająca na ścianę, zapewniała wystarczająco dużo światła do czytania. Krall poznała wtedy przygody „Ani z Zielonego Wzgórza". Pod wpływem tej lektury zdecydowała, że kiedyś sama będzie opowiadać historie. Żeby jednak zrealizować marzenie, musiała sobie przyrzec coś jeszcze – że przeżyje wojnę.

Myślałam o czytającej w środku płonącej Warszawy dziewczynce, gdy podczas jednego ze spotkań na Międzynarodowych Targach Książki dla Dzieci w Bolonii przewodnicząca Stowarzyszenia Wydawców i Księgarzy Gruzińskich, Gvantsa Jobava, z przekonaniem powtarzała, że książki mają moc zmieniania życia – szczególnie życia dzieci. To, co mogło zabrzmieć jak przygotowany na oficjalne wystąpienie slogan, odwołuje się do realnego, formującego doświadczenia bardzo wielu czytelniczek i czytelników. Niekoniecznie dorastających w regionach, w których toczą się wojny.

„Uczyłam się czytać w kraju, w którym prawda nie była dostępna. Granice były zamknięte, a wiele informacji o świecie pozostawało poza naszym zasięgiem" – mówiła o swoim dzieciństwie urodzona w Tbilisi Jobava. „Podróżowaliśmy tylko dzięki książkom. Dzięki nim wierzyliśmy także, że istnieje świat, o którym warto marzyć. Dla dzieci to ważne źródło tożsamości i siły".

Działania wspierające tę siłę, jak i różnorodność, zwłaszcza w USA (o czym szeroko opowiadała na targach wydawczyni z Nowego Jorku), znalazły się pod presją. Programy dla twórców reprezentujących mniejszości są ograniczane lub zamykane. Cała odpowiedzialność spada na wydawców, choć literaturą dziecięcą oraz promocją czytelnictwa starają się też zaopiekować takie organizacje jak ONZ, przekonane, że umiejętność krytycznej lektury, zmniejszająca podatność na dezinformację, jest fundamentem utrzymania demokracji.

Jak to robi Estonia

Wiedząc, jaka siła płynie z lektur, oglądaliśmy jednocześnie na targach w Bolonii wykresy obrazujące spadki czytelnictwa wśród najmłodszych. Wbrew pozorom to nie tylko wina smartfonów. Zresztą w Wielkiej Brytanii uznano już, że nie ma sensu z ekranami walczyć.

„Kluczowe pytanie brzmi, jak sprawić, by książki stały się częścią ekosystemu treści", przekonywał Daan Beeke, reprezentant europejskiej sieci organizacji zajmujących się promocją czytelnictwa i rozwoju kompetencji czytania. „Jak mogą uzupełniać przestrzeń kultury cyfrowej, zamiast z nią konkurować. A zatem: jak dotrzeć do dzieci tam, gdzie one już są, i naprawdę zainteresować je czytaniem".

Spotkania w Bolonii przyniosły zresztą sporo ciekawych odpowiedzi na to pytanie. Świetnie radzi sobie na tym polu na przykład Estonia, w której szkoły podstawowe bardzo blisko współpracują z licznymi bibliotekami. Zresztą już estońskie przedszkolaki regularnie odwiedzają biblioteki ze swoimi opiekunami, a szkoły po prostu wzmacniają ten nawyk.

Wystarczy niewiele: każdego dnia podczas lekcji uczniowie mają dwadzieścia minut na czytanie tego, co sprawia im frajdę. Dzieci zobowiązują się też do przeczytania co najmniej pięciu wybranych książek w roku szkolnym, otrzymują

eprasa.pl d1efa56a26

specjalny „paszport czytelnika" z kreatywnymi zadaniami nawiązującymi do lektur, a na zakończenie roku szkolnego jest impreza z dyplomami i nagrodami. Każdą przeczytaną indywidualnie książkę świętuje tu cała klasa. Motywujące, prawda?

Cały rok czytania

Do roboty wzięła się też Wielka Brytania, ogłaszając rok 2026 Narodowym Rokiem Czytania (poprzednie obchodzono w 1997 i 2008). Inicjatywa rozpoczęła się od dość powszechnej konkluzji: czytanie trzeba dziś promować w zupełnie inny sposób niż kiedyś.

Jeśli traktujemy książki jak „witaminy", które dzieci mają przyjmować dla zdrowia – niewiele osiągniemy. Czytanie musi stać się po prostu „cool" (a dziś raczej: „slay"), dotrzeć także do tych, którzy nie czytają – szczególnie chłopców, którzy w Wielkiej Brytanii coraz rzadziej sięgają po książki. Nie bez powodu to popularna brytyjska piosenkarka Dua Lipa, laureatka nagród Grammy i Brit, została właśnie kuratorką jednego z londyńskich festiwali literackich. Dua Lipa jest „cool", a skoro ona czyta, ja też spróbuję.

Czytanie nie może być dla naszych dzieci obowiązkiem – powtarzali zgodnie prelegenci. Powinno być raczej sposobem rozwijania pasji. Jeśli dziecko interesuje się piłką nożną – niech czyta o piłce nożnej. Jeśli ma bzika na punkcie Japonii – niech wypożycza mangi.

Tego roku Wielka Brytania wyda na promocję czytania ok. 1,5 mln funtów, włączając w swoją akcję zarówno wydawców i media publiczne (w tym BBC), jak i firmy technologiczne (m.in. Amazon, Google, Meta). Skoro dzieci funkcjonują w świecie cyfrowym, promocja czytania również tam musi być obecna.

Codziennie święta

Podam jeszcze jeden ciekawy przykład. Finlandia ma długą tradycję czytelniczą i przez lata osiągała znakomite wyniki w badaniach czytelnictwa wśród dzieci, z czasem jednak zaczęły się one pogarszać. Dlaczego? Wielu nauczycieli przyznało, że szkoły zaczęły odchodzić od czytania na rzecz uczenia za pomocą metod cyfrowych, z użyciem ekranów. Dziś uznaje się to za błąd i ponownie kładzie nacisk na czytanie całych, papierowych książek (nie fragmentów), wpisując do kanonu lektur zwłaszcza literaturę dziecięcą.

„Podczas pisania jednego z tekstów poznałem fińską nauczycielkę, która od lat – nawet wtedy, gdy nie było to modne – stawiała na radość czytania. W jej klasie uczniowie przeczytali wspólnie ponad 2300 książek. Co tysiąc książek organizowali swoje małe czytelnicze święto" – opowiadał na jednym ze spotkań piszący na co dzień o edukacji niemiecki dziennikarz Alexander Brand.

Mówił on również o szkołach, w których uczniowie mogą sięgać po książkę zawsze, gdy skończą powierzone im przez nauczycieli zadanie – niezależnie od przedmiotu, którego właśnie się uczą. Te szkoły wierzą, że niezależnie od tego, co będą robić kiedyś ich uczniowie i uczennice, nawyk sięgania po książkę w każdej wolnej chwili uczyni ich po prostu szczęśliwszymi ludźmi. Wygląda na to, że ich podejście powoli staje się standardem. Niestety, wciąż nie jest to standard polski. ©℗

Za możliwość wyjazdu do Bolonii dziękuję Instytutowi Adama Mickiewicza.

Polska gościem honorowym Międzynarodowych Targów Książki dla Dzieci w Bolonii w roku 2027

MONIKA OCHĘDOWSKA: Jak przygotowujemy się do objęcia tej funkcji?

GRZEGORZ JANKOWICZ, DYREKTOR INSTYTUTU KSIĄŻKI: Przyjęcie zaproszenia od organizatorów targów w Bolonii miało sens, gdyż stoi za nim odpowiednio przygotowane zaplecze. Fundament ten budujemy za sprawą szeregu narzędzi, z których najważniejszym pozostaje Program Translatorski Copyright Poland, umożliwiający finansowanie przekładów polskich książek na inne języki.

Szczególny nacisk kładziemy na język i rynek włoski, co pozwala wzmocnić widoczność polskiej literatury na długo przed samą imprezą. Warto jednak pamiętać, że targi w Bolonii nie są wydarzeniem „włoskim", podobnie jak targi we Frankfurcie nie są „niemieckie". W obu przypadkach to miejsca spotkań wydawców z całego świata. Polska została gościem honorowym dlatego, że możemy się poszczycić wieloma przekładami książek dla dzieci na różne języki. Wierzymy, że dzięki przyszłorocznemu programowi uda nam się wzmocnić ten trend.

Uzupełnieniem powyższych działań są programy wspierające tłumaczenia fragmentów książek (tzw. sampli), dzięki którym tłumacze mogą skuteczniej docierać do zagranicznych wydawców.

Istotną rolę odgrywa również Kolegium Tłumaczy – program rezydencyjny, który umożliwia zagranicznym tłumaczom pracę w Polsce, a więc bezpośredni kontakt z naszą kulturą i środowiskiem literackim. W ostatnich latach zainteresowanie tym programem znacząco wzrosło, co pokazuje, jak duże jest zapotrzebowanie na systemowe wsparcie przekładów.

Jakie działania planujemy?

Polska będzie obecna zarówno w części poświęconej książce dziecięcej Bologna Ragazzi, jak i w segmencie Bologna Book Plus, gdzie wystawiają się wydawcy książek dla dorosłych. Już dziś budowana jest silna obecność poprzez nasze stoiska – kolektywne i informacyjne – które umożliwiają udział w targach kilkudziesięciu wydawcom i agentom. To nie tylko przestrzeń promocji, lecz przede wszystkim nawiązywania relacji i sprzedaży praw.

W perspektywie roku, w którym Polska wystąpi jako gość honorowy, działania te zostaną znacząco rozszerzone. Planujemy zwiększenie liczby wystawców, przygotowanie dużych wystaw o charakterze przekrojowym oraz obecność nie tylko na terenie targów, ale także w przestrzeni miejskiej, za którą odpowiada Instytut Adama Mickiewicza. Zorganizujemy również liczne spotkania autorskie, warsztaty i dyskusje branżowe. ©℗

eprasa.pl d1efa56a26

Autentyk

JACEK WAKAR

SCENA | Oto świetny, bardzo osobny teatr, jakiego nie zobaczycie nigdzie poza Opolem.



Warto wyjść poza wielkie miasta i opuścić utarte szlaki, bo teatralna mapa Polski zmienia się nieustannie. Łatwo udać, że to jest właśnie chwila, gdy odkrywa się Opole, ale byłoby to efektowne nadużycie. Bo Teatr Kochanowskiego, w ubiegłym roku obchodzący półwiecze istnienia, już wcześniej miewał znakomite momenty.

Sięgam do własnej pamięci i wydobywam z niej choćby czas dyrekcji Bartosza Zaczykiewicza i ikoniczne przedstawienia Marka Fiedora – prowokacyjny „Baal" Brechta, a przede wszystkim zatopioną w najprawdziwszym błocie „Matkę Joannę od Aniołów" Iwaszkiewicza. A potem choćby słynnego mafijnego „Makbeta" Mai Kleczewskiej i pierwszą jej przymiarkę do „Dziadów".

Od tamtych inscenizacji minęła epoka, dziś w opolskim teatrze wciąż pracują ludzie, którzy je pamiętają (a niektórzy, jak wspaniała aktorka Judyta Paradzińska, grali w nich główne role), ale jego puls bije w innym tempie. Gdy się wchodzi na dużą scenę, nad ogromnymi schodami widać hasło: „Teatr wielu głosów, różnych spojrzeń".

Założenie celowo szerokie i pojemne, by w gigantycznym budynku pomieścili się poszukiwacze przeciwstawnych konwencji, ci, co chcą propozycji konwencjonalnych, miłośnicy rzeczy progresywnych, a nawet sceny tańca, gdyż Kochanowski przygarnia pod swój dach także utalentowanych choreografów.

Trzeba pamiętać przy tym, że to jedyny dramatyczny teatr instytucjonalny w mieście oraz w niewielkim co prawda województwie, zatem nie może zapominać o potrzebach publiczności. Nie może iść w absolutną niszę, ryzykując utratę widowni. Musi żonglować tytułami i gatunkami, zapewnić namysł i rozrywkę. Tyle że w Kochanowskim nie uświadczysz modelu „lektura plus bajka". Lektury szkolne nawet bywają, jednak w *stricte* autorskim ujęciu reżyserów. Bajki na afiszu nie dostrzegłem, chociaż spektakle dla młodzieży owszem.

Biegłość

Teatr Kochanowskiego organizuje raz do roku na wiosnę maratony i przez weekend pokazuje wycinek ze swych najnowszych produkcji. Robi się z tego *showcase* pozwalający ułożyć sobie własny obraz jak puzzle, bo trudno sprowadzić propozycje z Kochanowskiego do jednego mianownika. Z tegorocznego przeglądu pomijam zatem tytuły ewidentnie słabsze, przywołuję dwa widowiska, wyznaczające przeciwległe bieguny działań opolskiego zespołu. Najpierw rzecz autorska, coś z obrzeży głównego nurtu.

Nie miejsce tu i nie czas na monografię opolskiej placówki ani szerszą prezentację dokonań artystycznych i dyrektorskiej koncepcji Norberta Rakowskiego. Jego prace reżyserskie śledzę od lat, chyba nigdy nie udało mi się namówić go na odautorskie eksplikacje, a jednak z satysfakcją obserwuję jego drogę. Z pierwszego wykształcenia aktor, przez wiele lat inscenizował kawałki dobrze skrojone, formy zamknięte – komedie, tradycyjne dramaty, czasem sztuki z kluczem. Gdy zdobył w tym biegłość, mógł przebierać w ofertach, wykonał zwrot w stronę ryzyka.

W „Badaniach ściśle tajnych" Iwana Wyrypajewa szukał odpowiedzi na pytanie o to, czy jest instancja wyższa, zasada rządząca światem. W przejmujących „Czterech dobrych powodach, by rzucić wszystko w cholerę", opowiadając historię muzealnej strażniczki (wspaniała rola Mileny Lisieckiej), upominał się o ludzi na co dzień niewidocznych, pozornie zbędnych. Powstałe w polsko-hiszpańskiej koprodukcji „I'm Nowhere/Znikanie" (również w części oparte na tekście Wyrypajewa) odważnie podejmowało temat eutanazji.

Blask

A teraz zrealizowany we współpracy z Wrocławskim Teatrem Pantomimy „Autentik" – jeszcze inna historia. Historia? A może raczej impresja, sceniczny drobiazg, tylko siedem scen, z czego zaledwie dwie oparte na tradycyjnym dialogu. Godzina, w której nie wiedzieliśmy

eprasa.pl d1efa56a26



MAGDALENA CYZIK / MATERIAŁY PRASOWE

Spektakl „Autentik”, reż. Norbert Rakowski. Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

niczego o sobie nawzajem – by zacytować tytuł niemego dramatu Petera Handkego.

We fragmentach mówionych obserwujemy grę między adeptką Miją (Aurora Lipartowska), która trafia do renomowanego laboratorium, by tu zdobywać naukowe doświadczenie, i starszym mężczyzną (Bartosz Woźny), może właścicielem tego miejsca, filantropem, który może pozwolić sobie na manipulację innymi. W sekwencjach bez słów mamy dwoje naczelnych (Karolina Pewińska i Jakub Klimaszewski w sugestywnych kostiumach... małp) w dziwnym, naładowanym agresją, a może i erotycznym dygotem układzie przyciągania i odpychania.

Streszczenie – dochodzi jeszcze pies robot! – nie oddaje esencji seansu Rakowskiego. Seansu dziwnego, niepokojącego, niepostrzeżenie dusznego, jak pełna niedopowiedzeń rozmowa Lipartowskiej i Woźnego. Można interpretować ją jako rozgrywkę o dominację, można w całym godzinnym przedstawieniu jeszcze raz szukać zasady rządzącej rzeczywistością. To chyba jednak się nie powiedzie, więc najlepiej wrócić do tytułu.

„Autentik” pyta bowiem o to, gdzie kończy się udawanie, a zaczyna prawda, co jest autentykiem, a co falsyfikatem. Powracając do owych naczelnych, każe nam pochylić się nad naszą własną sytuacją ontologiczną. Jesteśmy, czy nas nie ma? Jeśli żyjemy, to czym różnimy się od naczelnych, dokąd zaprowadziła nas ewolucja? Może donikąd, gdyż wysoka kultura to tylko sztafaż skrywający wrodzoną agresję?

Seans Rakowskiego mnoży pytania i nie daje odpowiedzi. Rodzi się z tego świetny, bardzo osobny teatr, w dodatku taki, jakiego nie zobaczycie nigdzie poza Opolem.

Bezczelność

„Piana dni” jest propozycją zdecydowanie bardziej tradycyjną, ale jej urok w tym, że podążając za książką Borisa Viana raz po raz ten konwencjonalny szkielet demoluje. Spektakl wyreżyserował Francuz Igor Mendjisky, a jest to twórca, który najwyraźniej bardzo lubi bawić się teatrem.

Od pierwszej chwili przydługiego przedstawienia widać, że Viana zna i lubi, a powieść francuskiego skandalisty idealnie pasuje do inscenizacyjnego stylu artysty. „Piana dni” bowiem to pełna poezji i absurdalnego humoru opowieść o grupie przyjaciół, różnicach klasowych, mieszaniu alkoholi, zamiłowaniu do poezji niejakiego Jean-Sola Partre’a, a przede wszystkim o miłości.

Właśnie ten motyw Mendjisky podkreśla najmocniej, w wielu sekwencjach czyniąc ze swego przedstawienia melodramat pełną gębą. I w miejscu, gdzie polski twórca zapewne uznałby, że tak nie wypada, że trzeba szukać drugiego dna i uzasadniać zdarzenia w bardzo wyrafinowany sposób, artysta z Francji bawi się materią powieści, proponując spektakl bezczelny i bezwstydny, bo tak lubi i tak mu się podoba.

Dlatego w opolskiej „Pianie dni” zapewne nie chodzi o nic więcej poza samą opowieścią, radością grania, smakowaniem absurdu. Mendjisky i jego ekipa aktorska sprawiają, że chce się wrócić do literatury Viana, a na razie bezkrytycznie wierzyć, iż w płucu dziewczyny mógł urosnąć pokaźnych rozmiarów nenufar. Bo w końcu dlaczego nie.

Beztroska

Opolski spektakl przynosi zatem czystą przyjemność oglądania, ożywczy powrót do zapomnianego melodramatycznego gatunku, w którym – podobnie jak w zaproponowanym przez pisarza i reżysera humorze – świetnie czują się aktorzy: znów Woźny, Lipartowska i Klimaszewski, ale też Monika Stanek, Magdalena Maścianica, Karolina Kuklińska, Rafał Kronenberger i występujący w Kochanowskim gościnnie Miron Jagniewski.

Także dzięki nim przedstawienie bywa szaloną komedią, ale przede wszystkim płynącą samoistnie opowieścią. Gdy jej nurt się zatrzyma, okaże się, że był zwodniczy, bo pod absurdem i beztroską zabawą kryła się gorzka refleksja o kruchości świata, o tym, że to, co teraz jest, za chwilę może zniknąć, rozpłynąć się, nie być.

Jeden teatr, dwa teatry, a może nawet jeszcze więcej. Spektakle Rakowskiego i Mendjisky’ego są całkiem inne i chyba niewiele je łączy. No może poza jednym. Kompletnie nie spodziewałem się, że coś podobnego zobaczę. Nie tylko w Opolu. Gdziekolwiek. ©

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej.

eprasa.pl d1efa56a26

Dom ojca



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Weronika Mliczewska podąża za swoim bohaterem z Wietnamu aż na Florydę, żeby z bardzo intymnej perspektywy pokazać rzadko przedstawiane na ekranie pokłosie wojny.

Rok temu, a dokładnie 30 kwietnia, minęła pięćdziesiąta rocznica zakończenia amerykańskiej wojny w Wietnamie – oczywiście, huczniej celebrowana w dawnym Sajgonie niż w Waszyngtonie. Kiedy armia USA została zmuszona do ewakuacji, Sang musiał mieć około ośmiu lat, choć dokładnej daty swoich urodzin nie zna. Był jednym z setek tysięcy wietnamskich dzieci, porzuconych przez swoich biologicznych ojców, żołnierzy amerykańskiej armii. Dziś, jako dojrzały mężczyzna, chciałby poznać człowieka, który go spłodził.

„Dziecko z pyłu", nagradzany dokument Weroniki Mliczewskiej, podąża za swoim bohaterem z Ho Chi Minh aż do Orlando, żeby z perspektywy bardzo intymnej pokazać mało znane i rzadko przedstawiane na ekranie pokłosie wojny trwającej aż dwadzieścia lat. W przypadku Sanga mamy do czynienia z owocem relacji romantycznej, jakkolwiek wiemy, że bywały też całkiem inne – przemocowe bądź czysto transakcyjne. Tak czy inaczej, zawsze nierówne, bo najboleśniej dotykały wietnamskie kobiety i dzieci.

Dlaczego Sang tak bardzo pragnie odnaleźć swojego amerykańskiego rodzica? W pierwszej kolejności przychodzą na myśl względy pragmatyczne. Oto ubogi, ciężko pracujący Wietnamczyk pragnie skorzystać z amerykańskiego programu pomocowego i wyemigrować do USA, żeby poprawić materialny status swojej rodziny.

Tymczasem reżyserka filmu, z wykształcenia antropolożka kultury, zobaczyła w tym dużo większy temat. Rychło dowiadujemy się, czym tak naprawdę jest brak ojca w wietnamskim społeczeństwie. Może oznaczać niższy status ekonomiczny i gorszy start życiowy, ale także niepełną tożsamość, brak poczucia przynależności, życie w egzystencjalnej próżni. No i Sang jest człowiekiem głęboko religijnym, który wielką wagę przywiązuje do kultu przodków.

Wykonuje więc testy DNA i udaje mu się namierzyć swego amerykańskiego tatę. A po odbyciu pierwszego spotkania online, po długich przygotowaniach i wielu dylematach, podejmuje w końcu decyzję o samotnej podróży do Stanów. Zwłaszcza że amerykański ojciec podupada na zdrowiu i może to być ostatnia szansa, by poznać go z bliska. Tylko czy sędziwy pan Torres z takim samym entuzjazmem zapatruje się na to spotkanie? I co na to jego amerykańskie dzieci? Wszystko wygląda z początku bardzo poprawnie...

Mliczewska i autor zdjęć Mikael Lypinski towarzyszyli Sangowi w kluczowych momentach jego życia. Szczególnie wtedy, gdy nieznający angielskiego i prawie niepiśmienny Wietnamczyk w średnim wieku pozostawia swoich najbliższych i wsiada do samolotu. „Ustawa o powrocie do domu Amerykanów pochodzenia azjatyckiego" z 1988 r. gwarantowała mu wizę, bilet lotniczy i życiowy start w USA, a w niedalekiej przyszłości mógł sprowadzić z Wietnamu swoich bliskich.

Jednakże „Dziecko z pyłu" to w dużej mierze film nie tyle o imigranckich doświadczeniach, co o emocjach czy też o różnych emocjonalnościach, nie zawsze wytłumaczalnych różnicami kulturowymi. Ze skromnego acz ciepłego domostwa w Wietnamie przenosimy się w sterylne nie-miejsca dzisiejszej Florydy. Obłożone sidingiem motele czy *fastfoody* mają być teraz dla Sanga nowym domem. W tych prawdziwych domach, należących do ojca czy braci, pewnie już zawsze będzie jedynie gościem, chociaż i tam próżno szukać tego, co zwykle nazywa się domowym ogniskiem.

Lecz dokument Mliczewskiej nie bazuje na ostrych zderzeniach sztucznego, zatomizowanego Zachodu ze wspólnotowym i uduchowionym Wschodem. Na przykład bardzo ciekawie przedstawia się w tym filmie „dziedziczenie" rodzinnych wzorców.

Sang, czyli osierocone niegdyś „dziecko z pyłu" – pozbawione szans na edukację, maltretowane przez opiekunów i jako tak zwany *Amerasian* napiętnowane społecznie – okazuje się dobrym mężem, ojcem i dziadkiem, podczas gdy jego dorosła córka wyraźnie pogubiła się w życiu i zaniedbuje swoje macierzyńskie obowiązki. Z kolei amerykańskie rodzeństwo Sanga, naznaczone przez rozwód rodziców, przez ojcowską traumę po Wietnamie i doświadczony przezeń w dzieciństwie „zimny chów", też nie stanowi monolitu. Przyrodnia siostra wita swego nowego brata zupełnie inaczej niż reszta rodziny.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl d1efa56a26



MATERIAŁY PRASOWE

DZIECKO Z PYŁU *– reż. Weronika Mliczewska. Prod. Polska/ /Wietnam/ Szwecja/ /Czechy/Katar 2025. Dystryb. Ya Man Studio. W kinach.*

Weronika Mliczewska to polska reżyserka, scenarzystka i producentka, która kręci filmy dokumentalne na całym świecie („Długa droga", 2017; „Kataloński sen", 2020). Jest też autorką reporterskiej książki „Na początku jest koniec. Na szlakach duchowości Majów". Jej „Dziecko z pyłu" otrzymało nagrody m.in. na Krakowskim Festiwalu Filmowym, WATCH DOCS i w Waszyngtonie.

powyżej: kadr z filmu „Dziecko z pyłu"

Trudno jednak ukryć, że Sang trafia do świata urządzonego inaczej, a spełniając swoje największe marzenie, jednocześnie przeżywa głębokie rozczarowanie. I nawet jeśli sama Ameryka znajduje się tutaj na drugim planie, trudno uciec od szerszych refleksji. Dziś, w czasach kolejnych interwencji zbrojnych USA, ten zatarty w zbiorowej pamięci obraz militarnej potęgi, która zostawia za sobą jedynie wojenny pył i kolejne sieroty, jeszcze bardziej się wyostrza w oku kamery.

To jednak, jako się rzekło, dokument zbudowany głównie z międzyludzkich emocji i potrafiący je wywołać w swoim widzu. Czasami nieintencjonalnie, bo wystarczy spojrzeć, jak wyraźnie w twarzy Sanga zapisały się geny amerykańskiego żołnierza, ażeby poczuć, co Wietnamczyk musiał przeżywać w swoim środowisku przez te wszystkie lata. Albo, kiedy po przyjeździe do Stanów mocno wygłodniały rozpakowuje kupionego mu hamburgera, którego w Wietnamie raczej nie jadał, bo kosztuje więcej niż tradycyjna miska ryżu.

Pozostaje kwestią czasu, aż Sang zorientuje się, że ta smakowicie wyglądająca bułka to w gruncie rzeczy śmieciowe jedzenie – i my, wychowani w deficytowym Peerelu, stojący ongiś w długich kolejkach do pierwszych przybytków z żółtą literą „M", znamy to wstydliwe odkrycie.

Aczkolwiek nic nie przebije sceny, w której bohater i jego odnaleziony ojciec próbują rozmawiać, rzecz jasna z pomocą tłumacza, o wojnie w Wietnamie. Wiadomo, że na obu odcisnęła ona silne piętno, ale przecież nigdy się w tym temacie nie spotkają. Również dlatego, że wbrew historycznym faktom stary Amerykanin jawi się tutaj zwycięzcą.

Pomijając, jak różnie wyglądało życie ich obu przez ostatnie pięć dekad, to nie on musi teraz położyć na szali wszystko, co kocha, i dokonać kolejnego w swoim życiu bardzo trudnego wyboru. Mówiąc metaforycznie, między hamburgerem a miską ryżu.

W rzeczywistości zaś chodzi o wybór pomiędzy samotnością w USA i pracą za garść dolarów, za którą będzie mógł kupić wnukowi lepszą przyszłość, a byciem obcym (i biednym) we własnym kraju. Choć tam przynajmniej, w swoich skromnych czterech ścianach, Sang może każdego dnia czuć się nie tylko kimś potrzebnym, lecz także kochanym. ©

Lektor:
Ciemność zrobiła postęp



▪ *Marcin Świetlicki*
WYPISY (WIERSZE 2023-2025)
Wydawnictwo a5, Kraków 2026

Rok 1984, nobliwa sala portretowa Arcybractwa Miłosierdzia przy rogu Siennej i Stolarskiej, użytkowana przez krakowski Klub Inteligencji Katolickiej. Kolejne wydanie „NaGłosu" – pisma mówionego zbuntowanych przeciw władzy pisarzy, które schroniło się pod parasolem legalnego KIK-u. Jednym z autorów jest tego wieczoru młody poeta, namówiony przez Bronisława Maja – Marcin Świetlicki. To jego publiczny debiut i już wtedy buntuje się przeciw regułom: siada w ostatnim rzędzie krzeseł i mówi do pleców zebranych. Pierwszy raz go wtedy widziałem i niewiele pamiętam, zwłaszcza że tłum był wielki, a akustyka raczej średnia.

Minęło ponad czterdzieści lat, książki Świetlickiego, poczynając od debiutu – „Zimnych krajów" w słynnej fioletowej serii „bruLionu" (1992) – zajmują sporo miejsca na półce. Tomy wierszy, w tym gruby „Wybór" (2021), powieści kryminalne i także bardzo gruba rozmowa autobiograficzna z Rafałem Księżykiem. W tej rozmowie wiele o muzyce, zespole Świetliki i innych. Jeszcze praca Tomasza Kunza „Marcin Świetlicki. Osobność". A przede mną leży nowa książka, już czwarta w Bibliotece Poetyckiej Wydawnictwa a5. Ukazywały się w dziesięcioletnich odstępach: „Trzecia połowa", „Muzyka środka", „Drobna zmiana", teraz „Wypisy".

Czytam te nowe wiersze – świetne, oszczędne, wirtuozerskie językowo („Rz"!, „Astralne asparagusy"!), czasem nieoczekiwane, jak cykl „oceaniczny" – wracam do dawnych, już dobrze znanych i uświadamiam sobie, że ten chłopak, którego wtedy pierwszy raz zobaczyłem, potem z przymusu żołnierz LWP, a potem przez ponad dekadę korektor w „Tygodniku", jest dziś dla mnie jednym z trójki najważniejszych żyjących poetów polskich. Obok Ewy Lipskiej i Ryszarda Krynickiego – bez kolejności, bo to nie wyścigi. Chodzi przecież o odrębne i nieporównywalne poetyckie prowincje. A Świetlicki – zawsze osobny i zdystansowany wobec utartych zwyczajów tego świata, nadwrażliwy i przenikliwy, czasem okrutny – opowiada nam naszą historię odzyskiwanej i marnowanej wolności. I historię własną.

A że jest mrocznie? No jest. Może jeszcze tylko wiersze, które tom zamykają, oba bez tytułu:

Ciemność zrobiła znaczny postęp.
Jutro dopiszę następną linijkę.
A o pojutrze nie chce mi się myśleć.

Migają strzępki czegoś. Miga nowe życie
jak żartobliwe widmo. Jak bezduszny listek. ©℗

eprasa.pl d1efa56a26

PAWEŁ

Bravo:
Miłość od kuchni



JEDYNE PRAWDZIWE SŁOWA MIŁOŚCI to pytanie: „jadłeś już? jadłaś?”. Powiadała tak Elsa Morante, powieściopisarka i wnikliwa komentatorka swojej współczesności, ale była to współczesność tak bardzo XX-wieczna, że już zupełnie niepotrzebna i nieobecna w rozmowach i na półkach. Ładnie to ukazuje, jak tamten okres jest już tylko przeszłością: możemy ją sobie interpretować lub zakłamywać, ale nie da się w niej zamieszkać, schronić czy chcieć z niej uciec. Ciąży nad nami rozmaitą traumą, uroczystymi cmentarzami i lubimy z szuflad tego wieku wyciągać czerwone (albo czarne) kartki w stronę dzisiejszych oponentów. Chcemy rzucać na nich klątwę, a tak naprawdę to tylko grudy całkiem zaschniętego błota.

Specyficzne bowiem dla XX wieku formy istnienia i opowiadania o świecie już nas coraz mniej dotyczą. Po to mamy poetów, tych wielkich, żeby byli dalekowzroczni, i pani Ewa Lipska pisała już dawno o niemożliwości odnalezienia się w tamtym stuleciu: „byli już tacy ludzie / ale nie ma pewności że to byliśmy my”. Prozaicy, no cóż, zostają na peronie, ale nie bądźmy złośliwi, coś po nich jednak zostaje. Morante trwa dziś w brzmieniu pseudonimu, jaki wybrała dla siebie jakiś czas temu głośna włoska pisarka, genialna przyjaciółka milionów współczesnych czytelników i czytelniczek. I jest to hołd jak się patrzy.

„Kocham cię, więc chcę dać ci jeść”. Jakże dwudziestowieczne zdanie, uważałem je dotąd za blednący zapis doświadczeń głodu, dosłownego i masowego, który dotykał jeszcze trzy pokolenia wstecz mieszkańców Europy z okolic i klas społecznych dziś całkowicie wolnych od poważnej troski o przeżycie do jutra. Było, minęło, uff, przynajmniej na czas jakiś. Frapująca rozmowa z psychoterapeutką, którą znajdziecie na następnych stronach „Tygodnika”, uświadomiła mi jednak, że rzecz jest bardziej skomplikowana. Wraz z zapomnieniem głodu i całej poniewierki, o której pisała z pierwszej ręki Morante oraz zastęp innych wielkich piór powieściowych, utraciliśmy zbiorowo niewinność w traktowaniu jedzenia jako czegoś dobrego w sposób tak oczywisty, że ta dobroć jest właściwie niewidoczna. Chyba że w rękach władzy kościelnej przemieniało się w narzędzie władzy nad ciałem, ale raczej mało skutecznej, skoro tyle było zawsze pomstowania na obżarstwo. Nie dam się jednak wypuścić w teologiczne dygresje, nawet papieżowi ostatnio kazano uważać na tym gruncie.

Jestem jak ta mama przywołana w wywiadzie, która w pierwszym odruchu na kłopoty swojej córki chce jej ugotować rosół. Fakt, że to stanowi problem, przedmiot terapii



DARIUSZ BEDNAREK / ADOBE STOCK

i temat na ważną rozmowę, mówi w metaforycznym skrócie dużo o naszej tzw. kondycji. Nie umiem się w niej do końca odnaleźć, bo nadal mam ten odruch, że zostawić trochę jedzenia na zapas to lepsze, niż żeby go wcale nie było. Na pewno lżej mi na duszy, gdy czynię kombinacje, by niczego jednak z lodówki nie zmarnować, bo to grzech nawet w domach bezbożników, niż gdybym miał ewentualnie się zamartwiać, co zjem jutro. Z ratowania nadwyżek przed zepsuciem bierze się pasjonująca kuchnia, by tak rzec, drugiego stopnia, a charakter danej kultury w kwestii odżywiania można skrótowo nakreślić, badając, jak mianowicie radzi sobie z czerstwym chlebem.

Tak, kocham bliskich mi ludzi rosołem. To nie wymaga żadnej zręczności w operowaniu nożem, kursów machania trzepaczką ani żmudnych poszukiwań na egzotycznym targu kwiatów paproci w zalewie z gwiazdek z nieba. Tylko gnat, mięcho, jarzyna. Listek laurowy i ziele angielskie. Chyba że jesteśmy francuskie snoby i dysponujemy bieluśką nitką, wtedy do wiązanki ziół dodamy tymianku i nazwiemy to *bouquet garni*. Marchew oskrobać, ziemię spomiędzy liści pora wypłukać. Proste jak przytulenie. Ale czasu, który trzeba na to poświęcić, i cierpliwości nie da się kupić przez apkę z dostawą smart. Tulenie zresztą też musi trwać ileś tam, żeby do krwi ruszyła oksytocyna. Tłuszcz z rosołu, łzy z policzka – trzeba to potem delikatnie zdjąć szmatką.

Kiedym jeszcze miał córkę pod dachem i przy stole, kochałem ją jabłkiem pieczonym z łyżeczką miodu w miejscu wyciętej szypułki. Ten okrężny ruch nożyka, żmudny i w miarę mo-

eprasa.pl d1efa56a26



ich możliwości precyzyjny, zapamiętałem lepiej niż wszystkie słowa, które przecież uleciały, w większości miałkie jak wczorajszy dziennik radiowy. Byłem tylko dość dobrym rodzicem i w jabłku zostawały pojedyncze pestki. Być może teraz ona musi je wydłubywać z siebie na kozetce, na tym też polega proces dorośleniа, że rzeczy choćby najmilsze rzucają swój cień. Sam też zdążyłem się nauczyć, iż najskuteczniej *comfort food* działa nie wtedy, kiedy totalnie słodki i gładki, lecz gdy się go czymś przełamie i naruszy. Tknięcie kwasem, kropla goryczy, twardy okruch – taką mamy dorosłą fenomenologię szczęścia. Dlatego kiedy robię *sticky rice*, czyli jeden z tych azjatyckich słodkich glutów ryżowych gotowanych w mleku z kokosa i zjadanych z zapieczonym bananem albo mango, muszę dać soku z cytryny. Inaczej zatykam się po dwóch łyżkach, a w wersji ulepszonej mogę jeść bez końca. A niech to, sam sobie zaparzę i podam ziółka na brzuch.

Czy można jednak dorośle wyrażać miłość i troskę, gotując? Chcę wierzyć, że tak, i że nasza rozmówczyni z następnych stron mi na to pozwoli, byle tylko umieć przyjąć w milczeniu i bez wyrzutów, kiedy ktoś odpowie na naszą troskę: „Nie, dziękuję”.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Risotto z czosnkiem niedźwiedzim i paloną cytryną

Co prawda jadłem sticky rice nie dalej jak w zeszłą niedzielę, ale w kwietniu prawdziwy komfort czerpię ze smaku powracającej po zimowej podróży zieleniny. Zerkam też niecierpliwie, kiedy ceny szparagów na stronie internetowej Majlerta zejdą jeszcze ciut poniżej mojego progu bólu. To dla mnie chyba ważniejsze niż notowania baryłki ropy Brent. Już niedługo! I wtedy zacznę was zanudzać, jak co roku, szpar-paradą. Tymczasem skorzystajmy z innej kwietniowej świeżynki.

SKŁADNIKI:

300 g ryżu do risotto (carnaroli, arborio, vialone itd.)
300 g liści czosnku niedźwiedziego
2 małe cytryny z uprawy eko 100 ml białego wina
1 l lekkiego bulionu z kury lub warzywnego 70 g masła
▪ oliwa ▪ parmezan ▪ kefir

Blanszujemy liście czosnku w osolonym wrzątku przez minutę, studzimy w wodzie z lodem, odciskamy mocno, miksujemy z oliwą na rzadką papkę (albo drobno siekamy nożem). Cytryny kroimy na cienkie plasterki, wykładamy na blachę wyłożoną papierem do pieczenia, suszymy w 120 stopniach przez godzinę, potem podnosimy temperaturę do 200 stopni i zapiekamy je kilka minut – tyle, żeby się mocno zrumieniły. Po wystudzeniu ucieramy w moździerzu lub mikserem na proszek.
Robimy risotto według zwykłej procedury: prażymy ryż na suchej patelni, delikatnie mieszając, podlewamy winem, a gdy wyparuje, wlewamy stopniowo wrzący bulion, w miarę jak ryż go „wypija”. Kiedy już będzie prawie gotowy (zwykle ok. 15-16 minut), dodajemy krem z czosnku, gotujemy razem minutkę, wyłączamy ogień, dodajemy masło, intensywnie mieszamy, odstawiamy na minutę pod przykryciem. Na koniec dodajemy starty parmezan w niewielkiej ilości, bo jego umami może przykryć wszystko, kleks kefiru lub gęstej maślanki i posypujemy proszkiem z cytryn. ©℗



EFLSTUDIOART / ADOBE STOCK

eprasa.pl d1efa56a26

PSYCHE

DOBRE JEDZENIE

AGATA GŁYDA, PSYCHOTERAPEUTKA I PSYCHODIETETYCZKA:

Jedzenie jest czymś więcej niż paliwem.
I powinno być dla nas źródłem przyjemności, a nie przykrości.



EWELINA BURDA: Jak mieć dobre relacje z jedzeniem?

AGATA GŁYDA: Relacje to ostatnio bardzo szeroko używane pojęcie. Lubię mówić o „relacjach z jedzeniem", bo tak jak relacje społeczne, jedzenie jest nam biologicznie potrzebne, by przetrwać. Jedzenie, które lubimy, podobnie jak relacje z ludźmi, których lubimy, pobudza nasz mózg, uruchamia się ośrodek nagrody, działa dopamina.

Jem zdrowo. Czy to znaczy, że mam dobrą relację z jedzeniem?

Niestety niekoniecznie. Można być w odpowiednim zdrowiu i wadze, ale stosunek do jedzenia może być zaburzony. Można też ważyć więcej, a mieć z jedzeniem dobrą relację.

Dobrą, czyli jaką?

Jedzenie powinno być źródłem przyjemności, a nie przykrości. Chyba że mówimy o zatruciu pokarmowym, to wtedy faktycznie ciężko o miłe skojarzenia. Jedzenie jest czymś więcej niż paliwem. Obok przyjemności to ciepło, bezpieczeństwo, komfort. Nasze relacje mogą być bardzo różne. Przykład: na stole ktoś stawia talerz z super ciastkami. I prawie każda osoba, która przy tym stole usiądzie, będzie miała w sobie inne myśli, emocje, doznania w ciele i zachowania.

Na przykład?

Jedna z osób będzie miała duży natłok negatywnych myśli i emocji. Pojawią się w jej głowie pytania: „Czy mogę to zjeść? Ile to ma kalorii? Jak długo będę musiała ćwiczyć, żeby to spalić?". Druga zacznie ze sobą negocjować: „Teraz zjem to ciasto, bo nie wytrzymam, ale za to wieczorem już nie zjem kolacji". Na poziomie zachowań – ktoś obje się łapczywie i wypełni go poczucie winy. Inny będzie wypierał chęć sięgnięcia po ciastko, odwracał wzrok i zepsuje mu to całe spotkanie.

A osoba, która ma zdrową relację z jedzeniem, co zrobi?

Może pomyśleć: „Czy naprawdę mam ochotę na ciastko? Jestem głodna? Lubię akurat to ciastko?". Może je zjeść, a może uznać, że nie ma ochoty, bo w sumie to wygląda ono na zbyt słodkie. Nie będzie w tym zakazów, powinności ani przymusu. Będzie przestrzeń na zastanowienie się, wybór. I gdy na tej bazie ta osoba podejmie decyzję i zje ciastko, to mamy koniec historii.

Było ciastko i nie ma ciastka.

Możemy czasem być bliżej tej jednej postaci z naszego przykładu, innym razem bliżej tej drugiej. Nie musimy być perfekcyjni ani zawsze tacy sami, żeby ta relacja była dobra. Relacje z jedzeniem to całe spektrum. Ale cały czas rozmawiamy o czymś, co jest w granicach normy: jest dobrą lub gorszą relacją z jedzeniem, ale nie jest zaburzeniem odżywiania, jednostką chorobową.

Skąd się biorą trudności w tych relacjach? Znowu to dzieciństwo?

To, jakie relacje z jedzeniem wynosimy z domu, to bagaż wielu pokoleń. Znamy naszą historię, wiemy, że tam był głód, niedostatek. I my też te doświadczenia nosimy w pewien sposób w sobie. Kiedy już ten głód, brak były za nami, to pojawił się nadmiar. To dziś się zmienia, ale dzieci długo przekarmiano.

Dziecko mówiło: „Już nie mogę", odsuwało talerz. Ale miało jeść „aż wszystko zniknie", bo inaczej „nie odejdzie od stołu". Jadło za mamusię, za tatusia. Było karmione siłowo. Zaingerowano w coś, co było naturalne: w poczucie głodu i sygnały sytości. Z pozoru zdrowotnie nie wyrządzono szkód: dziecko było nakarmione, zdrowa była też jego waga. Ale relacja z jedzeniem została zachwiana.

A gdy płakało, dostawało słodycze.

Albo babcia gotowała na pocieszenie budyń. I te trudne emocje zaczynały się kojarzyć z konkretnym pożywieniem. Kształtowały się nawyki, często też te szkodliwe. Choć intencje tych, którzy karmili, nie były z gruntu złe: takie mieli doświadczenia, przekonania i wiedzę na tamten moment.

Lubię taki rysunek Kamili Szcześniak: dziewczyna leży na kozetce u terapeutki, która pyta ją: „A Pani mama? Co by zrobiła, gdyby usłyszała, co pani czuje?". „Hmm... Nie wiem. Pewnie rosół".

To jest przykre i piękne jednocześnie. Podstawowym celem mojej babci, gdy do niej przyjeżdżałam, było mnie nakarmić. „Agatko, jedz, jedz". I kiedy siedziałam z brzuchem pełnym pysznego jedzenia, wjeżdżały jeszcze pączki, zrobione specjalnie dla mnie. Kiedyś przy kolejnym „Agatko, jedz, jedz", powiedziałam: „Babciu, ja wiem, że ty mnie tak kochasz". Tylko tyle. Inaczej nie potrafiła wyrażać emocji, uczuć.

Ale nie zawsze chodzi tylko o miłość.

Można znaleźć wiele relacji rodzinnych, gdzie próba kontroli jedzenia jest próbą kontroli w ogóle – na innych odcinkach życia nie mam już wpływu na tę osobę, więc chociaż teraz, przy tym stole, będzie jadła to i w takich ilościach, jakie ja ustalę. To jest mocne często w kontekście braku wyrozumiałości dla diety wegetariańskiej czy wegańskiej. A asertywność wobec rodziny jest trudna. Pracując z pacjentkami podkreślam, że nie zawsze musimy być super asertywni i idealnie wyterapeutyzowani. Działajmy z szacunkiem do swoich zakresów: w danym momencie i w danym środowisku. Można to ćwiczyć w innych okolicznościach, niekoniecznie przy świątecznym stole.

Na przykład?

Często robię to w sklepie przy kasie. Tam są różne przekąski, które kuszą zwłaszcza wtedy, kiedy jesteśmy wyczerpani zakupami. Moja wewnętrzna, mała impulsywna Agatka mówi: „Chcę, mam ochotę, kupmy! Schowamy papierek w samochodzie i nikt o tym nie będzie wiedział". I wtedy ćwiczę, uruchamiając w sobie świadomie tę zdrową, dorosłą Agatę: „Ale po co? Nawet tego batonika naprawdę nie lubię. Mam w domu lepszy. Wrócę, odpocznę, zjem obiad i zastanowię się, czy mam dziś ochotę na słodycze". Nie ma tu zakazów, jest życzliwy dialog ze sobą.

A co nam przeszkadza w prowadzeniu takiego życzliwego dialogu?

Dobra relacja z jedzeniem jest ściśle powiązana z relacją z ciałem. I tu wchodzi kultura diet i presja dotycząca ↦

RAWPIXEL.COM / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d1efa56a26

↦ wyglądu. Jeśli mieliśmy szczęście i z domu wychodzimy dobrze nakarmieni, tak dosłownie i w przenośni, to trafiamy do szkoły. Przykład osobisty: nigdy nie skomentowałam wyglądu mojej córki, a ona i tak wraca ze szkoły z przekazem, że trzeba pilnować tego, co się je i ćwiczyć, żeby mieć zgrabną sylwetkę. Zetknięcie z kulturą diet jest nieuniknione. U dziewczynek taka presja często pojawia się już na etapie pierwszej komunii. „Może troszkę mniej tego babcinego ciasta, które tak lubisz, bo nie wejdziesz w białą sukienkę". I ta sukienka, w którą nie wejdziesz, towarzyszy często już przez całe życie. To się oczywiście zmienia, bo dzisiejsi rodzice mają dostęp do nowej, ważnej wiedzy, która wpłynie na to, jakie relacje z jedzeniem będą miały kolejne pokolenia.

Na dobrą relację ze słodyczami wpływa nasza bateria: jestem wyspana, wypoczęta, będzie mi łatwiej. Nie zawsze wszystko się uda, ale każde zderzenie z tym, dlaczego uciekam w słodycze, na przyszłość może pomóc.

Z kultury diet można się wyrwać?

Coraz więcej osób by chciało, bo jesteśmy zmęczeni dietami. Życiem od restrykcji do objadania, od chudnięcia do tycia. Kultura diet to wielomilionowy biznes skoncentrowany na zarabianiu pieniędzy, który co chwilę podrzuca nam nowe trendy, nowe diety cud. Nie sądzę, żeby tu była szczera troska o kobiety czy o ludzi w ogóle. W gabinecie pracuję głównie z kobietami, mój przekaz w sieci czy książki kieruję głównie do nich, ale to jest na wielu poziomach uniwersalne, mężczyzn także to dotyka. Tę próbę wychodzenia z kultury diet staram się rozpracować w książce „Odżywiona".

Co dla Ciebie znaczy to słowo?

Osoba odżywiona nie musi jeść na zapas. Potrafi słuchać swojego ciała i ufa jego sygnałom. Działa i je we własnym rytmie. Nawet symbolicznie na okładce jest talerz z resztkami jedzenia. Bo taka osoba je do sygnału sytości, nie do czystego talerza. Poparta jest nie tylko moją pracą zawodową, gdzie z innymi naprawiamy te relacje z jedzeniem, ale też moimi własnymi doświadczeniami. Bo ja też jestem ofiarą kultury diet i uważam, że udało mi się szczęśliwie z tego wyjść.

Opowiesz o tym?

Kultura diet dopadła mnie w moim najbardziej bezbronnym momencie: po urodzeniu pierwszego dziecka ważyłam prawie sto kilogramów. Minął połóg, waga nie spadała, a wręcz rosła. Nasiliła się niedoczynność tarczycy, doszły nieprzespane noce, nowe zmartwienia. Wtedy wydawało mi się, że potrzebuję reżimu dietetycznego: idealnych posiłków bez cukru, ćwiczeń sześć dni w tygodniu

A czego naprawdę potrzebowałaś?

Przede wszystkim kontroli. W nowej sytuacji z dzieckiem nad wieloma rzeczami jej nie miałam albo wręcz ją utraciłam. I ta dieta: restrykcyjna, z konkretnymi sztywnymi zasadami była dla mnie polem do odzyskania kontroli. Nie miałam wpływu na to, że moja córka płacze, ale wiedziałam, ile gramów czego zjem i o której to będzie godzinie. Poszłam w pozorne poczucie bezpieczeństwa. Teraz już wiem, że kontrola i bezpieczeństwo to są dwa różne tematy. Przy drugiej córce dałam sobie więcej wyrozumiałości niż restrykcji.

Do świata kultury diet wkracza dziś wielki przełom medycyny, czyli leki na otyłość.

Pracuję z osobami, które są w trakcie farmakologicznego leczenia choroby otyłościowej i to jest zdecydowanie rewolucja. Ten przełom można porównywać do pojawienia się leków antydepresyjnych. Ta rewolucja medyczna, którą niosą analogi GLP-1, wrzucona w naszą kulturę diet, sprawia, że jest wokół tego wiele trudnych tematów: oskarżeń o „pójście na łatwiznę" i lenistwo tych, którzy biorą te leki pod kontrolą lekarza. Nadużywanie leków przez osoby zdrowe, dążące jedynie do coraz szczuplejszej sylwetki. Te leki zasługują na promocję: mądrą i rzetelną. Praca pacjentki czy pacjenta nie polega tylko na zredukowaniu masy ciała, ale także na wypracowaniu w trakcie leczenia nowych, lepszych relacji z jedzeniem.

Jakie przekonania o jedzeniu nam szkodzą?

Podział na jedzenie dobre i złe. Na „dozwolone" i „zakazane". Nie lubię mówienia, że jakieś jedzenie jest śmieciem. Semantyka jest ważna i takim etykietowaniem szkodzimy najbardziej sobie. Kim jestem, skoro jem śmieci? Zasada, która dobrze, gdy jest nadrzędną, brzmi: dążymy do odżywczości. Ale jeśli mam zbudowaną dobrą bazę i świadomie zjadam wysokoprzetworzoną przekąskę do filmu, to sobie nie szkodzę.

Człowiek nie jest samochodem: możemy od czasu do czasu dostarczyć sobie paliwo, które nie jest idealnie czyste. Profesor Aleksandra Łuszczyńska, autorytet w świecie psychodietetyki, ustaliła, że w przypadku żywności dużo większe korzyści przynosi strategia redukcji szkód, nie abstynencja. Całkowite odrzucenie żywności nazywanej rekreacyjną działa na papierze, nie w życiu. Stawianie nierealnych celów tylko nas demotywuje, wpędza w poczucie winy, a w głowie mamy ciągły *food noise*.

Co to znaczy?

Taki szum jedzeniowy to psychologiczna i biologiczna odpowiedź ciała na restrykcje żywieniowe. Ograniczamy się mocniej i mocniej. Ciało to odczuwa, pojawia się stan zagrożenia i różne odpowiedzi fizjologiczne i psychologiczne. I jednym z tych mechanizmów jest właśnie nasilona ilość myśli o jedzeniu. Często praktycznie cały czas. I nie jest to przyjemne rozważanie, co zjem na kolację po pracy czy kupię w sklepie, ale myśli uporczywe, natrętne.

Moje pacjentki, które są w farmakologicznym leczeniu otyłości, mówią, że leki pomagają im wyciszyć te myśli, reguluje się ten biologiczno-psychologiczny mechanizm. Zwalniają im miejsce w głowie.

A zajadanie stresu: jak to poukładać?

eprasa.pl d1efa56a26



ARCHIWUM PRYWATNE

AGATA GŁYDA
jest psycholożką, certyfikowaną psychoterapeutką poznawczo-behawioralną oraz specjalistką psychodietetyki. W mediach społecznościowych prowadzi psychoedukację jako @Psycholog o diecie.

Stres nie zawsze jest zły, pewien poziom napięcia w życiu jest potrzebny, tak jak napięcie mięśniowe. Ale jeśli my czujemy, że jest go za dużo i jedynym mechanizmem regulującym jest objadanie się, po którym czujemy się źle, to dobrze szukać rozwiązań. Trafiłam kiedyś na taką metaforę, bardzo ją lubię: z kranu do wiadra leci woda, czyli stres. I w tym wiadrze trzeba wywiercić wiele małych dziurek, żeby ona uciekła, ale nie rozwaliła wiadra. Jedna: kiedy pójdziesz na spacer. Druga: kiedy porozmawiasz z kimś, kogo lubisz. I trzecia: kiedy ugotujesz coś, co naprawdę lubisz. Bo jedzenie może być pozytywnym sposobem na rozładowywanie napięć i stresu, ale to działa wtedy, kiedy podstawy tej relacji są u nas stabilne.

A smutek? Słodycze często nas koją, nawet jak już dawno nie jesteśmy dziećmi.

Tak, bo jedzenie jest dla nas czymś więcej niż tylko sumą kalorii, często pomaga radzić sobie z napięciem emocjonalnym. Kiedy czujemy, że coś z tymi słodyczami u nas nie działa, to polecam metodę pracy HALT, czyli *Hungry*, *Angry*, *Lonely*, *Tired*. Głodny, Zły, Samotny i Zmęczony. I jeśli ciągnie nas do słodyczy i nie czujemy się z tym dobrze, to odpowiadamy na cztery pytania związane z tymi słowami. Pierwsze: czy jestem najedzona? Kiedy odżywiam się tak, że czuję się syta, będzie mi łatwiej. Drugie: czy jestem zła, sfrustrowana? Może są jakieś działania, które choć o procent zredukują sytuację, która mnie doprowadza do takich emocji.

Trzecia jest samotność.

Kiedy po ciężkim dniu wracam do pustego domu i uderza mnie samotność, to jedzenie staje się kompensatą relacji. Ono zawsze jest. Jest przewidywalne i niezawodne. Znowu łatwo powiedzieć: „Nie masz nikogo bliskiego? To poszukaj”. A to przecież często trudne, kiedy nie mieliśmy wzorca. Może wystarczy jedna bliska osoba? A może zwierzę, które pięknie może towarzyszyć w codzienności.

I na koniec zmęczenie.

Na dobrą relację ze słodyczami wpływa nasza bateria: jestem wyspana, wypoczęta, będzie mi łatwiej. Nie zawsze wszystko się uda, idealnych dni będzie w naszym roku tak naprawdę niewiele. Ale każde zderzenie z tym, dlaczego uciekam w słodycze, na przyszłość może pomóc. Nie zawsze chodzi o rezygnację. „Jestem zmęczona i zjem paczkę ciastek”. Wiem dlaczego to robię, ale na dziś to mój wybór.

Ta metoda dobrze sprawdza się przy rozpoznawaniu, co stoi za naszym podjadaniem, które często jest przykrywką dla realnych problemów, emocji.

Teraz, na wiosnę, ruszamy znów z postanowieniami: że będziemy trzymać „czystą michę” i że to koniec ze słodyczami. Jaką byś dała radę tym, którzy je sobie składają?

To jest naturalne, że działamy w cyklach w związku z naturą, że zimą ciągnie nas do bardziej komfortowego jedzenia, a wraz z cieplejszą pogodą, słońcem, mamy więcej energii do zmian. I to dobrze, gdy chcemy zadbać o swoje jedzenie. Ale właśnie zadbać o siebie, a nie siebie ukarać. Skup się na odżywianiu, nie wyłącznie na odbieraniu. Zastanów się, co możesz sobie dodać fajnego do twojego talerza: dla energii, zdrowia, dobrostanu. Ale też dla przyjemności.

Bo jedzenie ma służyć nam, a nie my jedzeniu. Czasem ma być emocjonalne, chaotyczne. Perfekcyjnie zbilansowane, zawsze regularne posiłki są zdrowe. Ale bezwzględne, rygorystyczne przestrzeganie zasad nie jest zdrową relacją z jedzeniem.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W kolejnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego” pierwszy w tym roku

magazyn conrad

A w nim:
- O haśle i idei 18. edycji Festiwalu Conrada opowie dyrektorka programowa Paulina Frankiewicz.
- Przybliżymy sylwetki pierwszych gościń i gości.
- Zaprezentujemy identyfikację wizualną Festiwalu.

CONRAD FESTIVAL

eprasa.pl d1efa56a26

TOMASZ

Stawiszyński:
Którego boga wybieramy



List biskupa Antonio Staglianò – przewodniczącego Papieskiej Akademii Teologicznej – w którym krytycznie przygląda się „chrześcijaństwu" propagowanemu przez Petera Thiela, Donalda Trumpa i J.D. Vance'a, zdaje mi się jednym z najważniejszych tekstów o współczesności, jakie w ostatnich latach napisano. Ten niepozorny dokument, opublikowany po włosku na stronie Akademii, po polsku zaś niedawno w „Tygodniku" (który zresztą w tym numerze publikuje rozmowę z jego autorem), jest – formalnie rzecz ujmując – reakcją na ogłaszane przez Thiela profecje dotyczące rzekomego nadejścia Antychrysta. Już od dłuższego czasu ów rzutki biznesmen, ekonomiczny i intelektualny filar ruchu MAGA – samozwańczo mieniący się kontynuatorem wielkiego antropologa i filozofa René Girarda – występuje z wykładami, w których prezentuje swoje apokaliptyczne dociekania. A przy okazji daje wyraz autorskiej interpretacji ewangelicznego przesłania, powołując się przy tym – powiedzmy od razu: bezzasadnie – właśnie na dzieła autora „Kozła ofiarnego".

W centrum tej interpretacji stoi zasadna skądinąd teza, że tradycja oświeceniowa *de facto* usunęła z antropologii zło i grzech. W szczególności, zdefiniowała te aspekty ludzkiej natury jako wynik społecznych bądź medycznych usterek, które da się wyeliminować poprzez przebudowę urządzenia społecznego, stosowne medykamenty lub interwencje terapeutyczne. Starczy więc przeprowadzić rewolucję i zmienić kulturowe porządki (w duchu minimalizowania ograniczeń i represji, naturalnie), względnie wynaleźć cudowną pigułkę lub leczenie, a znaczna część problemów, z którymi się od niepamiętnych czasów borykamy, zostanie rozwiązana. Tymczasem – widzimy dziś coraz wyraźniej – przemoc i skłonność do zła zdają się na zawsze wpisane w nasz „system operacyjny". Owszem, struktura społeczna czy budowa mózgu sprzyjają im lub nie, ale szanse na to, że się dokona ich eradykacji, wypada uznać za naiwną iluzję. Z tego powodu – przekonują Thiel i Vance, Trump zaś praktycznie wciela to w życie – należy przemoc zaakceptować. I korzystać z niej otwarcie, bez hipokryzji, zgodnie ze swoją wolą oraz interesami.

Jest to filozofia w jakimś sensie spójna, niemniej stojąca na antypodach chrześcijaństwa. Bp Staglianò z tego rozróżnienia czyni oś swojego wywodu. Chrześcijaństwo uznaje ludzką skłonność do przemocy, rozumie, że ma ona uniwersalny charakter, dostrzega jej realność, ale poprzez figurę Chrystusa – który, przyjmując los niewinnej ofiary, po raz pierwszy w historii odsłonił faktyczne mechanizmy zła (o czym pisze Girard) – wskazuje drogę do jej przekształcenia i odrzucenia. Chrześcijańska droga nie opiera się więc ani na negacji czy wyparciu, jak postoświeceniowy antropologiczny optymizm, ani też na bezrefleksyjnej apoteozie siły, jak propozycja Thiela, Vance'a, Trumpa *et consortes*.

Oto pierwszy fundamentalny wybór – między afirmacją przemocy a jej przekształceniem i odrzuceniem – przed jakim dziś stoimy. Wbrew tym, którzy chcą w Trumpie widzieć li tylko rozkapryszonego chłopca albo rozkochanego w sobie narcyza, stawka jest realna i niebywale wysoka. Rozszalała na poziomie globalnym polaryzacja prowadzi do wyboru przemocy także przez tych, którzy nominalnie się od niej odżegnują. Dokładnie tak działa klasyczne wyparcie – ktoś, kto nie przyjmuje do wiadomości własnej ciemnej strony, staje się jej bezwiednym narzędziem.

Drugi wybór, na który zwraca uwagę bp Staglianò, jest równie fundamentalny. I ściśle powiązany z pierwszym. Wyraża go pytanie: którą teologię, czy raczej którego boga wybierasz? Staglianò słusznie – choć wbrew dominującym dziś tendencjom – zauważa, że niezależnie od powierzchniowej sekularyzacji, o polityce mówi się dziś językiem kryptoteologicznym. Dodam – nie tylko o polityce, lecz także np. o technologii. Wypowiedzi speców od sztucznej inteligencji czy, *nomen omen*, proroków technozbawienia z Doliny Krzemowej pełne są nasyconych transcendencją symboli i pojęć. Trump, który w mediach społecznościowych publikuje atak na Leona XIV, a na tandetnym obrazku wygenerowanym przez AI pozuje na Chrystusa, jest tego zjawiska smutnym, a jednocześnie karykaturalnym przejawem.

Wracając jednak do wywodu Staglianò – wygląda na to, że przed nami palące decyzje: którą teologię przyjmiemy za własną, którą wartość umieścimy na szczycie hierarchii, którego boga uznamy za wzór? Czy tego, który na sztandarze niesie rewolwer i banknot, i bierze, co chce, nie bacząc na okoliczności? Tego, który zawsze jest pewien swego, zawsze z radością przygląda się klęsce swoich wrogów, tańczy na ich grobach? Czy tego, który wzywa do porzucenia przemocy i sam siebie składa w ofierze na rzecz innych? Tego, który nie pognębia przeciwników, lecz dostrzega w nich człowieczeństwo i pozostawia im otwartą szansę na przemianę, zadośćuczynienie oraz pokutę? Tego, który po męczeńskiej śmierci zmartwychwstaje nie po to, żeby zemścić się na swoich oprawcach, lecz żeby im wybaczyć?

Którego boga wybieramy? Wbrew pozorom, wybór ten jest dziś wyjątkowo aktualny. Także z uwagi na bezprecedensowe środki masowej zagłady wypracowane przez ludzkość. Kto i w jaki sposób będzie nimi dysponował? Wyznawcy którego boga, zwolennicy której teologii? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl d1efa56a26

REKLAMA



Czteroletni Shofi Mohammad jest przygotowywany do zabiegu chirurgicznego w szpitalu Lekarzy bez Granic w obozie dla uchodźców Kutupalong w Bangladeszu. Pielęgniarka, Zannatul Arafat, wyjaśnia mu, co się za chwilę wydarzy. Na sali jest z nim ojciec.

Dzięki Twojemu 1,5% podatku zespoły Lekarzy bez Granic mogą pomagać dzieciom takim jak Shofi oraz innym ludziom, których dotykają skutki najtragiczniejszych kryzysów humanitarnych na świecie. Dziękujemy!

Twoje 1,5% pomoże ratować życie i zdrowie.

Więcej: lekarze-bez-granic.pl

eprasa.pl d1efa56a26

REKLAMA

10.04–9.08.2026
MNK GMACH GŁÓWNY

Gotyk w Karpatach

Gothic in the Carpathians

MNK

Muzeum Narodowe w Krakowie

Hans Siebenbürger (przyp.) | (attrib.), *Męczeństwo św. Urszuli i jej towarzyszek* | *Martyrdom of St. Ursula and her Companions*, ok. | circa 1480; tempera na drewnie | tempera on wood; własność | property of the Österreichische Galerie Belvedere, Wien; fot. | photo by Johannes Stoll / Belvedere, Wien

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mecenas MNK PGE

Partnerzy Strategiczni MNK PZU TOTALIZATOR SPORTOWY 7 LAT

eprasa.pl d1efa56a26